NAUKA
WIARY I OBYCZAJÓW.

KSIĄŻEK POBOŻNYCH
dla wiernych każdego stanu
Tom XXXIII.

NAUKA WIARY I OBYCZAJÓW

W PRZYKŁADACH

zebrana z różnych autorów

przez

X. Kazimierza Riedla T. J.

Wierz, a zrozumiesz.. (Św. Aug.).

TOM PIERWSZY.
Zeszyt 1—12).

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI A. KOZIAŃSKIEGO
1905.

Cena: W oprawie w płótno angielskie **40** ct. (80 fen.).

L. 4777.

IMPRIMATUR.

† *Albinus*
Eppus.

Kraków, 19 Listopada 1888.

PRZEDMOWA.

Prawda, jeśli się ma w sercu przyjąć i owoc życia wydać, powinna być podana sposobem jasnym, przyjemnym i wzruszającym. Do tego zaś celu najłatwiej dojść można przez przykłady. Nigdzie bowiem prawda tak jasno nie bije w oczy, jak w żywym przykładzie; nic tak nie zajmuje i nie bawi, jak przykład; nic tak nie pobudza do naśladowania, jak przykład. „Długa bowiem droga przez przepisy, krótka przez przykłady“ mówi łacińskie przysłowie; bo „słowa pobudzają, a przykłady porywają za sobą“.

Przekonani o tem najsławniejsi kaznodzieje i mowcy jak: św. Wincenty Ferreryusz, Segneri, Venedien, Hunolt i t. d., przeplatali swoje kazania zajmującymi przykładami; niemniej wytrawni katecheci, jak: Łącki, Szmid, Gaume, Guillois i tylu innych wydając swe katechizmy, stwierdzali nauki w nich zawarte przykładami z Pisma świętego i historyi. Tej prawdy dowodzą różne stare księgi, zawierające zbiór samych przykładów, naprzykład

„Magnum speculum exemplorum Müllera“ T.J. Sam wreszcie nasz Zbawiciel i Mistrz Jezus Chrystus, gdy chciał jaką prawdę jasno i jakoby namacalnie wyłożyć, używał ku temu przykładów, i to tak wzruszających, jak o bogaczu i Łazarzu, o synu marnotrawnym, o słudze niemiłosiernym i t. p.

Mniemam przeto, iż miłą przysługę wyrządzę naszemu ludowi, jeśli wiązkę takich przykładów, zaczerpniętych ze źródeł, poważnych podam mu do czytania. Dlatego zaś wydaję te przykłady w małych zeszytach, bo takie zeszyciki i łatwiej się nabywa niż książkę, i chętniej się je czyta.

Dałby Bóg, abym cel tem wydawnictwem zamierzony, w całości mógł osiągnąć — a najhojniej będę wynagrodzony, jeżeli choć niektóre dusze najdroższą Krwią Pana Jezusa odkupione, znajdą w tych przykładach umocnienie w wierze, lub podnietę do pobożności.

X. Kazimierz Riedl T. J.

Jest Bóg, Stwórca wszechświata.

Nowoczesny mędrzec.

Przed niewielu laty udał się pewien młody Francuz do Paryża, w celu ukończenia nauk: ale jak to często bywa, wpadł na nieszczęście w złe towarzystwa. Rozbudziły się w nim niskie namiętności, które podsycane bezbożnemi mowami towarzyszy, zaćmiły jego rozum. Zapomniał na nauki i przestrogi pobożnej swej matki i począł pogardzać wiarą. Do tego stopnia bezbożności już doszedł, że nasamprzód w sercu pragnął, aby Boga nie było — a potem, jak ów głupiec w Piśmie świętem, mówił, że niema Boga — a słowo „Bóg“ jest tylko czczym wyrazem bez znaczenia. Mówiąc nawiasem, niewiara prawie zawsze tak się rozpoczyna; jest ona rośliną, co w gnoju tylko zapuszcza korzenie.

Po kilku latach pobytu w stołecznem mieście, wrócił ów młody człowiek do domu rodzicielskiego. Pewnego dnia znajdował się

w licznem towarzystwie ludzi z wyższych warstw społeczeństwa. Podczas, gdy inni rozmawiali o nowinach, interesach i przyjemnościach, siedziały dwie panienki mniej więcej trzynastoletnie przy oknie i czytały. Młody nasz filozof zbliżył się do nich i zapytał:

— Jakiż to romans czytacie panienki z taką uwagą?

— Mój panie, my romansów nie czytamy.

— Jakto? nie?... A cóż to za książka?

— To historya ludu Bożego!

— A, więc panienki wierzą, że jest Pan Bóg?

Zdziwione takiem pytaniem, popatrzyły obie panienki jedna na drugą i zarumieniły się jak róże.

— A pan nie wierzy, że jest Pan Bóg? zapytała starsza.

— Dawniej wierzyłem; ale odkąd mieszkałem w Paryżu i uczyłem się filozofii, matematyki, historyi naturalnej i polityki, doszedłem do przekonania, że Bóg, to tylko czczy wyraz.

— Ja, mój panie, nigdy w Paryżu nie byłam, nigdym się ani filozofii, ani matematyki, ani tych pięknych rzeczy nie uczyła, które pan umie — ja umiem tylko katechizm; ale ponieważ pan jesteś tak uczony i mówisz, że Boga niema, czybyś mi pan nie mógł powiedzieć, skąd się wzięło jajo?

Te ostatnie słowa wyrzekła panienka dosyć głośno, tak, że część zebranych gości mogła je usłyszeć. Z początku zbliżyło się kilka osób, chcąc się dowiedzieć, o czem mowa — następnie coraz więcej, aż w końcu całe towarzystwo zebrało się koło okna i przysłuchiwało się rozmowie.

— Tak, mój panie, rzekła panienka — ponieważ pan mówisz, że Boga nie ma, powiedz mi pan z łaski swojej, zkąd się wzięło jajo?..

— Zabawne pytanie! Jajo wzięło się od kury.

— A kura, mój panie, zkądże się wzięła?

— Wszak panienka wie tak samo jak ja, że kura wykłuła się z jaja.

— Cóż tedy było pierwej, czy kura, czy jajo?

— Doprawdy, że nie wiem, co też pani chce ze swojemi jajami i kurami; ale aby pani odpowiedzieć, twierdzę, że kura była pierwej.

— A zatem była kura, która nie wyszła z jaja?

— Ach! przepraszam, przepraszam, nie uważałem — pierwej było jajo.

— A zatem było jajo, którego nie zniosła kura? Proszę, odpowiedz pan przecież?

— Ach, jeśli pani.... przepraszam.... widzi pani... bo to... tego...

— Widzę, że pan nie wiesz, czy jajo było przed kurą — czy kura przed jajem.

— Więc dobrze, powiadam, że kura była przed jajem.

— Wybornie! więc była taka kura, która nie wyszła z jaja; powiedz mi pan teraz, kto uczynił tę pierwszą kurę, od której wszystkie kury i wszystkie jaja pochodzą?

— Ach, pani wciąż z temi kurami i jajami! Czy pani sądzi, że ja kurami handluję?

— Wcale nie! Proszę mi tylko powiedzieć, skąd się wzięła matka wszystkich kur i jaj?

— Ale na cóż to?

— Ponieważ pan nie wiesz, to panu powiem. Ten, co pierwszą kurę, albo jeśli pan wolisz, pierwsze jajo uczynił, jest ten sam, co stworzył świat, a tego zowiemy Bogiem. Jakto, mój panie? Pan nie możesz bez istnienia Boga wytłumaczyć istnienia jaja lub kury, a chcesz bez istnienia Boga wytłumaczyć istnienie wszechświata?

Młody bezbożnik już się dalej w dysputę nie wdawał, lecz wziąwszy kapelusz, wysunął się cichaczem z pokoju, jak lis, co kury nie złapał. (Filotea, 8 rocznik).

Globus.

Sławny astronom Atanazy Kircher T. J., chcąc jednego ze swych znajomych, który wątpił o istnieniu Boga, przekonać o tem, użył następującego środka:

Wiedząc, o którym czasie ów znajomy go odwiedzi, postawił w kącie swego pokoju prześliczny globus, to jest podobiznę kuli ziemskiej, a sam pracował. Wtem wchodzi jego znajomy i spostrzegłszy ów globus, pyta zdziwiony:

— A to co? czyje to? kto to zrobił?

Kircher mu na to spokojnie:

— Nikt — samo się zrobiło i przypadkiem tam się dostało.

— Wolne żarty, kochany Ojcze — odrzekł znajomy.

Ależ wcale nie żarty — rzeczywiście ten globus przypadkiem się zrobił i do kąta mego pokoju się dostał.

Tego było już za wiele owemu panu i począł się niecierpliwić, a nawet czuł się obrażonym, że Kircher z niego żartuje. Tej sposobności użył astronom i rzekł:

— Pan nie chcesz wierzyć i uważasz to za niedorzeczność przypuścić, że ten mały globus sam przez się powstał i przypadkiem do owego kąta się dostał; a jakże pan możesz rozumnie przypuścić, że ta prawdziwa kula ziemska i całe niebo wraz z planetami i gwiazdami same przez się i prostym tylko przypadkiem powstały?

Znajomy umilkł i zawstydzony odszedł. (Wagenitz, Rel. w przykładach).

Nawrócony niedowiarek.

Roku 1838 wyszła we Francyi książka pod tytułem: „Nawrócony ateusz“ — przez radcę dworu Delauro-Dubez napisana, w której tenże opisuje swe nawrócenie do wiary w Boga w następujący sposób:

„Aż do 64go roku żyłem bez wszelkiej religii, chociaż w mojej własnej rodzinie miałem przed oczyma najwznioślejsze przykłady pobożności chrześcijańskiej, gdyż wielu z mych najbliższych krewnych wiodło życie wzorowe. Otrzymałem godność radcy dworu w Montpellier w czasie, gdy bezbożne nauki przesiąkły wszystkie warstwy społeczeństwa. Ta okoliczność, jak również i moje stanowisko niezawisłe, utwierdziły mnie jeszcze bardziej w tych błędach. Ktoby był wtenczas pomyślał, że mój rozum tak dumny, upokorzy się kiedyś aż do uwielbienia najciemniejszych i niepojętych tajemnic, i z radością za prawdę uzna to, co dla mądrości świata zda się być zgorszeniem i głupstwem — a to wtenczas, gdy się w niedowiarstwie postarzeję, a religię przez tyle lat uważać będę jako dzieło oszustwa?

Przy schyłku zeszłego roku, gdym zmienił moje mieszkanie, począłem w okolicy Montpellier odbywać częstsze przechadzki. Na jednej z takich przechadzek, nie wiem jak się

to stało — przeniosłem się myślą w dziecinne me lata, o których nigdy przedtem nie myślałem. Z rozkoszą przypominałem sobie na chwile mej niewinności i szczęścia, na ową troskliwość i miłość mej ukochanej matki, której tak wiele zależało na mojem szczęściu doczesnem i wiecznem. Z żywą rozkoszą przywodziłem sobie na pamięć najgłówniejsze rysy tej pięknej duszy, która aż do 84 roku życia poświęcała się ćwiczeniom pobożności i miłości bliźniego; zachwycałem się jej łagodnością i uprzejmością pełną prostoty i otwartości, któremi serca wszystkich sobie zjednywała; z upojeniem myślałem o jej gorliwości, z jaką codzień odwiedzała szpitale i więzienia, i szukała smętnych chat, gdzie ubóstwo i nędza mieszkały. Widziałem, jak ocierała łzy płaczących, pocieszała i wspomagała ubogich, łagodziła cierpienia i troski. Patrzałem, jak po drogach i publicznych miejscach chodziła otoczona gromadą ubogich, którzy jej aż do drzwi jej pokoju towarzyszyli, a których potrzebom hojnie zaradzała. Lecz jakże zachwycającą była w kościele! jak żarliwą była jej pobożność, jak wytrwała modlitwa! W ostatnich latach życia już nie mogła dla ułomności wychodzić z pokoju — ale i wtenczas ręce jej osłabione starością, nie spoczęły w pracy; szyła i naprawiała starą odzież którą jej inni dobroczynni ludzie dla ubogich posyłali. Pamięć mej tak

dobrej matki tak mnie zajęła, żem wylewał łzy radości i tęsknoty. Wtedy to zwróciłem się myślą ku sobie samemu i zastanowiłem się nad stanem mej duszy. Lecz jakaż otchłań przedstawiła się mym oczom! Jakże zawstydzony stałem przed obrazem mej matki, który mi duch mój tak żywo przedstawił?! Sumienie się we mnie zbudziło i czyniło mi najgwałtowniejsze wyrzuty; groźnie wołało na mnie, iż jest najwyższy porządek w świecie, nad którym czuwa i którego ster dzierży wieczny, wszechmocny i sprawiedliwy Bóg. Przerażony zawołałem: „O moja najdroższa matko! czyż to prawda, że owo wieczne szczęście, o którem mi tak często i z taką rozkoszą w dzieciństwie mówiłaś, jest teraz twoim udziałem za twe cnoty? Czyż to prawda, że ja za me dotychczasowe niedowiarstwo mam być skazany na to, by na wieki od ciebie być odłączonym?... Jakto, więc ja bym miał zawsze być bluźniercą i wrogiem tej najwyższej istoty, która ciebie za twe cnoty niewysłowionem szczęściem nagrodziła?...“

Zatopiony w takich myślach, zbliżyłem się nawet nie postrzegłszy kiedy, aż do kościoła seminarzyckiego. Wstąpiłem i mimowolnie padłem na kolana przed kratą, która wnętrze kościoła dzieliła od przedsionka i zawołałem: „O Boże mej matki! jeśli prawda, że Ty istniejesz — jeśli Ty, jak ona mnie tak często zapewniała, jesteś prawdą, mądrością

i najwyższą dobrocią — jeśliś mnie rzeczywiście stworzył na to, bym Ci służył, i słyszysz westchnienia serca złamanego, to Cię zaklinam i błagam Twej wszechmocności, byś mi raczył dopomódz... okaż, objaw się Twemu stworzeniu, oświeć i ożyw je i wprowadź na prawą drogę, bym mógł dojść do Ciebie!“

Byłem wzruszony do najwyższego stopnia; potok łez potoczył się z moich oczu; po krótkim jednak czasie uspokoiłem się i powstałem z tem mocnem postanowieniem, by szczerze szukać prawdy. Po kilku dniach udałem się do Rhodez, by tam spędzić czas mego urlopu. Większą część czasu użyłem na czytanie myśli Paskala, Bosueta. kazań Bourdalou'ego i Masillona o prawdach wiary katolickiej i wyznań świętego Augustyna. Te ostatnie były dla mnie szczególniej pocieszające; w nich bowiem znalazłem to, czego najbardziej potrzebowałem, t. j. stwierdzenie tej prawdy, że nawet ten, który jęczy pod ciężarem głęboko zakorzenionego nałogu, nie ma przyczyny rozpaczać; że wprawdzie zaciętej potrzeba walki, by ujarzmić zepsutą naturę, ale że ta walka zawsze najświetniejszem uwieńczona będzie zwycięstwem, a straszna niewola w prawdziwą wolność się zamieni“.

Delauro-Dubez nawrócił się gruntownie i doskonale. Dowodem tego jego późniejsze

życie i książka, przez którą sobie piękny postawił pomnik i wielką zjednał zasługę. W tej to księdze zbija po porządku ateizm, deizm i protestantyzm. Wspaniałe rozumowanie świetnie przeprowadzone, tak opiewa: „Każdy rozumny człowiek powinien wierzyć w Boga; kto wierzy w Boga, powinien być chrześcijaninem; każdy prawdziwy chrześcijanin powinien być katolikiem" (Herbst I).

Rozumny poganin.

W roku 1721 przybyło kilku misyonarzy do Grenlandyi, aby tamże zaszczepić wiarę chrześcijańską. Ponieważ nie znalezli u jej mieszkańców najmniejszego śladu zewnętrznej czci Bożej, wpadli na myśl, że nie mają najmniejszego pojęcia o istnieniu Boga. Zaznajomiwszy się jednak po niejakim czasie z językiem Grenlandczyków, dowiedzieli się z rozmowy z najdzikszymi nawet mieszkańcami, że przodkowie ich wierzyli w wyższą istotę, której cześć oddawali. Potomkowie ich zaniedbali jednak tę cześć, aż wreszcie zatracili jasne pojęcie o Bogu. Że przecież mieli ciemne jakieś pojęcie o Bogu, przekonano się z tego, iż odrazu przyjęli naukę o Bogu i Jego własnościach.

„Razu pewnego, opowiada Kranz w swej historyi Grenlandyi, dziwił się ktoś w towarzystwie ochrzczonych Grenlandczyków, jak

mogli przedtem być tak nierozumnymi i żyć bezmyślnie? Na to odpowiedział jeden ze starszych mieszkańców:

— Prawda, żeśmy byli nierozumnymi poganami i nic nie wiedzieliśmy ani o Bogu, ani o Zbawicielu. Bo i któżby nam miał coś o Bogu powiedzieć, nimeście wy do nas przyszli? Ale nie sądźcie, iżby żaden poganin o tem nie myślał. Ja sam nieraz nad tem się zastanawiałem. Kajak (to jest czółno myśliwskie) wraz z przyborami nie powstanie sam przez się, lecz musi być z trudem i zręcznością przez ręce ludzkie zrobiony; a kto się z nim nie umie obchodzić, łatwo go może zepsuć. Ależ najmniejszy ptaszek daleko sztuczniej zrobiony, jak najlepszy kajak — a przecież takiego ptaszka żaden człowiek uczynić nie zdoła. Człowiek jest daleko sztuczniejszy i zręczniejszy, jak wszystkie zwierzęta. Któż człowieka uczynił? Człowiek pochodzi od swoich rodziców, a rodzice znowu od swoich rodziców. Ależ zkąd pochodzą pierwsi rodzice? A zkądże jest ziemia, morze, słońce, księżyc i gwiazdy? Musi być koniecznie ktoś, co to wszystko uczynił, który zawsze był i nigdy nie może przestać istnieć. On musi być bez porównania mędrszy, jak najmędrszy człowiek; musi też być bardzo dobry, gdyż wszystko, co On uczynił, jest tak dobre i pożyteczne. O, gdybym Go mógł poznać, tobym Go dopiero kochał i uwielbiał! Ale któż

z nas ludzi Go widział, albo kto z Nim rozmawiał? Nikt. Ale mogą być przecież ludzie, którzy coś wiedzą o Nim; z tymi chętniebym chciał się rozmówić. Skorom tylko od was pierwszy raz posłyszał o najwyższej Istocie, odrazu i chętniem uwierzył, bom już tak dawno o tem wiedzieć pragnął. (Herbst, Przykłady).

Niewierny oberżysta.

Pewien człowiek, który wiele po świecie podróżował, a przez obcowanie z niewiernymi ludźmi i czytanie książek i pisemek bezbożnych wiarę w Boga utracił, osiadł nareszcie w jednem mieście i został oberżystą. W tym zawodzie dosyć miał sposobności do rozszerzania swych bezbożnych mniemań i szyderstwa z wiary w Pana Boga. Pewnego wieczora zajechali doń dwaj pobożni i cnotliwi ludzie i nie mogli się udać w dalszą podróż. Nuż tedy ów oberżysta od 6 tej wieczór do 11-tej w nocy zaczął im dowodzić, że niema Boga, ani Zbawiciela, ani sądu, ani piekła itp. Im więcej go ci podróżni chcieli przekonać słowami Pisma świętego, tem więcej on sobie szydził z ich wywodów.

O godzinie 11-tej udali się obaj podróżni na spoczynek. Jeden z nich gorzko płakał nad owemi bluźnierstwami; lecz drugi pocieszał go, mówiąc: „Wszak to nic dziwnego,

że są tacy bluźniercy. Przecież już Dawid przed 3000 lat powiedział: *„Rzekł głupi w sercu swojem, niemasz Boga! Popsowali się i obrzydliwymi się stali w zabawach swoich“*. Zaledwie pół godziny spali, powstał pożar w sąsiednim domu, a jasna łuna napełniła dom owego oberżysty przerażającem światłem. Podróżni zbudzili się, i sądzili w przestrachu, że oberża się pali; pobiegli zatem do pokoju oberżysty, zbudzili go i oznajmili, że jego dom stoi w płomieniach. Skoro więc ujrzał ów oberżysta jasną łunę — załamał ręce i zawołał:

— O wszechmocny, o potężny, o łaskawy i miłosierny Boże! pomóż mi, proszę Cię, w tem strasznem niebezpieczeństwie!

Lecz jeden z podróżnych przerwał mu tę modlitwę i rzekł:

— O, ty nierozumny człowiecze! Wszakżeś ty przez cały wieczór bluźnił i mówił, że niema Boga; a teraz ma ci pomódz ten Bóg dlatego, iż jesteś w niebezpieczeństwie?

Iluż to i po dziś dzień jest takich bluźnierców i szyderców, którzy tylko wtenczas chcą znać Boga, kiedy Go potrzebują! (Mehler, Przykł.).

Bóg jest wieczny.

Mądra małżonka.

Pewien ojciec rodziny, który już wiele się nacierpiał na świecie, stał się wskutek tego smutnym i ponurym. Żona jego, acz wszystkie te cierpienia razem z nim dzieliła, uważała jednak ten smutek męża za największe nieszczęście, i dlatego wszelkich używała środków, aby go rozweselić. Ale nic nie pomagało; słowa pociechy jak groch na ścianę padały. Pewnego dnia i sama posmutniała i do nikogo nic nie mówiła. Mąż znając jej wesoły humor i pogodne usposobienie, zadziwił się mocno i obawiał się, czy też nowy jaki cios nie spadł na nich, o którym mu żona nic nie mówi, chcąc mu oszczędzić większych cierpień. Nalegał przeto na nią, by mu wyjawiła przyczynę tak wielkiego smutku.

— Musiało się coś bardzo przykrego stać, mówił do niej, kiedyś ty sama straciła swój humor.

Lecz ona na żaden sposób przyczyny swego smutku wyjawić nie chciała, tak, iż ciekawość i obawa męża doszły do ostateczności. Po wielu wreszcie prośbach i naleganiach

i pytaniach zaczęła mu opowiadać: „Bardzo smutny sen miałam dzisiaj w nocy. Śniło mi się, że Pan Bóg umarł. Wszyscy aniołowie, i wielcy i mali szli za pogrzebem i bardzo rzewnie płakali. I mnie się smutno na sercu zrobiło, że Pan Bóg umarł, dlatego też nie mogę się pocieszyć w tym smutku".

— O jakiż to głupi sen, zawołał mąż — po długim czasie pierwszy raz się śmiejąc, jakże ci się mogło takie głupstwo śnić? Lecz sen jak sen. Ale jakże teraz na jawie możesz się tem smucić? Czyż Bóg może umierać? Czyż On nie jest wieczny?

Oblicze żony wypogodziło się zaraz i zapytała wtedy:

— Więc sen mój nic nie znaczy? więc żyje jeszcze nasz dobry Bóg?

— Rozumie się, że żyje — odparł mąż, który już zaczął myśleć, że żona jego straciła zmysły; jakże ty możesz tak dziecinnie i nierozsądnie mówić?

Z wyrazem najwyższej radości odrzekła żona:

— Jeśli więc tak jest, jak ty mówisz — jeśli nasz dobry i łaskawy Bóg jeszcze żyje, który nas już przeszło 50, a świat kilka tysięcy lat utrzymuje — jeśli ten Bóg żyje, który się o małych i wielkich po ojcowsku stara — jakże ty możesz rozpaczać i tracić w Nim ufność? Tak jak ten nasz dobry Bóg nie umarł, tak się też i nie zmienił; zawsze On jest ten sam dobry, łaskawy, Ojciec

wszystkich ludzi — a jako się starał o nas, gdyśmy byli dziećmi, tak się też będzie starał i nadal o nas i o nasze dzieci. Nie róbże więc wstydu temu dobremu Ojcu niebieskiemu i nie trać nadziei w dobroć Jego niezmienną i wieczną.

Mąż do głębi wzruszony, rzekł ze złami:

— O ty mądra, pocieszycielko! masz słuszność — tyś rozumniejsza i lepsza chrześcijanka, niż ja; odtąd z pewnością zaufam wiecznemu i niezmiennemu Bogu, i nie będę więcej rozpaczał. (Stapf. str. 48).

Młody złoczyńca.

W czasie trzydziesto-letniej wojny napadli Szwedzi jednę wieś w nocy, i bądź ze zemsty, bądź z chciwości strasznie w niej gospodarowali, rabowali, mordowali, nareszcie całą wieś podpalili. Na drugi dzień z rana stał na wzgórzu młody człowiek z dzikiem wejrzeniem i patrzał z szyderczym uśmiechem na zgliszcza zgorzałej wioski.

— Dobrze, zawołał głośno — dziarsko się Szwedzi spisali! Tysiączne wam dzięki, moi drodzy Szwedzi — wyście mnie ocalili!

— Podły złoczyńco! odezwał się nagle z po za niego starzec, który w nocy uciekł i skrył się między krzewinę — tak jesteś zły i przewrotny, że się nawet cieszysz z nieszczęścia twego bliźniego!

— Czyż nie mam się cieszyć z nieszczęścia mych wrogów? odrzekł zuchwale złoczyńca. — Za to, żem małą kradzież popełnił i starego skąpca, co nie umiał użyć swych pieniędzy, nożem do wieczności wyprawił, zamknęli mnie w tem gnieździe pełnem pobożnisiów, i zdawało się, że mnie nareszcie powieszą. Ale poczciwi Szwedzi szyki im pomięszali; podczas gdy wszystkim sędziom, świadkom i ich pomocnikom łby w nocy ścinano — jam uszedł w zamieszaniu. Terazem wolny jak ptak i nikogo się już nie boję, bo wszyscy moi wrogowie zginęli.

Tak mówił w szalonej radości młody złoczyńca.

— Więc myślisz, rzekł starzec, że wszyscy twoi wrogowie, jak ty nazywasz stróżów sprawiedliwości — już pomarli? Bardzo się mylisz, bo *najstraszniejszy twój przeciwnik żyje* jeszcze; żyje jeszcze jeden *przeciwnik*, który cię nigdy z oka nie spuszcza, z którego rąk całe wojsko szwedzkie cię nie wywie; On ściągnie tylko swą rękę i wtrąci cię w więzienie stokroć ciemniejsze i to na zawsze,

— Któż to jest ten *przeciwnik?* pytał po części przestraszony, po części ciekawy złoczyńca; przecież nie ty stary kaleko?

— Nie, mnie się nie masz czego obawiać, rzecze starzec; ale drżyj przed tym, co jest tam w górze, i żyje wiecznie i wiecznie

twym wrogiem będzie — drzyj przed wiecznym Mścicielem! Jako niegdyś krew Abla, tak i krew tego, któregoś zamordował, woła do tego *wiecznego* Sędziego o pomstę. Jak pierwszego mordercę Kaina, tak i ciebie ścigać będzie na ziemi bez przerwy nieczyste sumienie — a wreszcie, gdy się najmniej spodziewać będziesz, zapadnie wyrok — Sędzia skinie, a silny jego woźny, któremu nikt jeszcze nie umknął, śmierć, pochwyci i zawlecze cię przed jego trybunał. — Widzisz tam na dole zgliszcza spalonej wsi — czy dałbyś się w nie ze związanemi rękami i nogami wrzucić, abyś za twe zbrodnie odpokutował? A oto patrz! Twój wieczny nieprzyjaciel dla ciebie i tobie podobnych rozniecił ogień, który tak długo goreć będzie, jak długo żyć będzie ten, którego wszechmocność go rozpaliła, to jest zawsze i wiecznie. I wiecznie — bez nadziei ulgi albo uwolnienia, trzymać cię będzie wieczny twój nieprzyjaciel — Bóg sprawiedliwy — w piekielnem więzieniu, skąd nie ma wyjścia! Szatani będą twymi wiecznymi katami, potępieni wszystkich wieków wiecznymi, nieznośnymi towarzyszami. I czyż jeszcze myślisz, że się nie potrzebujesz obawiać żadnego nieprzyjaciela, żadnego więzienia? Drżyj więc przed tym, który na wieki twym wrogiem zostanie, którego pomsty i zasłużonej kary za swe uczynki nie ujdziesz, jeśli Go

jeszcze wczas nie przebłagasz i jego przyjaźni nie pozyskasz!

Tak mówił starzec — a szyderca dopiero co tak wesoły, przerażony do głębi na wspomnienie o swym *wiecznym nieprzyjacielu*, jakim jest dla złych Bóg — odszedł zamyślony w milczeniu. Później dowiedział się starzec z wielką dla serca pociechą, że ów młody złoczyńca oddał się sam dobrowolnie w ręce sprawiedliwości – i pełen skruchy, wyspowiadawszy się, poniósł *doczesną* karę, aby ujść *wiecznej*.

Straszną tedy, ale i zbawienną jest dla złego człowieka myśl o *wieczności* Pana Boga; bo Bóg będzie na wieki nieprzyjacielem wszystkich zatwardziałych grzeszników i ma więzienie, wiecznie zamknięte i ogień wiecznie gorejący. (Zwierciadło obyczajowe z r, 1891, tom I).

Najlepszy wybór.

Joanna, córka Alfonsa V, króla Portugalii, odznaczała się niemniej przymiotami ciała, jak cnotami i dobrocią serca. Dla tych przyczyn starali się najprzedniejsi książęta chrześcijańscy owego czasu o jej rękę. Między innymi Ludwik XI, król francuski, dla syna swego Karola VIII; Maksymilian, arcyksiąże austryacki, późniejszy cesarz niemiecki i Ryszard III, król angielski. Ojciec dość

jasno dał jej do poznania, jakby mu było miło, gdyby jednego z tych potężnych władców chciała sobie wybrać za małżonka.

Razu pewnego użyła więc stosownej chwili i pełna dziecięcej miłości i uszanowania, rzekła do ojca:

— Najdroższy ojcze, szlachetny panie i królu! Potężni władcy starają się o moją rękę i pragną mnie mieć za małżonkę. Nie zmierne skarby stoją mi otworem, świetne nadzieje roztaczają się przedemną; wiem, iż mogę zostać królową — a nawet cesarzową. A cóż mi pomoże złoto i srebro, co mi pomoże zaszczyt i wysoki tytuł? To tylko blask, co szybko przeminie; życie go da, a śmierć go odbierze. Dlatego dobrzem ,się nad tem zastanowiła. Przeczytałam z uwagą imiona wszystkich książąt, którzy się o moją rękę starają; a gdym tak czytała, pytałam się w duchu każdego z nich: „Jakto? czy ty nigdy serca mego nie zasmucisz?“ I zdało mi się, jak gdyby mi każdy odpowiadał: „Za życia nigdy — ale wtenczas, gdy nieubłagana śmierć nas rozłączy; w tej smutnej chwili twe serce się zakrwawi, twe oko zapłacze, a wszystkie te skarby, co ci je na posag dajemy, nie będą miały wtenczas żadnej dla ciebie wartości“ Ta mowa okropnie smutno brzmiała mi w uszach i sercu. Wtem zgłasza się do mnie nowy, bogaty oblubieniec i mówi mi: „Księżniczko, wybieraj mądrze!

I ja ci *ofiaruję moją rękę*, która całe królestwo na swych palcach nosi, a korony rozdaje wszystkim królom i książętom ziemi! Ja sam jeden nie umieram, wieczne jest panowanie moje, wieczne są skarby, które ci w posagu ofiaruję".

Rzekłszy to, znikł.

— Powiedz teraz, drogi ojcze jaki wybór ma twa córka uczynić? Powiedz i śmiało i otwarcie, jak ci twe serce i obowiązek ojcowski nakazuje.

A Alfons rzekł bez namysłu:

— Joanno, drogie me dziecię! tego ostatniego Oblubieńca wybierz — Króla, który jest wieczny i którego skarby trwają na wieki.

Z uniesieniem radości słuchała Joanna rady ojcowskiej, która się zupełnie zgadzała z jej od dawna żywionem pragnieniem, i wstąpiła do zakonu PP. Dominikanek, aby się stać na wieki oblubienicą tego, który na wieki jest, żyje i wiecznemi dobrami nagradza tych, którzy Go kochają, Jemu służą, jak Joanna, pobożna księżniczka, (O Reinhald, Drabina niebieska).

Bóg jest wszystkowidzący.

Dzielny oficer.

Sławny i uczony kaznodzieja O. Franciszek Hunolt T. J. opowiada piękny przykład następującej treści:

Pewien obywatel z wyższej szlachty wstąpił do wojska i został kapitanem. Ale nawet wśród wrzawy wojennej nie zapomniał o obowiązkach religii; przeciwnie, tem więcej ćwiczył się w pobożności, im stan jego był niebezpieczniejszy, a czasy groźniejsze. Znalazł sobie spowiednika pomiędzy Ojcami Towarzystwa Jezusowego i cały stan swej duszy przed nim wyjawił. Razu pewnego przyznał się szczerze, że jeszcze nigdy ciężkim grzechem Boga nie obraził; a gdy go ów ojciec zapytał, jakimby środkiem duszę swą tak czystą zachował, a to w tak wielkich i licznych niebezpieczeństwach, na jakie stan wojskowy jest narażony, odpowiedział:

— Już od dzieciństwa otrzymałem w książęcym konwikcie w Parmie pobożne wychowanie. Tam to głęboko wyryłem sobie w pamięci te słowa: *„Pan Bóg cię widzi“* i na te słowa nigdy nie zapominałem. Wszystkie pokusy do nienawiści, do zemsty, do rabunku

do nieczystości, zwyciężałem temi słowy: „*Bóg cię widzi*“. W każdej pokusie mówiłem sobie: „Gdyby Jego Cesarska Mość był tu obecny i patrzał na mnie, tobym z pewnością na ten lub na ów haniebny czyn nie zezwolił; miałżebym teraz coś złego uczynić, kiedy mnie widzi wszystkowidzący i najwyższy majestat Boży?“

Takiemi i tym podobnemi myślami zwyciężał dzielny i mężny oficer nietylko siebie samego, ale i nieprzyjaciół swoich. Wyznał bowiem otwarcie, że mu właśnie pamięć na Boga wszystkowidzącego dodawała w walce niewysłowionej odwagi, gdyż myślał: „Bóg wszechmocny jest tu obecny; On widzi moje niebezpieczeństwo, w którem mnie obowiązek postawił; widzi moją potrzebę i dlatego może mi dopomódz i dopomoże mi pewnie!“

O jak to pięknie! Czyż i my nie powinnibyśmy się jak ów dzielny oficer pamięcią na Boga wszystkowidzącego uzbroić i wzmocnić, ilekroć nas namiętność do grzechu pociąga? Czyż i my nie mielibyśmy z równą ufnością wznosić serc naszych ku temu wszystkowidzącemu Bogu we wszystkich cierpieniach i doświadczeniach tego życia i rozważać, że On widzi nasz ból i łzy nasze, i że je może otrzeć i otrze z pewnością, według obietnicy udzielonej płaczącym? (Mehler, Przykłady).

Taida.

W czwartem stuleciu żyła w Egipcie pewna nieobyczajna osoba, imieniem Taida. Święty pustelnik Pafnucy czuł niewypowiedziany ból w sercu, gdy słyszał o jej występnem życiu. Długo więc i gorąco prosił Boga o pomoc i powziął zamiar wyrwać ją z przepaści i nawrócić do Niego. Przebrał się tedy i przyszedł do niej prosząc, by zechciała z nim w najodleglejszym pokoju pomówić. Prowadziła go tedy do kilku pokoi — lecz Pafnucy mówił:

— Tu nie jesteśmy dość bezpieczni.

Zawiodła go nareszcie do pokoju najbardziej ukrytego i rzekła zniecierpliwiona:

— Już tu pewnie żadne oko ludzkie nas nie zobaczy; ale jeśli się chcesz ukryć przed okiem Boga, to pewnie w całym domu takiego kąta nie znajdziesz, gdzieby cię Bóg nie zobaczył.

— Jakto? zapytał Pafnucy—więc ty wiesz, że jest Bóg?

— Rozumie się, że wiem — odrzekła zdziwiona Taida; wiem nawet, że Bóg dla dobrych niebo, a dla złych piekło zgotował!

— Więc jeśli o tem wiesz, mówił dalej Pafnucy poważnie i surowo — jak możesz w oczach wszystkowidzącego i wszędzie przytomnego Boga, tak występne życie prowadzić?

Słowa te przenikły aż do głębi serce grzesznicy, rzuciła się ze skruchą do stóp świętego męża — czyniła odtąd ostrą pokutę, — a po długiem życiu pokutnem umarła jako Święta. (Lohner, Bibl.).

Bóg jest świadkiem niewinności.

Biedna Maryanna.

We wsi Wolna, księstwie Brabancyi, żyła bardzo pobożna panienka, imieniem Maryanna. Była bardzo uboga, ale otrzymała od rodziców najdroższy skarb, bo dobre i chrześcijańskie wychowanie; dlatego najgorliwiej starała się o to, by niewinność na chrzcie świętym otrzymaną zachować. Pewien nikczemny rozpustnik starał się ją uwieść, i używał wszelkich środków, by zezwoliła na jego niecne zamiary — ale daremnie.

Pewnego dnia zaproszono ubogą, ale dla uczciwości powszechnie szanowaną Maryannę na obiad do zacnych ludzi. Skoro tam przyszła, zostawiła zawiniątko z robotą w sieni, a sama wstąpiła do pokoju. Nikczemny ów człowiek, który na nią czatował, ukradł w tymże domu

srebrny kubek i schował go do jej zawiniątka. Po krótkim czasie spostrzegli państwo, że kubek zginął, a podejrzenie padło zaraz na ubogą Maryannę. Rozpustnik przyszedł więc do niej i opowiedział jej, co o niej mówią. Maryanna będąc niewinną, zapewniała go, że nic nie ukradła. Wtenczas rozwiązał ów niegodziwiec zawiniątko, którego Maryanna powróciwszy, nie otwierała, i wyjął z niego ów srebrny kubek. Przelękła się dziewica na ten widok; ale sobie ani poradzić, ani pomódz nie mogła. Zagroził jej zatem, że jeśli na jego zamiar nie zezwoli, natychmiast ją do sądu o kradzież zaskarży. Ale Maryanna uczyniła jak druga Zuzanna; wolała niewinnie być oskarżoną, jak stracić niewinność.

Pałając gniewem i zemstą, poszedł zwodziciel do sądu i oskarżył Maryannę o kradzież, pokazując ów kubek. Stawiona przed sąd uboga dziewica, rzekła:

— Nie zapieram się, że kubek w mem zawiniątku znaleziono! ale nie wiem wcale, jak się tam dostał. Jam go nie ukradła.

Nie pomogło ani tłumaczenie, ani żadne prośby; ponieważ przeciw niej wszelkie pozory przemawiały, została uznana winną kradzieży i na śmierć skazana. Jeszcze wieczór tego samego dnia miała być zaprowadzona na miejsce stracenia. Gdy ją wiedziono koło jej mieszkania, wyprosiła sobie jeszcze tę ostatnią łaskę, by się mogła pomodlić przed

obrazem Pana Jezusa. Tu pocieszała się pamięcią na Boga wszystkowidzącego, który zna jej niewinność, jak niegdyś pocieszała się Zuzanna! modliła się też i za tych, którzy ją tak niewinnie śmiercią karali. Po skończonej modlitwie zaprowadzono ją na miejsce stracenia. Wykopano dół taki w ziemi, aby się jej ciało w nim zmieścić mogło; zawiązano jej oczy, skrępowano powrozami ręce i nogi — włożono ją w ten dół i przysypano ziemią. W końcu o straszne katuszy! wbito ostry pal w zasypany grób, który na wskróś przebił jej ciało.

Tak umarła Maryanna, biedną nazwana, około roku 1290. Lecz niegodziwy ów człowiek, dręczony wyrzutami sumienia, że stał się przyczyną tak okrutnej śmierci niewinnej dziewczyny, nie miał odtąd ani dnia, ani nocy spokojnej. Nieustannie stała mu przed oczyma groźna postać niewinnej dziewicy i surowo go za zbrodnię karciła. Nieraz mu przychodziła myśl samobójcza, aby położyć koniec nieznośnemu życiu. Wreszcie po kilku latach, nie mogąc już dłużej znieść okropnych katuszy wewnętrznych, stanął przed sądem, wyznał swą zbrodnię, a niewinność Maryanny wyszła na jaw. (Domeniko, Nauka w przykładach).

Bóg jest wszechmocny.

Święty Kanut.

Święty Kanut, król duński, miał, jak każdy możny tego świata, wielu pochlebców. Ci, chcąc się wśliznąć w jego łaskę, mówili mu nieraz:

— Królu, tyś jest jednym z najpotężniejszych monarchów, bo nietylko nad lądem, ale i nad morzem dzierżysz panowanie!

Kanut brzydził się tak podłemi pochlebstwami i chciał ich tej podłej namiętności oduczyć i raz na zawsze usta im zamknąć. Wziął ich tedy razu pewnego na przechadzkę. Skoro stanęli nad brzegiem morza, pochlebcy jednogłośnie zawołali:

— Niech żyje król i władca morza!

Król nic nie odpowiedziawszy, usiadł sobie nad brzegiem morza i krzyknął surowo:

— Morze! ponieważ ja jestem twoim panem i królem, zakazuję ci, abyś się nie ważyło zbliżać i dotknąć się mnie!

Ale rozhukany żywioł nie słuchał zakazu króla — coraz się ku brzegom zbliżał i przemoczył mu suknie. Wstał tedy król i zbliżywszy się do swych dworzan, rzekł:

— O wy pochlebcy! Patrzcie na waszego

potężnego króla, o którym mówicie, że i morze jest jego poddanym! Oto ani kropelki wody nie mogłem swoim zakazem od siebie oddalić! Nikt nie jest potężny — tylko Bóg sam, i nikomu nie należy się chwała wszechmocności tylko temu, co wszystko stworzył, wszystko utrzymuje i który sam jeden jest wszechmocny. (Lohner. bibl. I, 532).

Mądry błazen.

Pewien niemiecki książę oprowadzał posła zagranicznego państwa po swoim pałacu i pokazywał mu piękność i wspaniałość jego budowy. Błazen, który według ówczesnej mody zawsze księciu towarzyszył, słysząc te przechwałki, wskazał na niebo i rzekł z całą wolnością słowa, jaka błaznowi przysługiwała:

— Panie bracie! tylko nie zanadto się przechwalaj twoim pałacem! popatrz lepiej na niebo! Twój pałac ma mocne filary i głębokie fundamenta; nic zatem dziwnego, że mocno stoi. Ale ów wielki budowniczy, co tam mieszka wysoko, nie potrzebuje dla swej ogromnej i niezmierzonej budowy żadnych filarów. Przed takim budowniczym trzeba mieć respekt. On trzyma niebo w swoich palcach, a ziemia jest podnóżkiem nóg Jego.

Książę umilkł zawstydzony i nie przechwalał się więcej.

Ocalony okręt.

Przed niedawnemi czasy zawinął do portu w Tönningen okręt bez masztu i żagli, szaloną burzą morską prawie zupełnie zniszczony. Pomiędzy podróżnymi znajdującymi się na okręcie, była także matka z dwojgiem dzieci, z których starsze 7, a młodsze 4 lata miało.

Kapitan okrętu wstępując na ląd, wskazał palcem na siedmioletnią dziewczynkę i rzekł do otaczających go mieszkańców:

— To dziecko ocaliło mój okręt. Kiedy morze szalało a niebezpieczeństwo do najwyższego stopnia doszło, rzekłem pełen trwogi:

— Zdaje się, że P. Bóg umarł. Ale dziecko to natychmiast przerwało mi mowę i rzekło:

— Nie — P. Bóg nie umarł, tylko śpi; ale w stósownej chwili pewnie się obudzi!

Wkrótce potem szalona burza przewróciła okręt. Wtenczas zawołałem na głos:

— Gotujcie się na śmierć! tu nasz grób! Ale dziecię to przerwało mi powtórnie i rzekło:

— Nie — tak daleko jeszcze nie doszło; Jezus jest jeszcze na okręcie!

W tem fala porwała okręt w górę i zaniosła go szczęśliwie do portu.

IMPRIMATUR.

(L. S.) † *Albinus.*

Cracoviae, die 15. Novembris 1887. Eppus.

Bóg jest najmędrszy.

Mądrość Boża okazuje się nietylko w stworzeniu i rządach świata, ale także i to najbardziej, w kierowaniu losami ludzkiemi. Ponieważ Bóg jest miłością i dobrocią nieskończoną i nic nie ma w nienawiści z tego, co uczynił, a przytem najlepiej wie, co człowiekowi do zbawienia jest potrzebne; więc wszystko kieruje ku naszemu dobru, a nawet cierpienia zsyła w tym celu, aby nam zapewnić zbawienie.

To miłosne działanie Boże, przez które Bóg wszystko ku naszemu dobru kieruje, nie naruszając wcale wolności człowieka, zowie się Opatrznością.

Sen.

Pewien pobożny, lecz cierpieniami licznemi bardzo skołatany człowiek, zaczął już prawie powątpiewać o Boskiej Opatrzności. To powątpiewanie gryzło go prawie więcej, jak inne cierpienia i łzy gorzkie mu wyciskało. Smutkiem znużony zasnął i miał dziwny sen. Oto jego słowa:

— Zdawało mi się we śnie, jakobym gdzieś podróżował i zabłądził. Wtem zbliża się do mnie jakiś człowiek i obiecuje mi wskazać

drogę. Idę za nim. Wstępujemy w dom jakiegoś gospodarza, który nas bardzo gościnnie przyjął i najhojniej uraczył. Przy odejściu spostrzegłem, jak mój towarzysz ukradkiem wziął złoty puhar, który stał na uboczu. Na drugi dzień wstąpiliśmy w gospodę do jakiegoś bardzo złego człowieka, który nam zaledwie kącika małego na nocleg użyczył; sam zaś nic nie robił, tylko jadł, pił i klął niemiłosiernie. Żegnając się, zostawił mu towarzysz mój ów złoty puhar, co go wziął tamtemu. Na trzeci dzień przyszliśmy znowu do bardzo cnotliwego człowieka, który nas wybornie ugościł. Ależ przy odejściu zapalił mu mój towarzysz dom, tak, że nagle stanął cały w płomieniach.

Na czwarty dzień znaleźliśmy znowu bardzo gościnne przyjęcie u innego obywatela. Towarzysz mój oświadczył, że nie zna dobrze drogi; ów zatem obywatel posłał z nami własnego syna, aby nam pokazał drogę. Lecz skorośmy przyszli na most nad głęboką zbudowany rzeką, strącił mój przewodnik biednego chłopca do wody, w której utonął. Okrutny ten czyn oburzył mnie do tego stopnia, żem już nie mógł wytrzymać i zawołałem głośno:

— O ty niegodziwcze! wolę raczej sam po dzikich pustyniach chodzić i od tygrysów zostać pożartym, jak z tobą złośniku, w dalszą iść drogę!

Gdy tak mówiłem, zajaśniał nagle przewodnik mój nadziemskiem światłem i rzekł z godnością i powagą:

— Znaj i podziwiaj drogi Boskiej Opatrzności!

Puhar, który wziąłem pierwszemu, był zatruty, i każdemu coby się go dotknął, bardzo szkodliwy. Dlatego wziąłem go pobożnemu, a dałem złemu za karę. Pod popiołem domu, który podpaliłem, leży skarb ukryty; ów cnotliwy człowiek znajdzie go i wiele dobrego zdziała dla ludzi. Chłopiec zaś ten, którego wtrąciłem do rzeki, byłby był wkrótce zamordował własnego ojca, stałby się był ciężarem i zgryzotą swej matki i hańbą dla swych krewnych. — Przestań więc wątpić o Boskiej Opatrzności i naucz się jej drogi ze czcią uwielbiać, chociaż ich nie rozumiesz.

To rzekłszy, znikł mój przewodnik, a ja się zbudziłem. (Schönberg).

Misyonarz w Syryi.

Pewien misyonarz ukończywszy swe prace apostolskie w okolicy góry Libanu, otrzymał od swych przełożonych rozkaz udania się w inne strony. Z tej tedy swej podróży opowiada następujący rys dziwnych dróg Boskiej Opatrzności:

Odjechałem, pisze, z mym towarzyszem i chciałem się udać do Beskomty, miejsco-

wości leżącej w pobliżu kraju Druzów. Po drodze miewałem kazania we wsiach katolickich, słuchałem spowiedzi i miałem tę pociechę, żem wiele zbłąkanych owieczek na prawą drogę przyprowadził. Jednego dnia spotkał mnie pewien ojciec chrześcijańskiej rodziny. Poznawszy, że jestem misyonarzem, zbliżył się do mnie z uszanowaniem i błagał mnie ze łzami w oczach, abym jego i całą rodzinę wyspowiadał, mówiąc, że już oddawna tęsknią wszyscy za misyonarzem, i że ma pewne przeczucie, iż go odwiedzę. Zapytałem go więc, czy mieszka w pobliżu Beskomty, czy może nie trzeba będzie wielkiego koła robić. Lecz on bez ogródki odpowiedział, że mieszka w górach bardzo oddalonych, i że jest prawie zupełnie odcięty od ludzi. Chociaż mi więc bardzo bolesnem było, oświadczyłem mu, że w żaden sposób prośbie jego zadośćuczynić nie mogę, gdyż rozkaz przełożonych, bym jak najspieszniej przybył do Beskomty, nie pozwala mi tak daleko zboczyć z drogi; pocieszałem go jak mogłem, ale on całując mnie w rękę, mówił pełen zaufania:

— Ojcze! Ty przyjdziesz — ty z pewnością do nas przyjdziesz i to pierwej, niż się spodziejesz, bo my tak gorąco modlić się będziemy, że nas Pan Bóg z pewnością wysłucha.

Nie zważając na te ostatnie jego słowa,

udałem się w dalszą podróż; zwiedziłem jeszcze kilka wiosek i chciałem spiesznie zdążać do celu mej podróży. Ale nie mając przewodnika, zabłądziliśmy w górach i wieleśmy ponieśli kłopotów. Całą noc byliśmy w trwodze nie zmrużywszy oka.

Na drugi dzień, gdyśmy się przedzierali przez zarośla i haszcze, ujrzeliśmy przed sobą wielką zagrodę, stojącą na pustyni zupełnie samotną. Skierowaliśmy tedy kroki nasze ku owej zagrodzie — ale jakżeśmy się zdziwili, gdyśmy w gospodarzu poznali owego ojca rodziny, który nas przed kilku dniami tak usilnie błagał o odwiedziny. Spełniły się tedy w zupełności jego słowa, że z pewnością, i to pierwej niż się spodzieję, odwiedzę go, dlatego, że i on i jego domownicy gorąco o to modlić się będą.

Jako posłów z nieba przyjęto nas z radością — a praca moja misyjna uwieńczona została tam najpomyślniejszym skutkiem. — Żniwo było obfite; gdyż na zapewnienie gospodarza, że z pewnością misyonarz przybędzie, przygotowali się wszyscy jak najlepiej i przyjęli ze łzami św. Sakramenta. Ja zaś w głębi serca mego mówiłem do siebie: „Niech będzie na wieki pochwalony Ojciec miłosierdzia, który rosę niebieską tak obficie wylał na tę samotną rodzinę“.

Eulogiusz.

Za czasów Justyna, cesarza wschodniego, żył ubogi wyrobnik, imieniem Eulogiusz. Umiał on tak swoje ubóstwo z cnotą i bojaźnią Bożą połączyć, że pieniędzmi, które przez cały dzień w pocie czoła zarobił, wieczorem z ubogimi i podróżnymi się dzielił. Razu jednego przyszedł do niego pewien świątobliwy pustelnik, imieniem Daniel. Ujrzawszy na własne oczy nadzwyczajną miłość Eulogiusza, począł gorliwie prosić Pana Boga, aby raczył tak pobożnemu i dobroczynnemu Eulogiuszowi większego bogactwa udzielić, twierdząc, że gdy zostanie bogatszym, bezwątpienia daleko więcej dobrego czynić będzie i stanie się ojcem ubogich i podróżnych.

Trzy tygodnie trwał Daniel na modlitwie. Wtem Pan Bóg objawił mu, aby się przestał modlić za Eulogiusza, bo większe bogactwo będzie mu szkodliwe i może go wtrącić na wieczną zgubę do piekła. Ale pustelnik nie przestawał się modlić za Eulogiusza; tak wysokie bowiem miał przekonanie o wytrwałej cnocie jego, że się nawet nie wahał dać Panu Bogu niejako na zastaw za niego własnej swej duszy.

Jakoż Eulogiusz łupiąc i tłukąc według zwyczaju kamienie, znalazł razu jednego

ogromny skarb w ziemi ukryty — i stał się naraz milionowym panem. Cóż tedy uczynił z temi pieniądzmi? Zbudował zapewne, pomyślisz — wspaniały kościół, ogromny szpital, dom dla ubogich, i stał się jak Job cierpliwy, ojcem wdów i sierót. Ale się grubo mylisz. Wielki ten majątek, tak nagle bez pracy nabyty, odebrał Eulogiuszowi rozum; bo ten, co niegdyś tak był hojny i cnotliwy, stał się skąpym aż do brudoty, podniósł się w pychę i oddał się wszelakiej rozpuście. Udał się bowiem do stołecznego miasta Konstantynopola, kupił sobie rozległe dobra i wspiął się za pomocą przekupstwa na wysoki urząd. Zapomniał o Bogu i jak ów ewangieliczny bogacz, stał się zgorszeniem dla całego miasta.

Z wielkim serca bolem dowiedział się Daniel o gorszącem życiu Eulogiusza; udał się więc do Konstantynopola, aby dawnego przyjaciela swego odszukać i do upamiętania przywieść. Odszukawszy go, napomniał łagodnemi słowy i błagał na wszystko w świecie, aby się upamiętał. Ale Eulogiusz skarcił go surowo, obił i precz z domu wyrzucił.

Uznał wtenczas Daniel swój błąd, padł na kolana i ze łzami w oczach tak się modlił do Boga: „O wszystkowiedzący Panie i Boże! Jakże ślepe i nierozumne są pragnienia ludzkie! Jako głupie dzieci prosimy Cię o to, co nam najbardziej szkodzi — gdzieżbym ja

był mógł kiedy przypuścić, że ów tak pobożny i dobroczynny Eulogiusz, gdy zostanie bogatym, porzuci swe życie cnotliwe i stanie się takim grzesznikiem? O najłaskawszy i opatrzny Boże! przebacz mi moją natrętność i powróć Eulogiuszowi dawne ubóstwo, aby pracował i nie został potępiony!“

Bóg wysłuchał modlitwy Daniela. Po śmierci albowiem cesarza Justyna odebrano Eulogiuszowi ów za pieniądze kupiony urząd. Wskutek tego wplątał się tenże w jakiś spisek, po którego odkryciu Eulogiusz postradał wszystkie dobra i wydalony został z kraju. Stawszy się ubogim, wszedł w siebie, został jak dawniej wyrobnikiem, tłukł kamienie i stał się jeszcze pobożniejszym i cnotliwszym jak przedtem.

Bóg wie, co komu potrzeba.

Monegunda.

Święta Monegunda miała dwie córki nadzwyczajnej piękności. Myśląc je świetnie wydać za mąż, starała się ich piękność podnieść przez najdroższe suknie i kosztowne ozdoby, aby się mogły tem więcej podobać. Dumną była ze swoich córek, a córki stały się próżne — przemyśliwały tylko o zabiciu czasu na zabawach, i długie godziny trwoniły przy zwierciedle. Lecz cóż się dzieje? Nagle wpadły obie w ciężką chorobę — i pomimo sta-

rań lekarzy, w krótkim czasie pomarły. Ten tak okropny cios wprawił matkę niemal w szaleństwo; dnie i noce płakała nieszczęśliwa i chciała umrzeć, aby się z swemi córkami połączyć.

Po pierwszych jednak wybuchach boleści uspokoiła się nieco i namyśliwszy się lepiej, rzekła:

— Jakto? czyż nie byłam bardzo głupią, żem Boskiej Opatrzności tak zuchwale czyniła wyrzuty? Czyżem nie wiedziała, że dzieci moje były także śmiertelne? Może właśnie dlatego pomarły, abyśmy wszystkie trzy zostały ocalone: one od zepsucia świata, a ja od zapomnienia o Bogu? Odtąd więc Boże mój, chcę całkowicie do Ciebie należeć, i Tobie me serce bez podziału oddać.

Jak rzekła — zrobiła; porzuciła świat i jego próżności, i oddała się na wyłączną służbę Bożą. (Św. Grzegorz Tur.).

Rozumny lekarz.

Ludwik, landgraf Turyngii, choć wiele miał zalet ducha, prowadził jednak życie bardzo występne i okazywał się głuchym na wszelkie upomnienia swych szczerych przyjaciół. Gdy mu ci przedstawiali, żeby się przecież nad tem zastanowił, iż go takie życie wtrącić może w wieczną zgubę, gdy mu przypominali o karzącej sprawiedliwości Bożej, od-

powiadał im niemniej przewrotnie jak bezbożnie:

— Bóg już od wieków wszystko nieodmiennie i mocno postanowił. Jego postanowień nic zmienić nie zdoła. Jeśli więc Bóg postanowił, abym był zbawiony, to mogę tyle złego czynić, ile mi się podoba, a przecież nieba nie stracę; jeśli zaś Bóg postanowił mnie potępić, to mi nic nie pomogą moje dobre uczynki do osiągnienia szczęścia wiecznego. Dlaczegoż więc miałbym unikać złego, a czynić dobre, kiedy ani złe, ani dobre do nieba mnie zaprowadzić nie może?

Tak mówił ów zaślepiony, jak gdyby już wtenczas Kalwin swoją bezbożną i bluźnierczą naukę o bezwarunkowem przeznaczeniu był wynazł.

Zaślepienie jego, miasto się umniejszać, rosło coraz bardziej, i zdało się być nieuleczalnem tak, że przyjaciele jego byli bardzo strapieni. Między nimi znajdował się lekarz, człowiek uczony, mądry i bardzo bogobojny, który boleśnie odczuwał smutny stan duszy swego pana, i zaufania, jakiem się szczycił, nieraz chciał użyć, by go do upamiętania przywieść — ale zawsze daremnie. Wtem Bóg sam wdał się w tę sprawę. Landgraf zapadł w ciężką chorobę, która go mogła o śmierć przyprawić. Wezwano lekarza, który przyszedłszy, ujrzał chorego w najwyższym stopniu gorączki, wijącego się w najgwałto-

wniejszych cierpieniach na łożu boleści. Chory opowiadając mu swój stan, nakazuje, aby go jak najspieszniej ratował. Lekarz użył tej chwili, by swego pana najpierwej na duszy uleczyć.

— Szlachetny Panie — rzekł — pan nie potrzebujesz żadnego lekarstwa.

— Jakto? — odrzekł chory — czyż nie widzisz, żem jest bardzo chory i osłabiony?

— Tak jest, mój panie — jesteś niebezpiecznie chory.

— Czyż choroba ma się sama od siebie uleczyć?

— To nie — ale moje lekarstwa cię nie uleczą. Bo albo Bóg postanowił, że Jego Miłość umrzesz z tej choroby, a w tym razie nie pomogą ci żadne lekarstwa — albo postanowił, abyś wyzdrowiał — a w tym razie i bez lekarstw wyzdrowiejesz!

Landgraf, który jeszcze nie spostrzegł podstępu lekarza, zniecierpliwił się i rozgniewany rzekł:

— Czy spełnisz ty twoją powinność?! Czy nie wiesz, że Bóg także postanowił, abym pewnych lekarstw używał, jeśli chcę wyzdrowieć? Ty tylko użyj twej sztuki — a zostaw Bogu to, co On postanowił.

Takiej odpowiedzi czekał tylko lekarz.

— Przebacz, łaskawy panie — rzekł skromnie. Ty mniemasz, że silne lekarstwo może się przyczynić do ocalenia twego życia, po-

mimo postanowienia, jakie Bóg uczynił o życiu lub śmierci twojej — a nie chcesz wierzyć, że dobre uczynki mogą się przyczynić do tego, aby ci wieczne szczęście wyjednać? Czyż ciało i dusza nie są w ręku Bożem? To co mówię o uleczeniu ciała, stosuje się także do ocalenia duszy. Bóg postanowił powrócić ci zdrowie ciała, jeśli stosownych lekarstw użyjesz — tak samo postanowił zbawić twą duszę, pod warunkiem, że duchownych środków pokuty i dobrych uczynków użyjesz.

Tak mówił rozumny i zacny lekarz; a słowa jego trafiły do serca landgrafa. Wszedł w siebie, a że miał umysł bystry i przenikliwy, uznał, że kto na jedno przystaje, co się tyczy ciała, ten także i drugie, co się tyczy duszy, przyznać musi. Przyznał zatem szczerze lekarzowi słuszność. Ten tedy czemprędzej zadał mu najskuteczniejsze lekarstwo, i za Boskiem błogosławieństwem miał tę wielką pociechę, że ujrzał landgrafa i na ciele i na duszy uleczonym.

Z tego przykładu poznać możesz, że choć Pan Bóg wie od wieków, czy będziemy zbawieni, czy nie, to jednak zawsze zostaje w naszej mocy zbawić się, albo nie zbawić, stosownie do tego, czy zechcemy z łaską Bożą współdziałać, czy się jej sprzeciwiać.

Bóg jest sprawiedliwy.

Nie mówimy tu o tej sprawiedliwości Bożej, która tych, co w uporze swej złości trwają, karze na wieki — a tych, co aż do śmierci w cnocie wytrwają, nagradza niebem; ale o tej, która nawet w tem życiu nieraz karze złości ludzkie, a nagradza cnotę zawsze najsłodszym spokojem sumienia.

Śmierć Nerona.

Cesarz rzymski Nero, którego okrucieństwa zwłaszcza przeciw chrześcijanom, wszystkim są znane, doznał, jak straszną rzeczą jest wpaść w ręce sprawiedliwego Boga. Gdy już matkę, żonę i nauczyciela kazał zamordować, gdy z chrześcijan czynił sobie dla rozrywki pochodnie, aby mu wieczorem oświecały drogę — gdy wreszcie Rzym podpalić kazał i cieszył się widokiem palącego się miasta, napawając się rozkosznie jękiem i płaczem nieszczęśliwych jego mieszkańców, dopełnił miary swych nieprawości.

Jednej nocy wojsko podniosło rokosz przeciwko niemu. Nero zbudził się ze snu — ale spostrzegł, że nawet straż przyboczna go opuściła. Zerwał się więc z łóżka i wołał swych przyjaciół — ale żaden się nie pokazał. Wybiegł na ulicę i szukał schronienia, ale nikt

go w dom swój przyjąć nie chciał. Kazał zawołać jakiego gladyatora, aby mu cios śmiertelny zadał — ale i tego nie było.

— A więc, zawołał w rozpaczy — ani przyjaciela, ani nieprzyjaciela nie mam!

Jak szalony pobiegł do rzeki Tybru i chciał się utopić — ale się przeląkł i odstąpił od tego zamiaru. Szukał potem po kieszeniach złotej puszki z trucizną, by sobie życie odebrać — ale i tę mu ktoś ukradł.

Wreszcie ofiarował mu jakiś libertyn (uwolniony niewolnik) imieniem Faon, przytułek w swej willi na wsi. Wsiadł tedy Nero na lichego konia, otulił się płaszczem i zasłoniwszy sobie głowę, puścił się z Faonem i trzema towarzyszami w drogę. Gdy usłyszał jaki szelest lub pianie koguta, drżał ze strachu i śmiertelne przechodził męki. Droga go prowadziła w pobliżu obozu — słyszał dokładnie, jak żołnierze wymawiali jego imię i przeklinali go strasznie.

Wreszcie przybyli na miejsce przeznaczenia. Nero jednak nie miał odwagi wjechać konno do zagrody; zsiadł z konia, poczołgał się na czworakach przez sitowie i zarośla po za dom, napił się w strasznem pragnieniu cuchnącej wody z kałuży i czekał, aż Faon w murze domu wyrąbał otwór. Na czworakach zawlókł się do małej izdebki niewolnika i rzucił się na łoże, czekając końca.

Senat rzymski tymczasem ogłosił go wrogiem ojczyzny i wydał wyrok, aby mu dumny kark wcisnąć między drewniane widły, i tak długo smagać go kijami, aż pod razami skona.

Już się mściciele zbliżali — już słychać było tentent kopyt końskich — Nero zapłakał, dobył sztylet i pchnął go sobie w piersi.

Tak umarł Nero w trzydziestym pierwszym roku życia — w rocznicę tego samego dnia, w którym własną małżonkę ściąć kazał. — (Swetoniusz w życiu Nerona).

Zburzenie Jerozolimy.

Było to roku 70 po narodzeniu Chrystusa. Nadeszły święta wielkanocne. Niezmierna liczba żydów zebrała się ze wszystkich stron świata do Jeruzalem. Tytus, brat Wespazyana, cesarza rzymskiego, chcąc ukarać żydów za ciągłe rokosze, podstąpił pod miasto święte i obsaczył je tak, że liczni pielgrzymi nie mogli już powrócić do swych domów, lecz zostali zamknięci w mieście.

Wkrótce też straszny głód powstał w Jerozolimie. Rzymski wódz starał się dobrocią przez posłów skłonić żydów do poddania się; ale wszelkie namowy i rady były bezskuteczne; żydzi trwali w swym uporze. Wielu z nich starało się wprawdzie ratować ucieczką, i dlatego sprzedawszy swe majętności za bezcen, połykali złotówki, by je zabez-

pieczyć; lecz fanatyczni dowódcy żydowscy nie dali im umknąć, mordując bez litości każdego, kto się chciał z miasta wydalić. Głód coraz więcej się wzmagał, a z nim i wściekłość dowódców. Gdy nie miano już zboża, wpadali gwałtem do domów, by się czem obłowić. Jeśli znaleźli nieco zboża lub innej żywności, to się pastwili nad mieszkańcami, że kryli żywność i zabierali, co tylko było; jeśli nic nie znaleźli, to wtedy bili mieszkańców, bo ich podejrzywali o ukrycie żywności i chcieli ich mękami zmusić do jej wydania.

Wielu bogaczów sprzedało całe swe majątki za miarkę pszenicy lub jęczmienia — kryjąc się do najodleglejszego kącika, by spokojnie mogli się pożywić. Nigdzie nie ujrzałeś porządnie nakrytego stołu, ale każdy chwytał jedzenie z ognia, nie czekając, aż się zgotuje. Żony wydzierały swym mężom chleb z ręki, dzieci rodzicom — a co wszelką przechodzi wyobraźnię, nawet rodzice dzieciom.

Tymczasem otoczył Tytus miasto długim murem, by żydom nie dać się wymknąć — przez co położenie mieszkańców stało się jeszcze trudniejsze. Wtedy to spełniły się słowa Pana Jezusa: *„Przyjdą na cię dni, i obtoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem — i oblęgą cię i ścisną cię zewsząd“* (Łuk. 19, 43). Gdy jednak codzień tłumy żydów pę-

dziły za mury, by przynajmniej jakich korzonków lub ziela uzbierać dla posilenia się, Rzymianie chwytali ich gromadami i w oczach oblężonych na krzyż ich wbijali — nieraz po 500 na dzień, a czasem i więcej. Nie można było dostarczyć krzyżów, ani znaleść dosyć miejsca na nie. Niektórym ze złapanych kazał Tytus ręce poucinać i tak pokaleczonych i pokrwawionych odsyłał na postrach do miasta.

Gdy między wojskiem rzymskiem gruchnęła pogłoska, że zbiegowie popołykali złotówki, rozcinali im wnętrzności, by złoto odszukać. Jednej nocy 2000 żydów w ten sposób postradało życie. Tem okrucieństwem tak się oburzył Tytus, że każdego, coby się jeszcze ważył to uczynić, śmiercią ukarać rozkazał. W mieście taka była nędza, że Józef Flawiusz czyni uwagę: „Wątpię, czy od stworzenia świata jakie miasto tyle wycierpiało“.

Jedzono najwstrętniejsze przedmioty, obdzierano z obuwia skórę i pożerano. Garść zgniłego siana płacono po 4 attyki.

Pewną bardzo bogatą osobę napadła banda rabusiów i odarła ją z całej majętności i wszelkiej żywności. Z głodu i rozpaczy wpadła w obłąkanie, zabiła własne dziecię, zgotowała, i część zjadłszy, resztę schowała. Niebawem wpadła druga szajka rabusiów, a poczuwszy woń mięsa grozili jej śmiercią, jeśli się z nimi nie podzieli natychmiast.

Nieszczęsna matka odrzekła, że jeszcze ma część obiadu i pokazała im smutne pozostałości swego dziecka. Acz mieli serce jak kamień twarde, to jednak grozą się przejęli na ten straszny widok. Ona zaś zawołała:

— Tak, to mój jedyny syn — ja sama zbroczyłam me ręce w jego krwi. Możecie śmiało jeść, bo ja pierwsza jadłam. Czyście wy mniej odważni jak kobieta, albo czy macie więcej litości jak matka? Jeśli wam serce wasze miłosierne nie pozwala przyjąć tej ofiary, to ja zjem do reszty.

I ci ludzie, którzy dotychczas nie mieli pojęcia o ludzkości, ze zgrozą się oddalili i resztki tej wstrętnej strawy zostawili biednej matce.

Wieść o tym wypadku i żydów i pogan zgrozą przejęła. Śmierć głodowa całe rodziny gubiła. Płaskie dachy domów pełne były konających z omdlenia niewiast i dzieci — ulice zasypane konającymi starcami. Młodzieńcy i mężczyzni błąkali się jak straszydła i padali jak muchy z osłabienia. Żydzi nie mieli sił do grzebania umarłych. Niektórzy wprawdzie starali się oddać umarłym tę ostatnią przysługę, ale prawie wszyscy padali omdleni na trupy — inni zaś wlekli się jak mogli na miejsca swych grobów i czekali tam chwili niedalekiego już skonu.

Wśród tej okropnej nędzy nie było widać ani jednej łzy — nie słyszano ani jednego

westchnienia, ni jęku: bo straszny głód zagłuszył w nich wszelkie uczucia. Suchem okiem spoglądali żywi na umarłych - a posiniałe i nabrzmiałe policzki wyciskały na ich twarzach obraz niechybnej śmierci. W całem mieście panowało grobowe milczenie. Pomimo takiej nędzy wpadali sprawcy jej najgłówniejsi, którzy dzikością tygrysów przewyższali, t. j. bandy hersztów Jana z Giczali i Symona, do domów, które były raczej grobami umarłych — obdzierali trupów aż do koszuli i z szyderskim uśmiechem próbowali ostrza swych mieczów na ciałach tych, co jeszcze dychali — ale ich nie chcieli zabijać, choć ci o śmierć, jak o łaskę błagali.

Nie mogąc mnóstwa trupów pogrzebać, wyrzucano ich całemi stosami za mury. Skoro to ujrzał Tytus, westchnął głęboko i wezwał swych bogów na świadków, że on temu nie winien.

Mimo to okrutni obrońcy miasta nie chcieli nic wiedzieć o poddaniu się, acz ich Tytus niejednokrotnie do złożenia broni wzywał. Bronili się z całą zaciętością i czynili niejedną wycieczkę po za mury — ale zawsze zostali odparci. Wreszcie 17 sierpnia odparli ich Rzymianie i aż do samej świątyni ścigali. Jeden rzymski żołnierz porwał palącą się głownię i podniesiony przez swego towarzysza, rzucił ją — pomimo zakazu Tytusa, by się nikt nie dotknął kościoła —

przez okno na kurytarz, prowadzący do miejsca świętego.

Wkrótce cały kościół stanął w płomieniach — a żydzi na ten widok, okropny krzyk wydali. Z narażeniem życia wzięli się do gaszenia; nawet Tytus czemprędzej przybył i dał rozkaz, by ogień ugasić. Wołał co miał siły, dawał znaki rękami, by pobudzić wojsko do ocalenia świątyni — ale zgiełk i wrzawa były tak wielkie, że nikt głosu jego nie słyszał. Przeciwnie, wojsko rzymskie puściło wodze swej wściekłości i mordowało mnóstwo nędznych i bezbronnych ludzi, tak, iż miejsce, na którem stał ołtarz całopalenia, stosami trupów pokryli. Potoki krwi ludzkiej płynęły po schodach. Tytus nie mogąc pohamować wściekłości wojska, wszedł ze swymi jenerałami do kościoła i do „Świętego Świętych“ i podziwiał wspaniałość i bogactwo budowy.

Jeszcze ogień nie dostał się do wnętrza; dlatego wybiegł Tytus i wydał rozkaz, by wszelkiemi sposobami ocalić tę cudną budowę. Ale jakiś żołnierz użył tej chwili, w której Tytus wyszedł i podłożył ogień pod futrynę drzwi, i natychmiast ogień buchnął płomieniem — Tytus więc zmuszony był opuścić kościół, który tak bardzo chciał ocalić. Świątynia spłonęła w rocznicę tego samego dnia, w którym przez króla babilońskiego spalona została.

W skarbcu znaleźli żołnierze tak ogromne sumy złota, że wartość jego w całej Syryi o połowę spadła. Gdy się kościół palił, mordowano bez przerwy, a jęki konających mięszały się z trzaskiem palących i walących się domów. Na sklepionym krużganku schroniło się blisko 6000 niewiast i dzieci. I to schronisko spłonęło — a z niem i wszyscy, co się tam schronili. Następnie i część miasta, leżącą na górze Sion, zdobyto — i znowu straszna rzeź się zaczęła. Liczba trupów kupami leżących była tak wielka, że całe ulice były niemi zamknięte, a krew potokami płynąca, gasiła w niejednem miejscu srożący się ogień. Wprawdzie rzeź pod wieczór ustała, ale ogień srożył się przez całą noc i spalił miasto do szczętu.

Gdy Tytus wjeżdżał w tryumfie do miasta i ujrzał twierdze tak mocno zbudowane, zawołał:

— To Bóg wypędził żydów z tych twierdz, bo cóżby ludzkie ręce i ludzkie narzędzia zdołały tym wieżom uczynić?

I Filostrat opowiada w życiorysie Apoloniusza z Tyany, że Tytus ujrzawszy wawrzyny przysłane mu od różnych narodów po zdobyciu Jerozolimy, jawnie oświadczył:

— Ja nie zasługuję na nie; bo nie ja odniosłem zwycięztwo, ale pożyczyłem rąk moich Bogu, na żydów zagniewanemu.

Liczba tych, co podług Józefa Flawiusza,

historyka żydowskiego, bądź od miecza, bądź od głodu i zarazy zginęła, przeniosła jeden milion sto tysięcy. W niewolę uprowadzono 97.000. Większa ich część byli to żydzi, ale nie z Judei rodem, bo ze wszystkich stron świata zgromadzili się żydzi na święta Wielkanocne i w wojnę zostali zawikłani. Oblężenie trwało przeszło pół roku. Zwaliska miasta i świątyni kazał Tytus z ziemią zrównać, wyjąwszy trzy wieże muru zachodniego, które dla załogi pozostawił. Rozkaz Tytusa tak dokładnie spełniono, że podług świadectwa Flawiusza, nie zostało ani śladu, że kiedyś tu stało miasto zamieszkałe.

Przed 37 laty płakał nad tem miastem Syn Boży i rzekł z boleścią: *„Na ziemię cię obalą, i syny twoje, którzy w tobie są; a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu: dlatego, iżeś nie poznało czasu nawiedzenia twego“* (Łuk. 19, 44).

Co żydom uczynił Pan sprawiedliwy, to i nam uczynić może, gdy upór w złem nie ustanie.

Dwa pogrzeby.

Anastazy Synaita opowiada dziwne zdarzenie, godne zastanowienia.

Pewien pobożny pustelnik przez długie lata wiódł na pustyni w pobliżu miasta Nikopol żywot prawie anielski. Ani na krok nie wy-

chodził z swej pustelni, aby tam swobodniej mógł z Panem Bogiem rozmawiać. Uczeń jego przynosił mu codzień lichą strawę, którą ze łzami wdzięczności spożywszy, nauczał go drogi doskonałości chrześcijańskiej. Zdarzyło się razu jednego, iż ów uczeń poszedł nakupić żywności do miasta. Aż oto spotyka świetny pogrzeb. Najznakomitsi obywatele towarzyszyli zwłokom zmarłego. Był to bardzo bogaty lichwiarz, który miał być pochowany w najwspanialszym grobie.

Zakupiwszy żywności, wraca na pustynię, i z niewypowiedzianą boleścią serca ujrzy przed pustelnią zwłoki swego najdroższego ojca duchownego i nauczyciela, od dzikiego zwierzęcia poszarpane. Ujrzawszy to, padł na kolana, i obfite łzy boleści wylewając wołał do Boga: „O najsprawiedliwszy sędzio żywych i umarłych! jakże surowego sądu ja się mam od Ciebie obawiać! o jak nierówne jest życie i śmierć wielu ludzi! Ów bezbożny lichwiarz z Nikopola, którego wspaniały pogrzeb dopiero co widziałem, z taką czcią i uroczystością opuszcza ten świat — a mój święty nauczyciel, więcej do anioła jak do człowieka podobny, umiera gwałtowną śmiercią i znachodzi grób w brzuchu dzikiego zwierza. O Ty, co całym światem władasz, czemuż dozwalasz, aby niegodziwy lichwiarz tak chwalebny miał koniec — a tak święty

mąż po życiu w niewinności spędzonem, tak okrutną śmiercią umierał?“

Gdy tak płakał i narzekał, objawia mu się Anioł Boży i powiada: „Nie płacz i nie narzekaj; twój ojciec duchowny już zażywa wiecznych radości w niebie; ciało zaś jego dlatego zwierz dziki pożarł, aby niektóre błędy, których za życia jeszcze nie odpokutował, przez tak srogą śmierć zgładzone zostały; przeciwnie zaś, gdy ciało owego lichwiarza z taką czcią było do grobu niesione, nędzna dusza jego została pogrzebana w piekle; aby mu zaś nagrodzić niektóre dobre uczynki, za które za życia nie otrzymał nagrody, pozwolił Bóg, by ciału jego tak świetny pogrzeb sprawiono — bo On dobre uczynki złych bogaczów nagradza dobrami ziemskiemi“.

To rzekłszy, znikł — a ów uczeń przestał płakać i narzekać. (Venedien.).

Minucyusz Feliks.

Uczony ten mąż powiada: Źli bogacze, którzy w swych bogactwach uciechę mają, są ofiarami Boskiej sprawiedliwości. Bóg z nimi postępuje jako z bydlętami ofiarnemi, które nim zostaną zabite w jatkach, zwykle bywają dobrze utuczone.

U zabobonnych pogan był od dawien dawna zwyczaj, że jeśli swym bogom bardzo przyjemną ofiarę z bydląt złożyć chcieli, ta-

kich ceremonii używali: Z wszelką możliwą pilnością starali się, aby bydlę ofiarne albo na paszy, albo w stajni dobrze zostało utuczone. Gdy się bydlę dobrze wypasło, oblepiano mu rogi pozłotą, a głowę mu strojono wieńcami z kwiatów i zdobiono jak najpiękniej. Następnie prowadzono je w wielkim tryumfie, wśród śpiewu ludu i gry na różnych instrumentach, przez ulice i rynek miasta aż na miejsce ofiary. Tu dopiero kapłan pogański uderzał ogromną pałką w czoło bydlęcia i zabiwszy je, bogom ofiarował.

Takiemi bydlętami ofiarnemi jest wielu bogaczy tego świata, których niektóre dobre uczynki Bóg już na tej ziemi różnemi doczesnemi dobrami i przyjemnościami nagradza; daje im wszystko, czego tylko zapragną — pozwala im czynić, co się im podoba, i dopuszcza im jak rozpustnym cielętom, spędzać czas życia na skokach tańcach; codzień rosną w bogactwa i im dłużej żyją, tem się lepiej pasą. Ale dokąd to wszystko zmierza? Podobnie jak bydlę ofiarne dla jatki się tuczy, a głowę mu się wieńcami zdobi, nim zostanie ofiarowane — tak wielu bogaczów, nim zostaną potępieni i przez sprawiedliwość Boską zabici na wieki, świat wieńczy różami i wszelkich im rozkoszy użycza. Bóg przewiduje, że im po śmierci z ich własnej winy nic dobrego nie będzie mógł uczynić; dlatego czyni im dobrze w tem

życiu, aby im wynagrodzić za to, co dobrego zdziałali. (Venedien.).

Gejlana.

Święty Kilian, Apostoł Franków, ochrzcił także Gosberta, księcia bawarskiego wraz z mnóstwem dworzan i ludu. Po udzielonym chrzcie św. rzekł do Gosberta:

— Jednej rzeczy jeszcze ci nie dostaje, abyś się mógł Bogu podobać!

— Jakiejże to? zapytał Gosbert.

— Abyś twą małżonkę Gejlanę, jako żonę twego zmarłego brata, opuścił, gdyż takie małżeństwo jest przeciw prawu Bożemu.

Gosbert przyrzekł, że i tę ofiarę Bogu przyniesie. Ale Gejlana ani myśleć chciała o rozłączeniu się — i jako niegdyś Herodyada, postanowiła zemścić się na świętym Kilianie. Najęła dwu skrytobójców i rozkazała im, aby Kiliana i dwu jego towarzyszów zamordowali. Około północy puścili się ci w drogę, by swego niecnego dzieła dokonać. Właśnie zastali świętego męża w kaplicy na modlitwie i zabili go wraz z towarzyszami. Zwłoki ich wraz z szatami kapłańskiemi, przyborami do Mszy świętej i księgami świętemi jeszcze tej nocy zagrzebali.

Aby zaś ani śladu popełnionej zbrodni odkryć nie było można, kazała Gejlana na tem miejscu zbudować stajnię. Gdy wreszcie

Gosbert po wyprawie powrócił do domu i pytał się o Kiliana, odrzekła Gejlana, że odjechał w inne strony w celu opowiadania Ewangielii. Ale wkrótce sam Bóg odkrył straszne dzieło ciemności.

Jeden z morderców wpadł w obłąkanie, i biegając, wołał przeraźliwie, że widzi nad swą głową sztylet, krwią Kiliana zbroczony. W przystępie szaleństwa przebił się mieczem, ale nim ducha wyzionął, wydał i spólnika swej zbrodni. Na rozkaz Gosberta i tego ujęto i przed nim go stawiono. Książę zebrał około siebie wszystkich chrześcijan, co byli na jego dworze; ci mieli oznaczyć karę na mordercę. Ale jeden z nich od Gejlany przekupiony, wstał i rzekł:

— Panie, pamiętaj o sobie i o nas wszystkich, cośmy chrzest przyjęli. Jeśli chcesz posłuchać mej rady, to rozkaż tego nieszczęśliwego z więzów rozkuć i puścić go na wolność; bo jeśli ten Bóg, o którym nam owi cudzoziemcy prawili, jest rzeczywiście tak potężny, jak oni mówili, to sam ukarze mordercę; jeśli zaś nie — to lepiej będzie powrócić do czci naszej wielkiej bogini Dyany, jak to czynili ojcowie nasi.

Miłością Gejlany zaślepiony Gosbert ustąpił i przyjął jego radę. Morderca otrzymał wolność — ale w tejże samej chwili wpadł w obłąkanie, gryzł się zębami i jeszcze tego samego dnia wyzionął ducha. W kilka dni

potem i Gejlana oszalała i odebrała sobie życie.

Ręka karzącej sprawiedliwości zaciężyła nad całym domem książęcym. Po niejakim czasie został Gosbert od jednego z rokoszan zamordowany — syn jego, następca tronu, z godności złożony i z kraju wygnany; zgoła, cała rodzina z oblicza ziemi wygładzona. (Stolberg, tom 22).

Sąd Boży.

Jak surowo Bóg nieraz natychmiast karze takich, którzy się naśmiewają z religii i jej nauki, dowodzi następujące prawdziwe zdarzenie, które w kwietniu 1855 roku miało miejsce w wiosce M... w czasie misyi przez OO. Jezuitów odprawianej. Rzecz tak się miała:

Po kazaniu o odkładaniu pokuty i nawrócenia, drwił sobie pewien parobczak ze wsi B. z tych słów kapłana: „Za rok niejeden z tych, co tu są zgromadzeni, już żyć nie będzie“. Przyszedł do domu i w tym samym dniu od własnego brata został zabity.

Powód tego morderstwa był taki: Obaj ci bracia już od dawna żyli w niezgodzie i nieprzyjaźni, gdyż zabity był pijakiem i karciarzem. Ojciec i siostry nieraz go upominali i karcili, lecz on ich klął, wymyślał i groził, że ich pozabija. W dniu misyi wracając do

domu, upił się i przyszedłszy do domu, te same klątwy i pogróżki powtarzał, co zawsze. Brat jego już się był udał na spoczynek i obiecał ojcu i siostrom, że już bratu nic nie powie, chociażby nie wiem jak klął i wymyślał. Ale gdy klątwy i zgorszenia nie ustawały, już mu tego było za wiele; porwał się z łóżka, wziął siekierę i przybiegł do izby, gdzie się brat pijany znajdował. Pijak porwał za nóż, ale tamten go uprzedza i tak silnie tnie go w głowę siekierą, że pijany upada bez ducha. Tak ów nieszczęśliwy zginął bez pojednania się z Bogiem. Bo chociaż na misyi się spowiadał i Komunię świętą przyjął, to jeszcze w ten sam dzień się upił, żył rozpustnie jak przedtem i jeszcze się ośmielił drwić sobie ze słowa Bożego.

Któż w tem wydarzeniu nie widzi sądów Bożych?

Jaki grzech, taka kara.

W roku 1853 zdarzył się w Berlinie następujący wypadek, który i gazety ogłosiły. Żyli tam dwaj bracia, którzy mieli zamiar oszukać towarzystwo ubezpieczenia na życie o 6000 talarów. Do spółki wezwali lekarza, który wydał jednemu z nich formalne świadectwo śmierci. Idzie tedy jeden z braci do owego towarzystwa i okazując świadectwo śmierci swego brata, żąda owych 6000 talarów;

tymczasem brat ów wrzekomo umarły, wyjechał do Czech. Ale oszustwo wkrótce się wydało i kara nastąpiła – wszyscy trzej bowiem poszli do więzienia. Lecz na tem nie koniec. Zbrodniarze ci wezwali na świadka Boga wszystkowiedzącego, a Bóg im też odpowiedział. Obaj bracia tak wychudli, że zdawali się być chodzącymi trupami Lekarz zaś, dopiero co ze strasznej choroby uleczony, tak stracił wszelkie soki żywotne i siły, że zostały na nim tylko skóra i kości; żywcem gnić zaczął, tak, że mu kilkakrotnie ciało wypiekać musiano.

Tym sposobem stali się ci trzej oszuści i dla siebie i im podobnych zbrodniarzy żywym dowodem Boskiej sprawiedliwości!

Święty Jan Złotousty.

Ten święty Doktor mówi, tłómacząc list św. Pawła do Rzymian:

„Jeśli nie chcesz wierzyć, że Bóg jest sprawiedliwy, dlatego, że kary będą wymierzone w przyszłości, to wierz przynajmniej dlatego, co się stało w przeszłości. Kto za czasów Noego zatopił całą ziemię i jej mieszkańców? Kto zesłał ogień z nieba na Sodomę i Gomorę? Kto wojsko egipskie w morzu pogrążył? Kto sześćkroć stotysięcy mężów na puszczy pogubił? Kto kazał ziemi swą paszczę otworzyć, by żywcem pochłonęła Korego, Datana

i Abirona? Kto siedmdziesiąt tysięcy wojska w jednem okamgnieniu pobił? Czy mam mówić o tych, którzy z osobna poginęli? O Kainie, który natychmiast został ukarany? O synu Charmiego, który z całym swym domem został ukamienowany? O czterdziestu dwu chłopiętach, które za czasów Elizeusza bez względu na wiek swój młodociany od dzikich zwierząt pożarte zostały? Chcesz podobne wypadki widzieć za czasów chrześcijańskich, to wspomnij na Ananiasza i Safirę, którzy za oszukaństwo nagłą śmiercią ukarani zostali. Czy zresztą nie widzisz codziennych wypadków? Czyż i te się może nie stały? Czyż i dziś nie widzisz, jak ludzie z głodu umierają? Czy nie widzisz, jak inni okropne cierpią choroby? Czyż nie widzisz, że ci, co w ciągłym żyją niedostatku, niezliczone i straszne ponoszą męki? Jeśli Bóg nie karze dlatego, iż jest dobrotliwy, to i oni nie powinni byli być ukarani... Powiedz mi, dlaczegobyś ty nie miał zasłużyć na karę, jeśli grzeszysz? Czyż ci Bóg wszystkiego nie przepowiedział? Czyż ci nie groził? Czyż cię nie straszył? Czyż nie uczynił nieskończenie wiele dla twego zbawienia? Czyż ci nie udzielił kąpieli odrodzenia (Chrztu św.) i nie przebaczył ci wszystkich grzechów? Czyż ci i po Chrzcie św. nie użyczył pomocy w pokucie? Czyż ci i potem nie ułatwił drogi do pozbycia się grzechów?

Jeśli się więc na dobroć Bożą powołujesz, to przez to samo wyznajesz, że jesteś tem karygodniejszym; bo czyż nie zasługujemy właśnie dlatego na surowszą karę, że tak dobrotliwego Boga nie kochamy, ale przeciw Niemu grzeszymy? Bóg jest wprawdzie dobrotliwy, ale jest także nieskończenie sprawiedliwy i nie da z siebie szydzić. Dlatego lepiej jest grożącego Boga z wiarą się bać i według Jego przykazań postępować, jak bez wiary zuchwale Mu się stawić i gniewu Jego doświadczyć".

IMPRIMATUR.
(L. S.) † *Albinus*,
Cracoviae die 8 Februarii 1888. Eppus.

W Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

Bóg jest miłosierny.

Bóg nie chce śmierci grzesznika, ale aby się nawrócił i żył. Ma Bóg litość nad każdym grzesznikiem i nie skąpi mu łask swoich, aby opuścił drogę swoją i nawrócił się do Niego. Skoro się zaś nawróci grzesznik z drogi swej, to Pan Bóg zapomina o nieprawościach jego, i jako dziecko swe przyjmuje. A gdy karze, to dlatego, aby się człowiek nawrócił, a tym sposobem i kara jest narzędziem w ręku miłosierdzia Bożego Przypowieść o synu marnotrawnym, o owieczce zgubionej — Magdalena, Samarytanka, Zacheusz, Paweł święty i tysiące innych, są niezbitemi dowodami, że *miłosierdzia Pańskiego pełna jest ziemia.*

Alfons Ratisbonne.

Alfons Ratisbonne rodem żyd, był członkiem bogatej rodziny bankierskiej w Strasburgu, a bratem Teodora Ratisbonne, który został chrześcijaninem i gorliwym kapłanem. Alfons nie chciał o nawróconym swym bracie ani słyszeć, a ku wierze chrześcijańskiej pałał nienawiścią i pogardą, nie jakoby był żydem wierzącym, ale dlatego, że przesiąkły nowo-

czesnem niedowiarstwem, był wrogiem każdej wiary, a przedewszystkiem tej, przeciw której już z mlekiem macierzyńskiem wyssał owe uprzedzenia i ową gorycz swego narodu, jakiemi tenże przepełniony jest ku wrzekomym ciemiężcom swoim. Choć mu wiara żydowska zupełnie była obojętną, popierał ją jednak gdzie mógł, aby szkodzić wierze chrześcijańskiej. Krótko mówiąc, postępował wobec żydów tak, że ci mogli się cieszyć, iż Alfons wynagrodzi im mniemaną krzywdę, przez Teodora narodowi ich wyrządzoną.

A jednak ten sam Bóg, który niegdyś Szawła piorunem swej łaski poraził, zlitował się nad młodym żydowinem i nad wszelkie spodziewanie uczynił z wroga, gorliwego wyznawcę wiary chrześcijańskiej.

Stało się to w następujący sposób: Alfons zaręczył się z jedną bogatą żydówką — a że ona była jeszcze bardzo młoda, miał cały rok czekać i podróżować. Według ułożonego planu podróży, miał z Marsylii przez Neapol i Maltę udać się na wschód, nie wstępując nawet do Rzymu. I rzeczywiście przybył do Neapolu i chciał właśnie zakupić miejsce na parowcu, który miał płynąć do Palermo. Ale sam nie wiedząc jak się to stało, kupił miejsce na wozie pocztowym, który jechał do Rzymu. Przybył tedy do wiecznego miasta 5 stycznia, ale z tem mocnem postanowieniem, aby się tylko pobieżnie Rzymowi przy-

patrzyć i wrócić do Neapolu. Jakoż w istocie zakupił miejsce na wozie pocztowym, który w nocy z 9 na 10 stycznia miał wrócić do Neapola. Ale nim odjechał, uważał to za znak dobrego wychowania i grzeczności, oddać bilet wizytowy jednemu z przyjaciół swego nawróconego brata, baronowi Teodorowi de Bussières, zięciowi francuskiego ministra wojny Humanna, który z luteranizmu nawrócił się i był bardzo gorliwym katolikiem.

Przychodzi tedy — ale że służący, który nie rozumiał po francusku, oświadczył, że pan sam jest w domu, i równocześnie drzwi otworzył, więc musiał pomimo woli, wstąpić do pokoju.

Bussières przyjął go jako brata jednego z swoich najszczerszych przyjaciół z największą uprzejmością. Rozmowa zaczęła się od pytania, jakieby wrażenie zrobiło na Alfonsa to, co widział w Rzymie. Alfons z największą obojętnością mówił o wszystkiem — przyznał jednak, że kościół Ara coeli (ołtarz nieba) wielkie na nim zrobił wrażenie.

Od tej chwili powziął baron Bussières, choć nie wiedział przyczyny, niepłonną nadzieję, że Alfons się nawróci; a nawet tę samą nadzieję wyraził jawnie Alfonsowi — chociaż ten się opierał wszelkiemi siłami i mówił, że nigdy, przenigdy chrześcijaninem nie zostanie. Baron Bussières zawiesił mu

na szyję medalik Matki Boskiej łaskawej, a Alfons z uśmiechem szyderczym go przyjął; będąc zaś pewny siebie, obiecał nawet odpisać sobie modlitewkę świętego Bernarda: „Pamiętaj o najdobrotliwsza“ — i jeszcze ośm dni w Rzymie pozostać.

Ale dłuższy pobyt w Rzymie zdawał się Ratisbonna tylko utwierdzać w nienawiści ku wierze chrześcijańskiej, a im więcej Bussières starał się go nawrócić, tem więcej Alfons mu się opierał.

— Widzę, rzekł Alfons, że pan mnie chcesz nawrócić; ale daj pan temu pokój, bo się to panu nie uda; ja mojej religii nie zmienię, i właśnie teraz może więcej jestem żydem, jak kiedykolwiek.

Gdy razu jednego przechodzili obok Scala Santa, tj. świętych schodów, po których Pan Jezus był prowadzony do Piłata, zdjął pan Bussières kapelusz i rzekł: „Pozdrawiam was święte schody; oto obok mnie idzie Izraelita, który was w krótkim czasie równie jak ja czcić będzie“.

Ratisbonne zaśmiał się na głos szyderczym uśmiechem.

Krótko mówiąc, choć Bussières miał mocną nadzieję nawrócenia Alfonsa, według wszelkiego prawdopodobieństwa ani na krok w swem dziele nie postąpił, gdyż właśnie w tym czasie pisał Ratisbonne do swoich krewnych:

— Gdym żydowską część miasta al Ghetto zwiedzał, obudziła się we mnie jeszcze większa nienawiść ku chrześcijańskiej religii na widok nędzy i brudów, jakie tam spostrzegłem.

Już nadszedł ostatni dzień pobytu jego w Rzymie, i już zamówił sobie miejsce na wozie pocztowym do Neapolu, gdy idąc z pożegnaniem do p. Bussières, spotkał go właśnie jadącego powozem. Bussières mając załatwić sprawunek w kościele San Andrea delle Fratte, prosił Alfonsa, by z nim wsiadł do powozu. Rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych.

Wszedłszy do kościoła św. Jędrzeja, pytał Ratisbonne, dla kogo jest ten katafalk, który był właśnie wystawiony? Bussières odpowiedział:

— Dla mego wielkiego przyjaciela, zacnego hrabiego de la Ferronais, byłego francuskiego prezydenta ministrów za ministerstwa Martignac'a, który się odznaczał wielką pobożnością. Na moje prośby jeszcze przed śmiercią modlił się za pana.

Właśnie z powodu jego pogrzebu miał p. Bussières załatwić niektóre interesa i udał się do zakrystyi, prosząc Ratisbonna, by był cierpliwy i poczekał nań w kościele.

Po upływie może dwunastu minut powraca, ale nie znajduje Alfonsa. Aż wreszcie po długiem szukaniu postrzega w kaplicy

świętego Rafała, postać klęczącą z głową schyloną; przystępuje bliżej i ze zdziwieniem poznaje w niej Ratisbonna.

Woła go po imieniu — lecz żadnej nie odbiera odpowiedzi; uderza go po ramieniu — ale klęczący skrywszy twarz w dłonie, tak jest zatopiony, iż żadnego znaku po sobie nie daje; uderza go więc jeszcze kilka razy, a następnie podnosi mu głowę.

Alfons jest prawie nieprzytomny, łzy mu się leją potokiem, podczas gdy z miłością całuje medalik Matki Boskiej, który mu Bussières zawiesił na szyi. Pierwsze słowo, jakie się wydobyło z ust wzruszonego Izraelity, było: „Ach, jakże się modlił za mnie ten człowiek!“ (La Ferronais). Łkając, urywanemi tylko słowami mówił:

— Ach, jakże się czuję szczęśliwym! z jakiejże przepaści jestem ocalony! o moi nieszczęśliwi rodacy — za nic w świecie nie mógłbym teraz żyć bez chrztu — jestem chrześcijaninem! O gdybym mógł być umęczony za tę wiarę! Chrztu! chrztu!

Uparty żydowin stał się odrazu pragnieniem gorliwym chrześcijaninem.

— I jakże się to stało? zapytał Bussières.

Lecz Alfons tylko przed kapłanem chciał to wyjawić. Tak tedy zaprowadził go Bussières do Jezuity O. Villefort, gdzie Alfons klęcząc, pełen wzruszenia opowiadał, jak go w kaplicy znagła jasność wielka ogar-

nęła — a w tem świetle Matka Boska, przedziwnie wspaniała i wysoka postać pełna słodyczy się objawiła. Następnie rękami i znakami zachęcała go, aby się już dłużej nie opierał.

— Rzuciłem się potem na kolana, mówił dalej — a ona skinęła na mnie z uśmiechem zadowolenia, jak gdyby chciała powiedzieć: Tak dobrze, tak dobrze. Wtem przyszedł p. Bussières i przerwał moje widzenie. Matka Boska nic nie mówiła, ale ja wszystko rozumiałem.

Wszyscy, którzy się później zetknęli z Ratisbonnem, oświadczają z największą pewnością, że Alfons w tem widzeniu poznał najzupełniej całość prawdy katolickiej i przejął się uczuciami katolickiemi, tak, że chociaż się nigdy przedtem nie starał ani poznać wiary katolickiej, jednak myślał i czuł, jak najlepszy katolik. Przemiana jego była stanowcza do tego stopnia, że nawet roztropny i świątobliwy jenerał Jezuitów bynajmniej o niej nie wątpił.

W całej jego istocie przebijało się głębokie uczucie szczęścia, jakie go spotkało — najczulszej za nie wdzięczności i najżywszego współczucia dla swych rodaków, którzy tego szczęścia nie mają. Nie można było znaleść żadnego zewnętrznego powodu, któryby go mógł skłonić do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Dlatego też nie wahano się

udzielić mu już w jedenaście dni po nawróceniu tak upragnionej łaski chrztu św.

Sam kardynał Patrici dokonał tego świętego obrzędu. Powaga rozlana na obliczu Alfonsa, wzruszenie, nad którem nie mógł zapanować, widok, jak go p. Bussières trzymał pod ramię na stopniach ołtarza — nastroiło i obecnych do podobnego wzruszenia; gorące modły wzniosły się ku niebu za nawrócenie zbłąkanych — nawet obecni protestanci, porwani powszechnem uczuciem, poklękali.

Wzruszenie Alfonsa dosięgło najwyższego stopnia, gdy po chrzcie św. przyjął Komunię św., a zaraz potem Sakrament Bierzmowania; łzy obfite rozczulenia zwilżyły jego policzki, i nieraz p. Bussières musiał go podtrzymywać, aby nie upadł z osłabienia.

Na znak wdzięczności za łaskę, jaką w najgłębszem przekonaniu swem otrzymał przez przyczynę Najśw. Panny, obrał sobie na chrzcie św. imię Marya.

Po chrzcie św. miał wyborny kapłan francuski X. Dupanloup, przemowę do zgromadzonych. Między innemi powiedział te pełne pociechy słowa:

„Człowiek nie błąka się po tej ziemi opuszczony i bez pomocy — lecz miłosierny i dobrotliwy Bóg czuwa nad nim; On go szuka i swe ramiona ku niemu wyciąga. Tego dowodem jest ten oto nowo ochrzczony; przed

kilku dniami jeszcze niewierny szyderca — a dziś go oko Boskie na bezdrożach znalazło, rozum jego oświeciło i serce jego zmiękczyło — a wreszcie w wierzącego chrześcijanina zmieniło. Dziś Abraham pobłogosławi syna swego. Ta, co mu tę łaskę wyświadczyła, jest Matka łaski pełna, nasza Matka i siostra: Marya, gwiazda morza, Marya — najsłodsze na ziemi imię, pełna pociechy i litości".

Następnie zwracając się ku Alfonsowi Maryi, przypomniał mu, że z krzyżem i z imieniem Maryi, w Rzymie, stolicy zastępcy Chrystusa, wstępuje do Kościoła — że ów krzyż, który przedtem prześladował, nadal uwielbiać i nosić powinien. „Kościół jest zawsze wojujący, zawsze tryumfujący — w jego walkach, cierpieniach i pracach bierz udział, abyś z nim tryumfował".

Wkońcu zwracając się do Najśw. Panny, modlił się ze św. Bernardem:

„Pomnij o najlitościwsza, na Twe zbłąkane dzieci, pomnij na Francyę i Kościół w niej wojujący, wysłuchaj modłów dusz wiernych, zmiękcz i oświeć serca zbłąkanych i odszczepionych braci, i pozwól im przyjść do poznania Ciebie, aby była *jedna owczarnia i jeden pasterz*".

Wskutek tego nawrócenia nastąpiły i inne. Alfons Marya Ratisbonne pobudził jednego protestanta i protestantkę do powrotu na łono

Kościoła katolickiego, usunąwszy ich wątpliwości z pewnością i siłą uczonego teologa. Pewien katolik, który już od 30 lat zaniedbał praktyk religijnych, powrócił do nich z całą gorliwością. Jakąż radością przepełniło się serce X. Teodora Ratisbonne, gdy ujrzał swego brata jakoby drugiego Pawła nagle zmienionego i tą samą wiarą z sobą złączonego!

Do swej narzeczonej, którą zostawił w Strasburgu, napisał list następującej treści:

„Ja dotrzymam mego przyrzeczenia, jeśli chcesz zostać katoliczką; jeśli się zaś na to zdecydować nie możesz, to odbędę pielgrzymkę do Jeruzalem, aby się na grobie Zbawiciela pomodlić, a potem wstąpię do klasztoru. Gdyby mnie jeszcze przed ośmiu dniami jakie nieprzewidziane nieszczęście zmusiło, by się z tobą rozłączyć — nie byłbym miał tej odwagi — byłbym sobie życie odebrał. Jeśli mnie zaś teraz moja wiara z tobą rozłącza, przynoszę Bogu tę ofiarę, ani łzy nie uroniwszy, i przez całe życie modlić się będę, aby cię Bóg oświecił i na wieki w niebie ze mną połączył“.

Nawrócony rozbójnik.

Kiedy Jan św. Apostoł, po śmierci Domicyana wracał z wyspy Patmos do Efezu, prosili go wierni, aby i inne prowincye po

drodze zwiedził i Pana Jezusa naukę, którą z własnych ust Jego słyszał, ogłaszać im zechciał. Skłonił się do ich próśb św. Apostoł miłości, i gdy w jednem z miast odprawił nabożeństwo, ujrzał tam młodzieńca, rosłego, silnego, bardzo milego wejrzenia i umysłu, jak można było wnosić, bardzo bystrego. Obróciwszy się tedy do biskupa, którego dopiero co wyświęcił, rzekł:

— Tego młodzieńca jak najgoręcej ci polecam w imię Chrystusa i całego Kościoła.

Wziął więc biskup rzeczonego młodzieńca do siebie i obiecał, iż dołoży wszelkich starań, aby się nie zepsuł. Jan święty jeszcze kilkakrotnie i gorąco poleciwszy młodzieńca biskupowi, udał się do Efezu.

Biskup jak rzekł, tak uczynił. Wziął młodzieńca w opiekę, karmił go, pielęgnował, uczył, napominał z wszelką gorliwością — a nareszcie i chrztu świętego mu udzielił. Lecz następnie, jakoby ufając łasce, którą na chrzcie świętym otrzymał, nieco pobłażliwiej z młodzieńcem owym obchodzić się zaczął. Ten zaś poczuwszy swobodę, wdał się w towarzystwa rówieśników rozpustnych i zepsutych i począł ich złe życie naśladować. Najprzód bowiem uczęszczał z nimi na biesiady, zabawy i tańce; potem, gdy już na biesiady i zabawy zobrakło pieniędzy, wraz z towarzyszami po nocach chodził i okradał obywateli, a nareszcie i do najgor-

szych zbrodni za ich przykładem się posunął. Tak więc nieznacznie uczył się biedny młodzian występków — a że był gorącej natury i umysłu żywego, jako koń bez wędzidła, opuściwszy drogę cnoty, gardząc napomnieniami biskupa, szybkim pędem leciał w przepaść grzechu i zbrodni. I już o małych występkach myśleć nie raczył, lecz na wielkie zbrodnie się ważył i to sobie miał za chlubę, że nikt mu w występkach wyrównać nie zdołał. Nareszcie z tych, co mu byli niegdyś nauczycielami grzechu, uczniów sobie naczynił, i zgraję zbójców z nich utworzywszy, sam się im stał niby wodzem i królem, do wszelkich występków drogę im pokazując.

Po niejakim czasie zaproszono znowu św. Jana do miasta onego. Przybył tamże święty Apostoł, a skoro wszystkie wiernych potrzeby zaspokoił, rzekł do biskupa:

— Pokaż mi depozyt, którym ja i Pan Jezus u ciebie złożył, przy tych oto świadkach, których tu widzisz.

Biskup osłupiał i myślał zrazu, że Jan święty domaga się odeń depozytu pieniężnego, którego wcale nie otrzymał, lecz się zastanowił, sądząc, że Jan święty oszukać go nie może.

Widząc święty Apostoł, że biskup go nie rozumie, rzecze:

— Młodzieńca owego od ciebie żądam i duszę brata.

Wtedy głęboko westchnąwszy biskup, zapłakał i rzekł:

— On umarł.

— Jak to umarł? jaką śmiercią? zapyta Jan święty.

— Bogu umarł — odparł biskup, bo się zupełnie zepsuł i przyłączył się do bandy zbójców, a teraz na tej oto górze i w tym lesie z opryszkami się kryje i hersztem ich został.

Usłyszawszy to Apostoł, natychmiast szatę, którą był odziany, rozdarł i z okropnym jękiem rzekł:

— Takiś to ty dobry stróż duszy brata twego! Osiodłajcie mi czemprędzej konia i dajcie mi przewodnika! I wsiadłszy na koń, szybko popędził, jakby na skrzydłach miłości niesiony, ku onej górze, na której się krył nieszczęsny ów młodzian. A skoro przybył na miejsce, kędy się kryli łotrowie, zatrzymany został od przedniej zbójców straży. Nie uciekał nigdzie, ani się ukryć chciał Jan święty, tylko głosem silnym wołał:

— Jam tu po to przyszedł, przywiedźcie mi zaraz herszta waszego!

I skoro się zbliżał on herszt uzbrojony, poznał zdaleka Jana świętego, a wstydem oblany, uciekać począł. Ale Jan św. starości zapomniawszy i zgrzybiałego wieku swego, puścił wodze koniowi i jak strzała pędził za wyrodnym swym synem, wołając:

— Czemu uciekasz synu, przed ojcem twoim? czemu uchodzisz przed starcem bezbronnym? Stój nieszczęśliwy! nie bój się — masz jeszcze nadzieję życia. Ja Chrystusowi zdam sprawę za ciebie, i owszem chętnie za ciebie i śmierć poniosę, jako i Pan śmierć poniósł za nas, a za twą duszę oddam duszę moją. Stój tylko i wierz mi, że Chrystus mnie posłał.

A zbrodniarz ów to słysząc, stanął, oczy ku ziemi spuścił i broń porzucił od siebie. A wreszcie drżąc jak listek na całem ciele. gorzko płakał — a skoro Jan święty się zbliżył, upadł mu do nóg, jękiem i łkaniem jak mógł zadosyć czyniąc za grzechy swoje i obfitemi łez zdrojami niejako na nowo był ochrzczony, tylko prawą swą rękę pod suknię kryjąc. A święty Apostoł pod przysięgą mu obiecał wyjednać przebaczenie u Zbawiciela, a potem — o dziwna miłości! upadł przed onym zbójcą na kolana, i rękę jego prawą, jakby już łzami pokuty obmytą, całując, do Kościoła go przywiódł, a nieustannie się modląc i często z nim razem surowo poszcząc, błagał Pana Jezusa o przebaczenie, które mu wybłagać obiecał.

I słodkiemi i łagodnemi słowy go cieszył, i tego, co już prawie w rozpacz był upadł, nadzieją w nieskończone miłosierdzie Boże podnosił, i nie poprzestał, aż ów zbójca zupełnie się poprawił i życie świątobliwe wieść

począł. Co więcej, postanowił go biskupem, jak niegdyś Pan Jezus pokutującego Piotra uczynił najwyższym owieczek swoich pasterzem!

Syn marnotrawny.

Było to roku 1849, w samą uroczystość Najsł. Serca Jezusowego, we wiosce, której nazwiska ci nie wymieniam. Na sumie mówił X. proboszcz do tych grzeszników, którzy sobie wyobrażają, że się poprawić nie mogą i tracą ufność w miłosierdziu Boskiem. Wkońcu dodał:

— Pójdź grzeszniku, ktokolwiek jesteś, pójdź do Serca Jezusa, Zbawiciela twego! On dość potężny, by cię wyrwać z przepaści; dość bogaty w miłosierdzie, by ci przebaczyć, jeśli doń z ufnością przyjdziesz — choćbyś był tysiąc razy większym grzesznikiem, jak jesteś. Pójdź więc, pójdź, kochany grzeszniku!

Gdy kapłan po południu przechadzał się po ogrodzie, zbliżył się doń szybkim krokiem mężczyzna przyzwoicie ubrany i prosił go, by z nim poszedł do pokoju. Skoro przyszedł, tak począł mówić nieznajomy, a rzęsiste łzy zrosiły jego policzki:

— Ojcze, tyś mnie dziś wołał; przybywam więc na twe wezwanie — ale niestety, może za późno. Jestem twoim parafianinem, błą-

kałem się jednak przez długie lata po cudzych krajach i wszystko straciłem prócz wiary. Jestem jednym z tych grzeszników, którym tak do serca przemówiłeś. Chciałem (tak zły jestem), chciałem się jeszcze opierać łasce, ale nie mogłem. Jestem przekonany, że Bóg mnie do ciebie przyprowadził, byś mnie od wiecznej zguby wybawił O! ratuj mnie, pomóż mi, proszę cię!

Kapłan widząc w nim nadzwyczajne zmięszanie, mniemał, że nie ma zdrowych zmysłów, lecz nieznajomy odgadłszy myśli kapłana, rzekł:

— Tu (wskazując na głowę) nic nie brakuje — ale tu w sercu o tyle więcej. Opowiem ci cały bieg życia mego. Już 14 lat, jak opuściłem ojczyznę; złemi przykładami porwany, zapomniałem na wszystkie obowiązki religii i już 15 lat się nie spowiadałem. Od kilku lat mieszkałem w domu innowiercy, który mi obiecał swą córkę za żonę, jeśli swą wiarę porzucę; w lekkomyślności mej obiecałem zmienić religię — lecz odtąd jedna noc była nieznośniejszą od drugiej. Nie mogąc znieść zgryzot sumienia, postanowiłem porzucić narzeczoną i w inną udać się stronę. Wtem uczułem nieprzepartą tęsknotę za ojczyzną — i oto wróciłem dzisiaj i byłem na nabożeństwie. Tu łaska Boska mnie wzruszyła i jasno poznaję, że mnie tu Bóg przy-

prowadził, abym się nawrócił, co też z całego serca uczynić pragnę.

Kapłan widząc taką szczerość jego, wyznaczył mu dzień do spowiedzi.

— Tysiące słuchałem spowiedzi, opowiada kapłan — ale mało takich lub żadnej, coby mnie tak wzruszyła, zbudowała i do żywego przejęła, jak tego grzesznika! Musiałem razem z nim płakać, ale tak słodkiemi łzami, żebym takie łzy codzień chciał wylewać. Daremnie siliłbym się opisywać jego wdzięczność ku Bogu. Najwyższego kresu radość jego doszła, gdy przystępował do Stołu Pańskiego. Radbym, aby tysiące tych chrześcijan oziębłych, którzy nie umieją cenić tego daru, przypatrzyli się temu zjawisku.

Skończywszy dziękczynienie i odnowiwszy przyrzeczenie dozgonnej Bogu wierności, poszedł na grób swych rodziców, którzy ze smutku i zgryzoty pomarli. Tu wśród łez i łkania rzekł:

— Ojcze drogi, matko kochana, cieszcie się tam w niebie, bo syn wasz stracony znowu się znalazł. Jezus, najlepszy pasterz — przyniósł go na swych ramionach do trzódki swojej. O! przebaczcie też i wy tam w górze — waszemu ze skruchą powracającemu dziecku!

Po kilku dniach proszą kapłana do chorego. Spieszy kapłan natychmiast, lecz jakże się zdziwił, gdy w chorym poznał owego

młodego człowieka, który rzekł doń pełen zapału:

— Ojcze, śpiewaj ze mną hymn dziękczynny, bo dobry Pan Jezus chce mnie już wziąść do siebie, do mojego ojca i mojej drogiej, kochanej matki.

Kapłan nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, chciał mu czynić nadzieję wyzdrowienia, lecz chory rzekł:

— Jestem pewny, że już nie wstanę; dlatego cię proszę, dokończ dzieła twego i spraw, bym umarł jako prawdziwy pokutnik. O jakże chętnie umieram, o gdybym za grzechy me częściej niż raz mógł umrzeć!

Codzień przeto łączył swą śmierć ze śmiercią Pana Jezusa i ofiarował ją za grzechy swoje. Ani słówko skargi nie wyszło z ust jego, a gdy ubolewano nad jego cierpieniem, mawiał:

— Nie warto mówić o moich cierpieniach, gdy na me grzechy wspominam. Kto tyle razy, co ja, na piekło zasłużył, ten się nie może dość nadziękować Panu Bogu, że tak łagodnie go karze. O Panie! tu siecz, tu pal, tylko tam — w wieczności mi przebacz!

Długo jeszcze, długo cierpiał, a z cierpieniem rosła jego cierpliwość i pragnienie większego cierpienia.

Zbliżyła się wreszcie godzina wyzwolenia. Kapłan przyszedłszy, zastał go zimnym potem zlanego; chciano mu otrzeć pot z czoła,

ale on nie dopuścił tego, w te odezwawszy się słowa:

— A któż memu Zbawcy pot krwawy z czoła ocierał?

Kapłan widząc, że kona, rzecze:

— Mój synu, oto Pan już blisko! błogosławiony sługa, którego Pan przyszedłszy, znajdzie czuwającego.

— Dzięki Bogu, zawołał chory; przyjdź o Panie, przyjdź i weź mnie do Siebie! Jezu, Tobie żyję, Jezu, Tobie umieram! Jezu...

To było ostatnie słowo — uśmiechnął się, drżącą ręką przytulił do ust krucyfiks, a wyciągnąwszy ramiona jakby na czyjeś powitanie, zgasł, miłością raczej, jak chorobą strawiony. O! jakież tam w niebie było powitanie z ukochanymi rodzicami! zdało się jakby doń mówili:

Po łzach i znoju
Chodź do pokoju,
Kochany synku nasz;
Grzech cię nie plami,
Obmytą łzami
Sukienkę cnoty masz!
Jęki i łezki, to kwiat niebieski,
Jak rozkoszna jego woń!
Błogosławiona miłość wcielona
Tem kwieciem zdobi ci skroń!

Nowy Longin.

W pewnem miasteczku pruskiem (Elmsleben, obok Battenstedt) naprawiali murarze mały kościółek. Jak to nieraz bywa, że wobec Najświętszego Sakramentu najzuchwalsze słychać bluźnierstwa, tak i tu było. Usiadłszy sobie na podwieczorek, w głos sobie szydzili z rzeczy świętych i jawnie swą niewiarę oświadczali. Jeden z nich najzuchwalszy, porwał nawet swoją szczotkę murarską i obróciwszy ją, pchnął nią niby włócznią w bok otwarty Pana Jezusa Ukrzyżowanego, który wisiał na ścianie.

— Masz jeszcze jeden cios, bo tamtego było ci za mało — zawołał, i radował się szatańskim śmiechem swych towarzyszy. Potem zabrali się do pracy i robili aż do wieczora.

Na drugi dzień bluźnierca ów nie przyszedł do roboty. Pytano, co się z nim stało i dowiedziano się, że leży chory. Od wczorajszego wieczora uczuł piekący i kłójący ból w lewym boku. Serce mu biło gwałtownie, a w tem sercu wołał silny głos:

— Nie łudźcie się, Bóg nie da z siebie szydzić! Boleść coraz się wzmagała — nagle otworzył się bok i tak dziwna w nim rana powstała, że z niej nie płynęła materya, lecz coś takiego, jak krew i woda. Nieszczęsny ten człowiek cierpiał przecz cały rok, a po-

znawszy w tej karze rękę sprawiedliwą i miłosierną Pana Boga, nawrócił się szczerze i umarł jako wierny i pokorny uczeń Zbawiciela, którego Najśw. Serce tak bardzo znieważył. Nieraz kazał się w nocy przynieść do kościoła i położyć pod owym krucyfiksem, wśród gorzkich łez żebrząc o litość i miłosierdzie. (Filotea. Rocznik 20, str. 50).

Śmierć ze żalu.

Pewna dziewczyna za namową własnego ojca w ciężki występek popadła. Od matki nader surowo skarcona, dodając zbrodnię do zbrodni, otruła swą rodzicielkę. Skoro ojciec powrócił z podróży i dowiedział się o tem, najsurowiej ganił i karał niedobrą córkę. Ta jednak znieść tego nie mogąc, i ojca ze świata zgładziła. Tyloma i tak wielkiemi obarczona zbrodniami, uciekła z domu i oddała się występnemu życiu. Przypadkiem, czyli raczej dziwnem zrządzeniem Boskiej Opatrzności, wstąpiła do kościoła wtenczas właśnie, gdy kapłan z ambony wysławiał nieskończone miłosierdzie Boże. Między innemi rzekł: „Chociażby grzechy twoje były jak szkarłat, nad śnieg wybielone będą. Choćbyś nie wiem jak ciężkie grzechy popełnił, choćbyś własnego ojca i matkę zabił, choćbyś jak Judasz zdradził P. Jezusa, choćbyś jak Magdalena żył rozpustnie, albo jak

łotr całe życie trwał w zbrodniach, to ci Bóg przebaczyć gotów, bo Jego największą chlubą i pociechą jest, jeśli może przebaczyć grzesznikowi, co się szczerze do Niego nawróci".

Do głębi wzruszona tą mową, bez odwłoki przystąpiła po kazaniu do owego kapłana i zapytała, czy to wszystko, co mówił o miłosierdziu Bożem, jest prawdą? Gdy kapłan potwierdził, ona rzekła:

— Jeśli tak jest, jak mówisz, błagam cię, wysłuchaj mnie spowiedzi i wstaw się za mną do Boga tak miłosiernego.

Skoro ją wysłuchał spowiedzi, począł się namyślać, jakąby jej zadać pokutę.

— Co to jest, ojcze? zapytała. Dopieroś tak wysławiał Boskie miłosierdzie, a teraz zdajesz się wątpić o mojem zbawieniu?

— Wcale nie, moja córko, lecz dla dobra twej duszy pragnę, abyś tu jutro na kazanie przyszła. I to ci za zbawienną pokutę zadaję.

Wtenczas otrzymawszy rozgrzeszenie, tak słodkiemi łzami wdzięczności, miłości i żalu płakała, że z kościoła wyjść nie mogła i drogą swą duszę w ręce miłosiernego Boga oddała.

Kaznodzieja dowiedziawszy się o tym wypadku, polecił jej duszę modlitwom zakonników. Gdy się modlili, usłyszeli głos z nieba:

— Nie potrzeba modlić się za nią; owszem, ona się będzie modliła za wami. (Jakób de Vitriaco, Kardynał).

Perła z Antyochii.

Pelagia, sławna aktorka i tancerka, żyła około roku 450 w Antyochii Syryjskiej. Tak była piękna, że ją powszechnie „perłą“ zwano. Upojona hołdami wielbicieli, sama się ubóstwiała; ale pochlebstwa młodzieży i bogate podarunki wielbicieli, wiodły ją krok za krokiem do życia lekkomyślnego, tak, że ją jak niegdyś Magdalenę, nazwać było można „grzesznicą“.

W roku 453 zebrało się około patryarchy Maksyma ośmiu biskupów na synod. Między nimi odznaczał się biskup Nonnus z Edessy mądrością i świątobliwością. Gdy razu jednego siedzieli zgromadzeni w przysionku kościoła świętego Juliana, prosili Nonnusa, aby do przytomnych kilka słów ku zbudowaniu powiedział. Czyniąc zadość ich prośbie, wylał swe, Boską miłością pałające serce w zachwycającem kazaniu. Nagle spostrzeżono niezwykły ruch na ulicy — oczy wszystkich zwróciły się na drogę. Pelagia w otoczeniu licznych sług i służebnic przejeżdżała tamtędy. Siedziała na białym mule, okrytym w szkarłat złotem tkany. Na głowie jej błyszczała korona z brylantów; jasne, złotemi nićmi przetykane włosy, spływały jej na ramiona. Ramiona i ręce zdobne drogiemi kamieniami, nawet trzewiki perłami zasiane —

balsamiczna woń najdroższych olejków rozchodziła się z jej szat bogatych. Tak mijała kościół, rzuciła dumnym wzrokiem na zebranych biskupów, i z uśmiechem zadowolnienia tryumf swój odbywała.

Zebrani biskupi spuścili oczy ze smutkiem, tylko Nonnus długo na nią patrzał i zapytał potem zebranych:

— Jak to? Czyż wam się taka piękność nie podobała? A gdy nie otrzymał odpowiedzi, począł gorzko płakać i powtórzył swoje pytanie:

— A więc ta rzadka piękność nie podobała się wam? Ja z radością na nią patrzyłem i podziwiałem ją, bo Bóg nam ją przed oczy przywiódł, aby nas za naszą gnuśność zawstydzić i ukarać. Ileż godzin sądzicie, musi ta niewiasta używać na to, aby się umyć, naperfumować, ubrać i ustroić? Ileż kosztów, starań i pracy musi używać, aby sobie sprawić te błyskotki i one zachować? Jakże musi przemyśliwać nad tem, aby dla podobania się ludziom, gustownie się ubrać? My przeciwnie, mamy nieśmiertelnego Ojca w niebie, który nam bez porównania droższe skarby jako zapłatę obiecał, jeśli Go będziem miłowali i Jemu się podobali! Ale, ale — my się nie staramy o nasze dusze, nie zdobimy ich cnotami, lecz zostawiamy je opuszczone i brudne!

Ze łzami w oczach skończył Nonnus tę

przemowę i udał się ze swym dyakonem Jakóbem, który to zdarzenie opowiada, do oberży. Tam upadł na kolana i długo a gorąco się modlił:

— Panie Jezu! przebacz mi nędznemu grzesznikowi, że jednodzienny strój grzesznicy przewyższa ozdobę mej duszy, choć tak długo żyję na świecie! Jakże śmiem oczy moje podnieść ku Tobie? Jakże się usprawiedliwię przed Tobą? Pelagia obiecała ludziom się podobać, i z największą pilnością obietnicy swej dotrzymuje: jam obiecał Tobie się podobać — a przez gnuśność moją kłamałem Ci!

Następującej niedzieli prosił Patryarcha Nonnusa, aby powiedział kazanie. Posłuszny biskup z takim zapałem mówił o strasznym sądzie, o wiecznych karach za grzechy i zapłacie za cnotę, że wszystkich do łez poruszył. Pelagia, która w swej młodości była katechumeną, to jest gotującą się do Chrztu świętego, ale od kilku lat już ani o kościół, ani o wiarę nie dbała, przybyła w tym dniu do kościoła. Słowa kaznodziei padały jak młot i kruszyły jej serce. Wybiegła z kościoła i napisała do Nonnusa list tej treści:

„Do świętego ucznia Jezusowego, grzesznica.

— Słyszałam o twoim Bogu, że On dla grzeszników z nieba zstąpił, z grzesznikami przestawał, grzesznej Samarytance przy studni

łaskawie się objawił; słyszałam także, że ty jesteś prawdziwym uczniem Jezusa — więc nie pogardzaj mną, lecz pomóż mi znaleść Zbawiciela“. Nonnus jej odpisał:

— Ktokolwiek jesteś, Pan Bóg zna ciebie i twoje myśli i czyny; jeśli szczerze pragniesz poznać Boską wiarę, to przyjdź — ale tylko w obecności moich braci, nie sam na sam gotów jestem cię przyjąć.

Uradowana Pelagia pospieszyła do kościoła świętego Juliana, rzuciła się wobec wszystkich do nóg Nonnusa i z płaczem błagała:

— Mój panie, naśladuj mistrza twego Jezusa, miej litość nademną i uczyń mnie chrześcijanką; jam jest przepaścią występków — oczyść mnie wodą Chrztu świętego!

Biskup kazał jej wstać i rzekł łagodnie:

— Przepisy Kościoła zabraniają chrzcić pewne osoby, jeśli niema nikogo, coby zaręczył za nie, iż nie powrócą do dawnych występków.

Pelagia nie mając nikogo, coby za nią zaręczył, jak tylko skruchę serca i pragnienie zbawienia, rzuciła się znowu do stóp biskupa, i ucałowawszy nogi jego, błagała wśród jęków:

— Więc zdasz sprawę za moją duszę, za moje potępienie, jeśli zapomnisz na miłosierdzie Boże, a zachowując prawa ludzkie, nie zechcesz mnie ochrzcić i na drogę cnoty wprowadzić.

Przytomni biskupi do głębi zostali wzruszeni taką pokorą i skruchą. Patryarcha kazał wszystko do Chrztu św. przygotować, a Nonnus nie wahał się już udzielić jej Chrztu, Bierzmowania i Komunii świętej.

Pelagia uszczęśliwiona, że już została chrześcijanką, przyniosła do Nonnusa wszystkie swe skarby i rzekła:

— Oto są skarby, któremi mnie szatan wzbogacił — użyj ich według twej woli i rozsądku; ja starać się będę, bym się stała bogatą u mego Pana Jezusa.

Biskup nic z tego nie wziął na cele kościelne, lecz wszystko rozdał ubogim. Pelagia zaś wszystkich swych niewolników i niewolnice obdarzyła wolnością i resztą swego znacznego majątku, i znikła z Antyochii.

Wśród pobożnych pielgrzymów, którzy wtedy święte miejsca w Jeruzalem i okolicach zwiedzali, wzbudzała pewna osoba pięknej urody, lecz nędznie odziana, wielki podziw gorącą pobożnością i obfitemi łzami skruchy i żalu. Mieszkała na górze Oliwnej w małej celi o jednem okienku; rzadko tylko z niej wychodziła, aby nazbierać korzonków i zaczerpnąć wody ze źródła. Nikt nie wiedział, kto ona jest i zkąd przybyła.

Po trzech latach zapukał dyakon Jakób do okienka tej celi. Blada i wychudła twarz okazała się w okienku i cichutko zapytała:

— Bracie, czego żądasz?

Jakób odpowiedział:

— Biskup Nonnus przesyła ci pozdrowienie w Panu!

Pelagia odrzekła:

— Polecam się jego świętym modłom — i znikła.

Przed swoim powrotem zapukał znowu dyakon do okienka — ale odpowiedzi nie otrzymał; zaglądnął do celi i ujrzał zwłoki Pelagii leżące na ziemi. Natychmiast dał o tem znać w mieście, nakupił maści i chciał z kilkoma braćmi zwłoki jej pogrzebać. Na pierwsze wejrzenie poznał występujące po śmierci piękne rysy „perły z Antyochii". Bogu poświęcone dziewice z Jeruzalem, Jerycho i okolicy Jordanu pospieszyły, by swej pokutą uwielbionej siostrze oddać ostatnią posługę.

Święta Afra.

Afra urodziła się przy końcu trzeciego stulecia w Augsburgu jako poganka. Matka jej Hilarya, pochodziła z wyspy Cypru i przybyła tutaj z swoimi rodzicami w najgorszych zamiarach. Sama będąc występną, zaprawiała piękną i rozumną córkę swoją już od dziecinnych lat do życia występnego.

Roku 303 dobył cesarz Dyoklecyan miecza, aby wytępić chrześcijańską religię. Krew wiernych płynęła potokami, tysiące chrześcijan

ratowały się ucieczką po za granice cesarstwa. W jesieni tegoż roku przybył i biskup Narcyz z swym dyakonem Feliksem z Hiszpanii do Augsburga i prosił w pierwszym lepszym domu o przytułek. Był to właśnie dom Afry. Afra przyjęła ich gościnnie i sporządziła im suty obiad. Nim biskup usiadł do stołu, ukląkł, uczynił nad potrawami znak krzyża świętego i modlił się do Pana Boga o błogosławieństwo.

To dziwne i nieznane zachowanie się Narcyza, wprawiło Afrę w zdumienie; usługiwała mu ze czcią i nie śmiała go nawet zapytać, kim jest i po co przybył do Augburga. Narcyz opowiedział jej, że jest biskupem chrześcijańskim z Hiszpanii, że dla wiary porzucił ojczyznę i że tylko jedno ma pragnienie, aby naukę i łaskę Jezusa Chrystusa ludziom w grzechach żyjącym opowiadać i do wiecznego szczęścia ich doprowadzić.

Afra słuchała z natężoną uwagą tej mowy, podziwiała jego odwagę i cnotę — a rozmyślając o swojem niegodziwem życiu, otworzyła swe serce dla łaski Bożej. Nagle upadła do nóg biskupa i wołała:

— Wynijdź odemnie, wynijdź z mego domu — bo ja jestem najgorsza w całem mieście niewiasta!

Ale Narcyz pozostał i tak gorąco mówił o miłości i miłosierdziu P. Jezusa, o piękności chrześcijańskiej wiary i nadziei, o ra-

dościach niebieskich, że Afra rozpływała się we łzach wzruszenia i skruchy. Zawołała tedy swe sługi: Dignę, Eunomię i Eutropię, i rzekła do nich z zapałem:

— Patrzcie — oto ten mąż jest biskupem chrześcijańskim; zapewnił mnie, że jeśli uwierzę i dam się ochrzcić, będę oczyszczoną z moich grzechów i zbawię mą duszę. Co wy sądzicie?

Sługi odrzekły:

— Jeśliśmy grzeszyły jak ty, to i my chcemy błagać ze skruchą o przebaczenie, jak ty.

Uradowany biskup pouczył je o wierze chrześcijańskiej i modlił się z niemi.

Nazajutrz Afra pobiegła do swej matki, opowiedziała jej wszystko i prosiła, aby świętych mężów w swym domu ukryła, bo już wieść gruchnęła po mieście, że przyszli chrześcijanie i szpiegowie już ich śledzą.

Hilarya chętnie to uczyniła; Narcyz pouczył całą rodzinę o wierze Chrystusowej i ochrzcił ją po siedmiu dniach modlitwy i postu. Prawdopodobnie i inni ukryci chrześcijanie przyszli do domu Hilaryi, który się stał kościołem dla sprawowania świętych tajemnic.

Przez dziewięć miesięcy przebywał tamże Narcyz, wyświęcił wuja Afry, Dyonizego na kapłana i umacniał młodziutki Kościół w miłości Bożej.

Zmiana, jaka zaszła w życiu Afry, wpadła wszystkim w oczy; podejrzana o wiarę w Chrystusa, stawiona została przed sędziego Gajusa, który ją zapytał:

— Jakże, ty piękna, zapewne wolisz naszym bogom ofiarować, jak umrzeć w męczarniach?

— Wcale nie — odrzekła Afra, dosyćem grzeszyła, nim prawdziwego Boga poznałam; teraz już nic złego nie uczynię!

— Idź do świątyni — rzekł Gajus, wszak ty jesteś niepoczciwa niewiasta, a taka nigdy chrześcijanką być nie może.

— Na moją hańbę, rzecze Afra, wyznaję, żem nie jest godna być chrześcijanką; ale Chrystus, który nie sądzi podług naszych zasług, lecz podług łaskawości swej, z litości mnie przyjął między swych wyznawców.

— Ofiaruj! krzyknął Gajus, albo cię każę publicznie osmagać i żywcem spalić!

— Ciało moje — mówiła Afra, zasłużyło na bicze i ogień; oby płomienie ogniste oczyściły mą duszę!

Gajus rozkazał, aby ją wyprowadzono z miasta na wyspę rzeki Lech i tam ją spalono.

Afra przywiązana do drzewa i stojąc na stosie, modliła się na głos:

— O Panie i Boże mój, Jezu Chryste! nie pamiętaj na moje grzechy; przyjmij teraz łaskawie moją pokutę i spraw, aby

mnie ten doczesny ogień od wiecznego ognia ochronił.

Dym i płomienie zakryły Afrę — głos modlącej się zamilkł — ofiara została spełniona; dusza Afry wzleciała ku niebu. Radość w niebie była wielka! Cieszyli się aniołowie, cieszył się Pasterz dobry ze swej znalezionej owieczki, cieszyła się Najśw. Panna, ucieczka grzeszników. Afra dotąd wysławia w niebie miłosierdzie Boże.

IMPRIMATUR.

(L. S.)

Cracoviae die 1 Martii 1888.

† *Albinus*,
Eppus.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

Bóg jest jeden w trzech osobach.

Święty Augustyn.

Święty Augustyn, wielki biskup Hippony w Afryce, pisał księgę o Trójcy Najśw. Nadaremnie się silił tę tajemnicę rozumem zgłębić i rozumowi ludzkiemu przystępną uczynić. Aby umysł spracowany nieco rozerwać, wychodził samotnie nad brzeg morza i przechadzał się, podziwiając cudne i wspaniałe dzieła Boże.

Razu jednego ujrzał nad brzegiem morza chłopczynę przecudnej urody. Chłopczyk ten wygrzebał sobie dołek w piasku, i czerpiąc wodę z morza, przelewał ją w ten dołeczek. Augustyn, wielki przyjaciel niewinnych dziatek, z rozkoszą przypatrywał się przez kilka chwil tej dziecinnej zabawce, a w końcu zapytał:

— Moje dziecię, co ty robisz?

Chłopczyk spokojnie odrzekł:

— Chcę całe to morze w ten dołeczek przelać.

Augustyn zaś uśmiechając się, rzecze:
— O, to ci się nigdy nie uda!
— Nie?... odrzekł chłopczyna poważnie; a jednak raczej uda mi się to szerokie i głębokie morze w ten dołek zmieścić, jak tobie tajemnicę Trójcy Przenajświętszej zgłębić.

Rzekłszy to, znikł natychmiast. Augustyn poznał, że go Pan Bóg objawieniem tem chciał pouczyć, jak daremnem jest usiłowanie jego, tajemnicę niezgłębioną zgłębić ludzkim rozumem. (Tomasz Kantyprat. ks. I. Ap. c. 49).

Agilanes.

Król zachodnich Gotów Leowigild, posłał Agilanesa, zaciekłego Aryanina w poselstwie do Chilperyka, króla Franków. Gdy przybył do Tours (Tur), opowiada święty Grzegorz, biskup Turoński, zaczął w obecności mojej napadać na artykuły naszej wiary, mówiąc, że dawni biskupi źle orzekli, ucząc, że Syn równy jest Ojcu. „Bo jakimże sposobem może być Syn równy Ojcu w potędze, kiedy sam mówi: *Ojciec większy jest niźli ja.* Niesłuszną więc jest rzeczą, aby ten równy był owemu, od którego mniejszym się być wyznaje, który się smucił na wspomnienie śmierci i jako bezwładny, ducha swego polecał. Widisz więc, że mniejszym jest od Ojca i wiekiem i potęgą!“

Na to ja zapytałem:

— Czy wierzysz, że Chrystus jest Synem Bożym, mądrością Bożą, światłem, prawdą, życiem, sprawiedliwością?

— Wierzę, że tem wszystkiem jest Syn Boży.

— Powiedz mi więc — zapytałem — kiedy Ojciec był bez mądrości, kiedy bez światła, kiedy bez życia, kiedy bez prawdy, kiedy bez sprawiedliwości? Jako bowiem Ojciec nie mógł być bez tych rzeczy, tak też i bez Syna być nie mógł. A nawet Ojcem być nie mógł, gdyby nie miał Syna. Co się zaś tego tyczy, że Chrystus mówił: „*Ojciec większy jest, niźli ja*“ — wiedz, że to mówił w uniżeniu przyjętego ciała ludzkiego, abyś poznał, żeś nie przez potęgę, lecz przez pokorę został odkupiony. Boś powinien pamiętać, że ten co mówił: „*Ojciec jest większy, niźli ja*“, powiedział na innem miejscu: „*Ojciec i ja, jedno jesteśmy*“. A więc i bojaźń śmierci i polecenie ducha swego odnosi się do słabości ciała ludzkiego, abyś wierzył, że nietylko jest prawdziwym Bogiem, ale i prawdziwym człowiekiem.

Na to Agilanes:

— Ten, co pełni czyjąś wolę, mniejszy jest od tego, którego wolę wypełnia; zawsze więc Syn mniejszy jest od Ojca, bo zawsze czyni wolę Ojca, a nigdzie nie czytamy, żeby Ojciec czynił wolę Syna.

— Wiedz, odrzekłem, że Ojciec w Synu, a Syn w Ojcu w jednem Bóstwie istnieją; abyś zaś wiedział, że Ojciec czyni wolę Syna, posłuchaj, co sam Pan Jezus, Bóg nasz, przystąpiwszy do wskrzeszonego Łazarza, wyrzekł: „*Ojcze, dziękuję Tobie, żeś mnie wysłuchał. A jamci wiedział, że mnie zawżdy wysłuchiwasz, alem rzekł dla ludu, który około stoi, aby wierzyli, iżeś mnie posłał*“ (Jan II, 11, 12). Lecz i przed męką swoją mówi: „*A teraz wsław mię Ty Ojcze sam u siebie chwałą, którąm miał u Ciebie pierwej, niźli świat był*“. A Ojciec mu na to: „*I wsławiłem i jeszcze wsławię*“. Równym jest tedy Syn Ojcu w bóstwie — nie mniejszy, ani też mniej mający, jak Ojciec; bo jeśli wyznajesz, że jest Bogiem, powinieneś wyznać, że jest i zupełnym Bogiem i niczego nie potrzebującym; a jeśli przeczysz, że jest zupełnym Bogiem, to nie wierzysz wcale, że jest Bogiem.

On zaś odparł:

— Dopiero, gdy przyjął ciało ludzkie, zaczęto go zwać Synem Bożym; gdyż był czas, w którym Go nie było.

— Słuchaj, mówię, Dawida: „*Z żywota przed jutrzenką zrodziłem cię*“. A Jan święty mówi: „*Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo.., a Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami; przez nie wszystko się stało*“ (Jan, I, 1).

Wy zaś oślepieni trucizną rozumowania, nic godnego o Bogu nie sądzicie.

On zaś na to:

— Czyż i Ducha świętego Bogiem zowiecie i równym Ojcu i Synowi wierzycie?

Ja mu odrzekłem:

— Jedna we trzech jest wola, jedna potęga jedno działanie. Jeden jest Bóg w Trójcy i jeden w jedności: trzy osoby — ale jedno królestwo, jeden majestat, jedna władza, jedna wszechmocność.

— Duch święty — rzekł Agilanes, o którym mówicie, że jest równy Ojcu i Synowi, mniejszy jest od obudwu; bo czytamy w Piśmie świętem, że Go Syn posłać obiecuje, a Ojciec posyła. Nikt zaś nie obiecuje tego, co nie jest pod jego władzą, a nikt nie posyła tylko tego, który jest niższy od niego; jako sam Chrystus mówi w Ewangielii: *„Jeśli nie odejdę, pocieszyciel nie przyjdzie; lecz jeśli odejdę, poszlę go do was“* (Jan, XVI).

Ja mu zaś na to odrzekłem:

— Słusznie Syn przed męką powiada, że jeśli do Ojca jako zwycięzca nie wróci, a własną krwią świat odkupiwszy, nie uczyni Bogu w człowieku godnego mieszkania, Duch święty nie może zstąpić do duszy zarozumiałej i pierworodnego grzechu zmazą skalanej. *„Duch święty bowiem*, mówi Salomon, *uciecze przed obłudnością“* (Mądr. I, 5). Ty zaś, jeśli masz jaką nadzieję zmartwych-

wstania, nie mów przeciw Duchowi świętemu; bo według wyroku Pańskiego, bluźnierstwo przeciw Duchowi świętemu nie będzie odpuszczone ani w tem, ani w przyszłem życiu.

— Bogiem jest ten, który posyła — a nie ten, co jest posłany.

— A wierzysz ty słowom śś. Apostołów: Piotra i Pawła? — zapytałem.

— Wierzę — odrzekł.

— Gdy Piotr — odparłem — karci Ananiasza za oszukaństwo, słuchaj, co mówi: *„Czemuć się zdało skłamać Duchowi świętemu? Nie skłamałeś ludziom, ale Bogu“*. A Paweł św. rozróżniając stopnie łask duchownych, mówi: *„To wszystko działa jeden i ten sam Duch, rozdzielając każdemu jako chce“*. Kto zaś czyni to, co chce, nie jest pod mocą niczyją. Zresztą wy nic godnego o Trójcy świętej nie myślicie; jak zaś niegodziwa jest przewrotność waszej sekty, okazał smutny koniec waszego herszta Aryusza, który nagłą i haniebną zginął śmiercią.

— Nie bluźnij wierze — odpowiedział zagniewany Agilanes, której nie wyznajesz; my bowiem, choć nie wierzymy tego, co wy, jednak tego nie bluźnimy; gdyż to nie jest zbrodnią szanować jedno i drugie, bo jak zwyczajnie mówimy, że to nic nie szkodzi, jeśli kto widząc bóżnicę pogańską i kościół Boży, jedną i drugą uczci i uszanuje.

Ja widząc jego głupotę, rzekłem:

— Jak widzę, to ty oczywiście i pogańską i heretycką wiarę wyznajesz — bo i brzydkości pogańskie czcić pozwalasz, i dogmata kościelne zaprzeczasz. Lepiejbyś zrobił, gdybyś tę wiarę przyjął, którą wyznawali patryarchowie i prorocy i nasz św. Marcin posiada w sercu i uczynkami okazuje, abyś się nawrócił i uwierzył w Trójcę nierozdzielną. Przyjmij raczej nasze błogosławieństwo, abyś oczyszczony z trucizny złej wiary, otrzymał odpuszczenie grzechów.

On zaś jako szalony, coś niezrozumiałego bełkocąc, rzekł:

— Pierwej dusza moja z ciała wynijdzie, nim od jakiegobądź waszej wiary kapłana błogosławieństwo przyjmę.

— I naszej wiary Pan Bóg nie znieważy, abyśmy świętości Jego mieli psom dawać, a drogie perły Jego rzucali przez plugawe wieprze!

Poczem Agilanes wstał i odszedł. Ale wróciwszy do Hiszpanii, ciężką chorobą złożony, do naszej wiary powrócił. (Święty Grzegorz z Tours).

August Nicolas.

Sławny ten myśliciel i filozof chrześcijański w dziele swojem: „Niepokalana Dziewica“ pisze:

„Tajemnica Trójcy Przenajświętszej jest

konieczną, tak, że bez niej rozum ludzki nawet istnienia Boga nie mógł sobie wyobrazić — a przecież jej nie mógł odkryć, ani bez niej się obejść. Nie mógł jej odkryć, bo jeśli według światła rozumu Bóg jest istotą najwyższą, niezawisłą, to rozum sądzi, że Bóg jest samotny, bez towarzystwa. Lecz jeśli jest samotny, pozbawiony towarzystwa, to jest nieszczęśliwym — a jeśli nieszczęśliwym, to nie jest Bogiem, gdyż Bóg jest istotą najszczęśliwszą. Tak rozumując, popadł rozum ludzki w błędy wielobóstwa; bo nie pojmował, że Bóg, choć jest istotą najwyższą, ma jednak stosunki wewnętrzne i nie jest samotnym.

Te trudności rozwiązała nauka o Trójcy Przenajśw., to jest nauka o trzech różnych osobach w jedności natury. Bóg jest wprawdzie jeden co do natury, ale nie samotny, nie pozbawiony szczęścia, płynącego z najmilszego towarzystwa trzech różnych Osób. Bo Bóg od wieków poznaje siebie i swoje doskonałości. A to *poznanie* samego siebie jest doskonałem odbiciem i obrazem wewnętrznym Boga, to jest: Synem odwiecznym Ojca, w którym sobie Ojciec upodobał, jako w najpiękniejszym i żywym obrazie swoim. Syn od wieków kochając Ojca, jako swój początek, a Ojciec Syna, jako swój najdoskonalszy obraz, wydają razem odwiecznem tchnieniem wzajemną i istotną *miłość*, to jest

trzecią osobę Trójcy Najśw., Ducha świętego. I tak od wieków na się patrząc i kochając się wzajemnie, używają niczem niezamąconego szczęścia".

„Bóg, mówi Hugo od św. Wiktora, objawił światu przed prawem Mojżesza swoje *istnienie: „Jam jest"*; pod prawem Mojżesza swą *jedność: „Bóg twój, Bóg jeden jest"*; a pod słodkiem berłem Ewangielii *troistość Osób: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego"*, aby tak zwolna wzrastało poznanie prawdy". Jako bowiem dzieciom najprzód daje się mleko, potem twardsze, a nakoniec najsilniejsze pokarmy — tak Bóg, jak mądry nauczyciel, najprzód łatwe, potem trudniejsze, a nakoniec najtrudniejsze tajemnice ludziom objawił".

Święta Cecylia.

Skoro święta Cecylia, oblubieńca swojego Waleryana, Chrystusowi pozyskała, wnet i Tyburcyusza, brata jego, w następujący sposób do wiary chrześcijańskiej nawróciła. Okazawszy mu, że bogowie pogańscy niczem nie są, jak tylko dziełami rąk ludzkich, albo ludźmi grzesznymi, odrzekł Tyburcyusz:

— Kto tak nie wierzy, jak ty powiadasz, ten jest nierozumny. Dlatego i ja mówię, że nie ma innego Boga, tylko Bóg chrześcijań-

ski i oświadczam ci, że i ja Go odtąd czcić i wielbić będę.

Gdy to rzekł Tyburcyusz, Cecylia mu na to:

— Dziś cię doprawdy za brata mego uznaję. Bo jak miłość Boża uczyniła brata twego moim małżonkiem, tak pogarda bożyszczy pogańskich uczyniła cię dziś moim bratem. Następnie tak dalej mówiła:

— Stwórca nieba i ziemi i morza i ptactwa, co lata w powietrzu, i czworonożnych, i płazów, nim wszystko uczynił, z siebie zrodził Syna i wyprowadził z swojej potęgi Ducha świętego. Syna, aby wszystko uczynił, Ducha świętego, aby wszystko ożywił. Wszystko zaś, co się stało, uczynił Syn, z Ojca zrodzony — a wszystko, co Syn uczynił, Duch święty od Ojca i Syna pochodzący ożywił.

Na to Tyburcyusz:

— Dotychczas mówiłaś, że trzeba wierzyć w jednego Boga, który jest w niebiesiech. Teraz zaś mówisz, że jest trzech bogów.

Odpowiedziała Cecylia.

— Jeden jest Bóg w swojej potędze, którego tak w Trójcy wyznajemy, jak mówimy, że są trzy rzeczy w człowieku: sztuka, pamięć i rozum. Przez sztukę bowiem wynajdujemy to, czegośmy się nauczyli; przez pamięć zatrzymujemy to, czego się uczymy — a rozumem pojmujemy to, co rozważamy lub

słyszymy. A jednak w człowieku jeden i ten sam duch posiada te trzy rzeczy. Otóż Bóg wszechmocny w jednem i temsamem bóstwie posiada siłę i moc Trójcy.

Tyburcyusz upadłszy na ziemię, zaczął wołać i mówić:

— Zaiste, o najdroższa! nie ludzki język zda mi się odpowiadać; lecz sądzę, że Anioł Boży przez usta twoje przemówił. Dziękuję ci bardzo, żeś mi tak prędko dowiodła, iż jest jeden Bóg w trzech osobach.

Roland.

W historyi Karola Wielkiego i przyjaciela jego, sławnego rycerza Rolanda, opowiada Jan Tarpinus o rozmowie między olbrzymem muzułmańskim Ferrakutem i Rolandem, którą tak opisuje:

— My Saraceni wierzymy — mówił Ferrakutus — że stwórcą nieba i ziemi jest jeden Bóg, który nie miał ani syna, ani ojca; lecz jak od nikogo nie był zrodzony, tak i nikogo nie zrodził; więc jest jeden Bóg, a nie troisty.

— Prawdę mówisz, odpowiedział Roland, że jest jeden Bóg; lecz gdy mówisz, że nie jest troisty — w wierze utykasz. Jeśli wierzysz w Ojca, to wierz i w Syna jego i Ducha świętego. Albowiem Bóg Ojciec, Syn

i Duch święty, jest jeden Bóg, w trzech zostający osobach.

— Jeśli mówisz — odparł Ferrakutus — że Ojciec jest Bogiem, Syn Bogiem i Duch św. jest Bogiem — więc są trzy bogi, nie jeden Bóg.

— Wcale nie — odparł Roland — lecz mówię, że jest jeden Bóg i troisty; jest i jeden i zarazem troisty. Wszystkie trzy osoby są sobie współwieczne i równe, w osobach jest właściwość, w istocie jedność, a w majestacie równość. Boga w Trójcy jedynego Aniołowie trzykroć świętym wychwalają.

— Tego mi dowiedź — rzekł Ferrakutus — jakim sposobem Bóg jest jeden i troisty?

— Dowiodę ci tego — rzekł Roland — w stworzeniach. W słońcu trzy są rzeczy: jasność, blask i ciepło, a jednak słońce jedno jest; tak i w Bogu jest jedność i Trójca.

— Teraz — zakończył Ferrakutus — rozumiem, że jest Bóg troisty i jedyny.

Roztropne dziecko.

Jedno dziecię powróciło z nauki katechizmu do domu. Ojciec, człowiek niewierzący, zapytał go:

— Czegóż was tam dzisiaj uczył ksiądz katecheta?

— Uczył nas ksiądz katecheta, że jest jeden Bóg w trzech osobach.

— Zapewne więc mówił wam ksiądz, że Ojciec nie jest starszy od Syna, a Syn nie jest młodszy od Ojca — rzekł ojciec z przekąsem.

— Tak jest — odpowiedziało dziecko.

— Jakież to głupstwo! — zawołał ojciec. Patrz synu! Nieprawda, że ja jestem twoim ojcem?

— Tak, mój ojcze — odrzekło dziecko.

— Jeśli ja twym ojcem, toć muszę być i jestem starszy od ciebie.

— Tak jest mój drogi ojcze, jesteś starszy odemnie jako *człowiek*, ale jako *ojciec* nie jesteś starszy odemnie, boś wtenczas został moim ojcem, kiedy ja zostałem twoim synem! Ponieważ więc Ojciec niebieski od wieków był Ojcem — musiał też od wieków mieć Syna.

Ojciec zdziwiony roztropną dziecka odpowiedzią, nie ważył się już czynić mu zarzutów.

O Aniołach.

Aniołowie są to czyste duchy, które rozum i wolę mają, ale ciała nie mają. Liczne świadectwa Pisma świętego. jakoteż żywoty Świętych, dostarczają nam dowodów na ich istnienie. Oto niektóre przykłady:

Święta Franciszka Rzymianka.

Ewangielista, mały synek świętej Franciszki, zostal tknięty zarazą. Sam prosił o spowiednika — a Franciszka kazała spiesznie przywołać O. Antoniego, pobożnego zakonnika. Wyspowiadawszy się, rzekł Ewangielista do matki:

— Nie płacz, kochana mamo — ciesz się raczej, bo oto widzę moich patronów: św. Onufrego i św. Antoniego, którzy po mnie przyszli; oczekuję cię w raju i będę tam twoim kochającym synem, jak byłem na ziemi.

Skoro te słowa wymówił, zamilkł na chwilę, a potem patrząc w niebo, rzekł z rozpromienionem obliczem:

— Oto śliczni Aniołowie, którzy przychodzą, by mi towarzyszyć.

I natychmiast złożył ręce na piersiach — lekki uśmiech zaigrał mu na ustach, a du-

sza jego szybkim lotem wzbiła się do krainy wiecznej radości.

W sąsiednim domu znajdowała się chora dziewczynka, która od kilku dni mowę straciła. W chwili, gdy Ewangielista ostatnie wydał westchnienie, podniosła się na łóżeczku i patrząc w górę, w zachwycie radości kilka razy silnym głosem powtórzyła:

— Patrzcie, patrzcie — jak to pięknie!.. Ewangielista Ponciani wznosi się między dwoma Aniołami do nieba!

Gdy święta matka Ewangielisty modliła się dnia jednego w domowej kaplicy, została olśniona blaskiem niezwyczajnym — serce jej napełniła wewnętrzna, nadprzyrodzona radość, której przyczyny odgadnąć nie mogła, choć była zupełnie przytomną. Podnosi wzrok i widzi synka swego przy boku. Był w tym samym wieku i tego samego wzrostu, co przy śmierci; poznaje jego rysy, ale uwielbione i promienne — tak wielką błyszczy jasnością, że słońca blask niknie przy niej. Obok niego stoi dziecko w tym samym wieku i tego samego wzrostu, ale daleko piękniejsze. Franciszka chce mówić — ale słowa zamierają jej na ustach. Syn zbliża się do niej, i pełen wdzięku anielskiego składa ręce na piersiach, uchyla piękną swą główkę i pozdrawia ją z miłością i uszanowaniem. Zachęcona, ośmielona i uszczęśliwiona, chce go wziąść w swe objęcia i przytulić do ser-

ca; ale ulotne ciało, co duszę Ewangielisty osłania, wymyka się z jej objęć. Wreszcie urywanemi słowami mówi:

— Czyś to ty, synu serca mego? Gdzie jesteś, co robisz, kto są twoi towarzysze? jakie są twoje rozkosze?

Ewangielista podnosi swe oczy ku niebu, spuszcza je następnie i utkwiwszy wzrok pełen niewymownego spokoju i niezamąconej radości w matce, rzekł do niej:

— W niebie mamy tylko jedno zatrudnienie: wpatrujemy się w niezgłębioną dobroć i piękność Boskiego majestatu — i taką ztąd czujemy radość, że nikt jej opisać nie zdoła. W niebie jest dziewięć chórów: jeden wyższy od drugiego. A ponieważ chcesz wiedzieć moja kochana matko, gdzie ja się znajduję, to wiedz, że dobroć Boża naznaczyła mi miejsce obok chóru pierwszego rzędu Aniołów. Jestem razem z tym towarzyszem, którego tu oto widzisz — on jest piękniejszy niż ja, bo jego ranga (stopień) wyższa jest, jak moja. Tego ducha niebieskiego posyła ci majestat Boży, aby cię pocieszał w tej ziemskiej pielgrzymce; będziesz go miała dzień i noc przy boku; on ci we wszystkiem będzie pomocny. Prócz tego przybyłem, aby ci oznajmić, że po krótkim przeciągu czasu siostra moja Agnieszka będzie ze mną w niebieskiem Jeruzalem. Nie smuć

się, ale się raczej ciesz, że masz twe dzieci w chórach niebieskich.

Pobywszy blisko godzinę u matki, pożegnał ją i wrócił do raju, a Anioł pozostał przy niej. W kilka dni po tem widzeniu zachorowała Agnieszka i w siódmym roku życia oddała Bogu ducha.

W chwili, gdy Ewangielista opuszczał matkę, spojrzała Franciszka na swego przyszłego towarzysza i widziała, że ma oczy ku niebu wzniesione, a ręce na piersiach skrzyżowane. Następnie uklękła i dziękowała Panu Bogu, że jej tak wielką łaskę wyświadczyć raczył. Potem zwracając się do swego Anioła, prosiła go, by ją w wątpliwościach oświecał, we wszystkich okolicznościach oznajmiał jej wolę Bożą, aby do niej swą własną umiała zastósować, aby ją karcił za błędy i bronił ją od grzechu.

Skończywszy tę modlitwę, oddaliła się z kaplicy; Anioł szedł za nią, jasnemi otoczony promieniami, dla wszystkich, prócz dla niej, niewidzialny. Od tej chwili pozostał przy niej dzień i noc, bądź po prawej, bądź po lewej stronie, bądź nad głową, według rozmaitych okoliczności i duchownych potrzeb Franciszki, a tak jasny, że nie mogła nań patrzeć. Zdarzało się jej wtenczas to, co się zdarza chcącym patrzeć na słońce; widzą jasność i blask, ale kształtu widzieć nie mogą. W nocy czytała i pracowała tak łatwo,

jak we dnie, przy świetle niebieskiego towarzysza swego. Przy niektórych jednak okolicznościach ukrywał przed nią część swego blasku; gdy się naprzykład modliła lub staczała walkę ze złym duchem, mogła nań patrzeć, nie będąc olśnioną — albo gdy mówiła ze swym spowiednikiem. Tenże zapytywał ją nieraz o tym przedmiocie, bo w cierpieniach, pokusach i oschłości ducha doznawał dziwnych pociech, gdy mu Franciszka opowiadała o swoim Aniele.

— Wzrost jego mówiła doń, nie jest tak wysoki — jak dziecka 9-letniego; oblicze jego pełne jest łagodności, piękność jego przewyższa piękność słońca; niewymowny majestat rozlany jest na całej jego osobie. Oczy ma nieustannie zwrócone ku niebu, a nikt nie zdoła opisać czystości jego spojrzenia. Czoło jego zawsze jest pogodne, włosy jego jak najdelikatniejsze złoto, w gęstych lokach spadają mu na ramiona, ręce zaś ma zawsze skrzyżowane na piersiach. Widok jego podnosi i zachwyca mą duszę. Gdy nań patrzę, poznaję i pojmuję godność natury anielskiej i nasz własny upadek. Ma na sobie długą, jasno-białą suknię, a na niej nosi małą tunikę, jak subdyakon, której barwa się zmienia — raz jest biała jak lilia w ogrodzie, raz jak róża, czasem jak czysty błękit nieba. Gdy z nim po brudnych ulicach chodzę, on nigdy nogą błota się nie dotknie.

Oświecona nadprzyrodzonem światłem, jakie od jej Anioła wynikało, poznawała Franciszka najskrytsze myśli osób, z któremi rozmawiała. Gdy mówił, widziała jak porusza ustami i słyszała głos nieopisanego wdzięku, który zdawał się wychodzić z niejakiej odległości.

Gdy wstąpiła do Tor-di-Specbi, jako przełożona założonej przez się kongregacyi Oblatek, otrzymała od Boga nową, cudowną łaskę. Wpadła w zachwycenie w kaplicy domowej. Anioł, który ją przez 24 lata oświecał, bronił i pocieszał, słodko się do niej uśmiechnął i pożegnał ją. W tej samej chwili uczuła się przeniesioną w miejsce, gdzie niewysłowiona jasność panowała. Tam ujrzała Pana Jezusa. Aniołowie podzieleni na dziewięć chórów, tworzyli niezliczone wojsko, i upadając przed Jego tronem, odbierali od Niego rozkazy. Skoro przyszła kolej na czwarty chór, to jest *mocy*, który Panu Jezusowi głęboki oddał pokłon, spoczął wzrok Zbawiciela na drugim Aniele drugiej hierarchii tego chóru. Temu rozkazał Pan Jezus, aby wziął w opiekę św. Franciszkę, we wszystkiem jej pomagał i w widomej postaci przy jej boku pozostawał, tak, jak to czynił jego poprzednik.

Franciszka przyszła znowu do siebie — i ujrzała z niewysłowioną radością przy swym boku nowego towarzysza. Wyglądał on jak

przecudny młodzieniec, jaśniejszy jak Archanioł. Ten duch niebieski umacniał ją przeciw mocom piekielnym w rozlicznych walkach, jakie z niemi staczać musiała. Jedno spojrzenie jego ogniste, jeden ruch jasnej jego głowy wystarczał, by całe hufce szatanów rozprószyć. Tenże przestrzegał ją przed każdym grzechem, a nawet surowo ją karał, gdy jaki błąd popełniła.

Razu jednego, gdy rzymskie panie w obecności Franciszki sławę bliźniego szarpały, ona, nie mając dość odwagi, by stanąć w obronie osoby obmawianej, milczała. I w tej samej chwili, Anioł tak silny wymierzył jej policzek, że wszystkie pięć palców na jej twarzy widoczne były, a panie przelękłe, obmawiać przestały. (J. A. Keller).

Święta Lidwina z Sziedam.

Ta wybrana oblubienica Chrystusowa była wprawdzie dzieckiem ubogich rodziców — ojciec jej był stróżem nocnym w Sziedam (w Holandyi) — ale Bóg od dziecinnych jej lat prowadził ją królewską drogą krzyża i tak ją sławną uczynił w niebie i na ziemi, że należy do najświetniejszych Świętych Kościoła katolickiego. Już w 15-tym roku życia swego stała się niejako drugim Jobem. Nieznośny ból zębów, rany i wrzody na całem ciele, z których robactwo i obrzydliwa ropa

płynęła, i inne choroby wewnętrzne w tak wielkiej liczbie na nią się zwaliły, że nie można było oznaczyć, która z tych chorób była główną chorobą.

Taki stan trwał przez lat 33 aż do końca jej życia. Zdaje się, jakoby Bóg chciał na jej ciele uwidocznić rany i cierpienia swego mistycznego ciała, Kościoła, któremi właśnie wtenczas był nawiedzony. Z początku traciła odwagę i była smutna — ale pomodliwszy się do swego Anioła-Stróża, tak gorącą miłość uczuła do Pana Jezusa ukrzyżowanego, że odtąd największą byłoby dla niej boleścią, *nie cierpieć* dla Jezusa.

Odtąd święty Anioł-Stróż codzień się jej w widomej objawiał postaci.

— On jest tak piękny — mówiła do swego spowiednika, że gdyby mnie Pan Bóg przy życiu nie utrzymywał, abym dla Niego więcej cierpieć mogła, musiałabym umrzeć z wielkiej radości, jakiej na jego widok doznaję. Wystarczy jedno spojrzenie, jeden połysk jego włosów, by serce i duszę moją w zachwyt wprawić.

Zazwyczaj okazywał się jej Anioł z krzyżem na czole, by ją widokiem cennego znaku zbawienia do cierpliwości zachęcić; wtedy to natychmiast wpadała w zachwycenie, i wraz z swym Aniołem rozmyślała mękę i śmierć swego Boskiego Oblubieńca. Raz oprowadzał ją po miejscach świętych, zro-

szonych krwią Pana Jezusa, to znowu wziął ją do czysca i piekła i pokazywał jej tam dusze, za swe grzechy cierpiące. Nieraz też mówił jej, że przybywa z polecenia Pana Jezusa lub Najświętszej Panny, by ją odwiedzić i pocieszyć — czasem przychodził sam, czasem z innymi Aniołami i objawiał jej ich imiona, urzędy, tudzież osoby, których stróżami byli. Rozmowy ich toczyły się tylko o miłości Jezusa i Maryi i o zamiłowaniu cierpienia.

— Przyznaję, mówiła raz, że nie ma nic tak gorzkiego, coby mi się słodkiem nie wydało, gdy widzę mego Anioła-Stróża lub o nim myślę.

Wiele osób odwiedzało Lidwinę, między innemi i hrabina Małgorzata holenderska. Lidwina spostrzegła, jak Anioł-Stróż liczył kroki tych, którzy do niej z litości i współczucia przybywali. W popielec chciała pójść do kościoła, aby się dać posypać święconym popiołem; Anioł-Stróż ulitował się nad nią i przyniósł jej popiołu święconego i posypał ją tymże. Innym razem objawił się jej Anioł-Stróż z wielu innymi Aniołami. Zaczęli śpiewać: Salve Regina, i wołali na przemian:

— Niech żyje Matka! nicch żyje Syn!

Nawet między chóry anielskie została zachwycona i ujrzała wielki orszak Aniołów w cudnym ustawionych porządku. Każdy

z nich niósł w ręku jakieś narzędzie męki Zbawiciela i śpiewali cudnym głosem:

— Niech żyje Zbawiciel, niech żyje Matka Zbawiciela!

Pewnego dnia ujrzała Boskiego Oblubieńca swego na tronie, w pośród siedmiu Aniołów, otoczonego hufcami duchów niebieskich w najwyższym blasku i wspaniałości. Wtenczas to zbliżył się do niej z niewysłowioną miłością, okazał jej swe rany i wycisnął jej takież same rany na ciele. Odtąd aż do śmierci czuła je najboleśniej.

Mnóstwo Aniołów otaczało ją wreszcie, gdy po tak bohaterskich cierpieniach w roku 1433 duszę swą w ręce Stwórcy oddawała. I dziwna rzecz! Zaledwie skonała, ciało jej będące w zupełnym rozkładzie i gniciu, stało się tak czerstwe, świeże i piękne, że wszyscy na ten widok zdumieli.

Błogosł. Tomasz a Kempis, który wkrótce potem żywot Lidwiny skreślił, zaświadcza to, cośmy powiedzieli. (Schwingshackl. Anioł-Stróż, str. 120).

Święta Małgorzata z Kortony.

Tę cudowną pokutnicę odwiedzał po jej nawróceniu nietylko Anioł Stróż, ale nawet sam Król Aniołów: Jezus Chrystus — uraczył ją w towarzystwie niebieskich duchów szczęściem poufałości swej. Rozkazał wten-

czas Aniołom swym, aby ją we wszystkich cnotach pouczali, iżby jej dusza stała się godnem mieszkaniem swego Boskiego Oblubieńca. Ale też i Małgorzacie polecił, aby każdy chór anielski z osobna wzywała, a przez to otrzymała te nadprzyrodzone dary, które w Aniołach tak cudnym jaśnieją blaskiem.

Gdy razu jednego błagała Boga o chorobę, aby Go nie obrażała, udzielił jej Anioł-Stróż następującego upomnienia:

— Pan żąda, abyś była pokorną, posłuszną i pełną dziecięcej ku Niemu miłości; to o co błagasz, da ci Pan, jeśli Mu się spodoba.

Dla zbyt częstych odwiedzin Anioła, obawiała się Małgorzata oszukaństwa ze strony szatana, który sie lubi w Anioła światłości przemieniać. Dlatego też Anioł-Stróż ile razy przybył, cudnym głosem śpiewał: „Zdrowaś Marya.“ Zły duch zaś widząc, że mu się tak pewna zdobycz wymknęła, wściekał się ze złości — i bądź widocznie, bądź niewidzialnie na nią napadał, przedstawiając jej, jak wielką niegdyś była grzesznicą, że nie ma się już czego spodziewać, że dla niej tylko rozpacz pozostaje.

Wtem przystąpił do niej Anioł-Stróż i rzekł:

— Córko! nie bój się i nie trwoż — piekielny wróg mniejszą ma moc nad tobą, jak nieprzyjaciel zdeptany nogą zwycięzcy. Jam

jest przy tobie, ja duch opiekuńczy twej duszy, która jest wybornem mieszkaniem Boga.

Dnia jednego wręczył jej Anioł jako nagrodę za dotychczasowe zwycięstwa i jako zadatek nowych nad złym duchem tryumfów, świetną chorągiew, ozdobioną czerwonym i białym krzyżem, mówiąc:

— Weź tę chorągiew i walcz mężnie i tryumfuj nad twymi wrogami.

I w tej chwili uczuła się tak dziwnie mocną przeciw wszelkim napaściom piekła, że się już odtąd niczego nie bała. (Bolandyści, 23 Lut.).

Przestraszony.

W roku 1652 dnia 14 Grudnia wpadł pewien uczeń w mieście Saint Omer w złe i niebezpieczne dla swej cnoty towarzystwo. Na samą myśl o tem niebezpieczeństwie, i o okropnym grzechu, którego mało co nie popełnił, tak się przeląkł, że utracił ów spokój, jaki towarzyszy czystemu sumieniu. Gdy się ułożył do spoczynku i chciał zasnąć, o samej północy ktoś uchwycił go za ramię. Otwiera oczy i widzi przy swem łożu młodzieńca, który nań surowo spogląda i pokazuje mu w kącie pokoju okropny pożar, podobny do tego, jaki widzimy na obrazach piekła. I natychmiast znikł.

Widokiem tym przestraszony, tak głośno

krzyknął, że się wszyscy zbudzili. Przybiegają do niego, zapalają światło i pytają, co mu jest. On powiada, że go okropnie głowa boli. Zawołano lekarza; ale wszelkie starania jego były daremne. Przez całą noc tylko jęczał, płakał i drżał na całem ciele, i był o tem przekonany, że jego Anioł-Stróż, którego codzień szczególniejszym sposobem czcił, na niego się pogniewał, i jako karę za przewinienia piekło mu pokazał.

Wstał raniutko i przybiegłszy do mnie, wśród łez i jęków odpowiedział mi wszystko, co mu się zdarzyło. Wyspowiadał się szczerze i postanowił odtąd myśleć tylko o zbawieniu swej duszy, i opuścić świat, co też za pół roku uczynił. Kochał się tylko w samotności i w rozmyślaniu o rzeczach niebieskich, w postach i najsurowszych pokutach. Własnoręcznie zrobił sobie włósiennicę i biczował się do krwi, aby, jak mówił, krwią swoją zgładzić ową grzeszną przyjemność, której co tylko uczynkiem nie popełnił.

W kilka lat później umarł w zakonie św. Franciszka, jak Anioł. Na imię mu było Gabryel, a to imię nie małym było dlań bodźcem, aby żył i umarł w anielskiej niewinności. (O. Coret S. J. Anioł-Stróż, s. 102).

W ostatniej chwili ratunek.

Święty Anastazy Synaita [1]) pisze co następuje:

„Widziałem herszta bandy rozbójników, który granice Tracyi mordami i postrachem napełniał. Był to człowiek okrutny, dziki, zatwardziały — ale w jednej chwili z wilka srogiego przemienił się w cichą owieczkę, a z potworu bezbożności stał się wzorem pokuty. Jego Cesarskiej Mości Maurycemu, czyli raczej potężnej sile relikwii, które tenże podał owemu hersztowi, zawdzięcza on swe nawrócenie. Skoro je bowiem z rąk cesarskich przyjął, natychmiast zwyciężony potężnem działaniem łaski Bożej, rzucił się do nóg monarchy, błagał o przebaczenie za wzniecone przez się w Tracyi rozruchy i dał zapewnienie, że gotów jest wszystkie swe siły obrócić na służbę cesarską, a nawet życie położyć w ofierze na zgładzenie swej winy. Skrucha szczera przenikła głębię duszy jego, a takie obrzydzenie dawnej zbrodni go opanowało, że słusznie można przypuścić, iż nadmiar boleści życie mu ukrócił; w kilka bowiem dni wpadł w ciężką chorobę, tak, iż go do jednego z moich pokoi gościnnych przynieść musiano.“

[1]) Ten Święty żył na pustyni góry Synai, skąd został wyniesiony na stolicę Patryarchy w Antyochii.

„Była to scena, która nawet kamienne serca poruszyć była w stanie, gdym patrzał na jego łzy i słuchał jęków jego. „O Panie! wołał — nie żądam nic nowego od Twego Boskiego majestatu. Łotr na krzyżu nauczył mnie, że taki zbrodniarz jak ja, na łożu boleści nie powinien rozpaczać o swem zbawieniu, jeśli się rzuci w objęcia Twego miłosierdzia. Przypominam sobie także, że robotnicy wysłani od gospodarza, nie zostali bez nagrody, choć praca ich godzinę tylko trwała. To było przypowieścią, o Panie — ale tu jest rzeczywistość. Jam jest jednym z owych robotników; przychodzę w ostatniej godzinie życia i mam nadzieję, że ten krótki czas, którego użyję do opłakiwania dawniejszych zbrodni, do szczerej spowiedzi i przebłagania Cię, nie będzie za krótki, by Twej sprawiedliwości zadośćuczynić. Wszak i to wiem o Panie, że Chrzest obmywa wszelkie brudy grzechu, i że chrzest pokuty ten sam sprawia skutek. Więc zanurzam się w tę kąpiel mych łez w nadziei, że one mnie obmyją, jak łzy św. Piotra obmyły brud jego zaparcia.“

„Kilka godzin trwał w tych wzniosłych uczuciach, a obfitość łez jego była tak wielka, że niemi zmoczył całą swą chustkę. Nareszcie umarł tej samej nocy. Lekarz, który go odwiedzał, widział we śnie wielką liczbę szatanów, czarnych jak murzynów, którzy

się zbiegli, niosąc ze sobą mnóstwo papierów i ksiąg, w których grzechy owego herszta były zapisane. W tymże czasie okazała się wielka waga — na jednej szali złożyli szatani te wszystkie księgi i papiery, podpisane ręką zmarłego. W nich grzesznik ów zawierał kontrakt z szatanem, że chce wiecznie być w piekle, jeśli mu szatan tych i owych rozkoszy zażyć pozwoli. Szala natychmiast aż do ziemi się przechyliła, a ponieważ na drugiej szali nic nie było, coby równoważyć mogło, zjawili się dwaj Aniołowie w jasnym blasku, którzy patrząc na siebie, pytali jeden drugiego: czy ten biedny nieszczęśliwy nigdy nic dla zbawienia swej duszy nie uczynił?

— A cóż mógł uczynić? Wszak dopiero 10 dni, jak porzucił drogę zbrodniczą — odpowiedzieli szatani.

— Szukajmy jednak, rzekli Aniołowie — cudów dokazać można w krótkim czasie, jeśli się kto do Boga w doskonałej skrusze nawróci.

Zbliżyli się tedy do łoża zmarłego, a znalazłszy jego chustkę zawołali:

— Chwała Bogu! Oto tu jest chustka łzami przesiąkła. Nieraz jedna łza wystarcza, aby Bogu piorun gniewu z rąk wytrącić; połóżmy ją na drugą szalę, może tamtą zrównoważy.

Jak rzekli zrobili — i w tejże chwili druga

szala z taką gwałtownością poszła w górę, że czarci precz uciekli — a Aniołowie zawołali:

— Niech żyje miłosierdzie i miłość Boga ku ludziom!

Poczem wzięli duszę jego i ponieśli ją z sobą.

Tymczasem lekarz się ocknął; podniósł się z łoża w przekonaniu, że ten sen pochodzi z nieba. Udał się do szpitala, gdzie zastał chorego już martwym, a chustkę łzami przesiąkłą na jego obliczu. Opowiedział tedy sen swój — a wziąwszy oną chustkę, zaniósł ją cesarzowi, któremu ze wszystkiego, co zaszło, zdał sprawę dokładną, winszując mu, że za jego czasów Bóg odnowił tę samą łaskę, której rozbójnikowi przy śmierci Syna swego udzielił.

Chociaż jesteśmy pewni, że to zdarzenie jest prawdziwe, to nie powinniśmy naszej pokuty aż do śmierci odkładać. Wieluż bowiem jest takich, których śmierć z nagła zaskoczyła?! A któż nam łaskę takich łez obiecał? Nie ociągajmy się więc z wyznaniem naszych grzechów — lecz spieszmy się, dopóki jesteśmy zdrowi.“

Święty Wacław.

Święty Wacław, osobliwszy czciciel Aniołów-Stróżów, doznał nieraz cudownej ich opieki.

Książę Radysław napadł razu jednego na jego państwo. Święty Wacław wyszedł naprzeciw niemu ze zbrojną siłą. Chcąc jednak oszczędzić rozlewu krwi swego ludu, prosił, aby tylko oni obydwaj w imieniu swego narodu walczyli, na co tenże się zgodził. Warunek był taki: Kto zwycięży, posiędzie kraj i ludzi.

W oznaczonej godzinie stawił się Radysław na oznaczone miejsce; pancerzem na całem ciele okryty, dzierżąc w rękach wyćwiczonych potężną włócznię, spodziewał się niechybnie odnieść zwycięstwo. Wacław zaś ufność swą położył w Bogu — miał przeto w ręku tylko krótki miecz i o tyle tylko był okryty pancerzem, aby włosiennicy, którą zawsze nosił, nie spostrzeżono.

Wszyscy w okropnej trwodze oczekiwali końca tej walki. Walka się rozpoczęła — lotem błyskawicy pędzi Radysław ku Wacławowi, chcąc go włócznią strącić z konia i powalić na ziemię. Wacław żegna się krzyżem świętym; przeciwnik jego słyszy głos:

— Stój!.. i widzi dwu Aniołów po bokach Wacława, truchleje i pada na ziemię. Na kolanach błaga o litość; Wacław go podnosi, odbiera hołd i wraca mu kraj i ludzi.

Wkrótce po tej wyprawie zwołał cesarz Otto I radę państwa do Wormacyi, na której i Wacław musiał być obecnym. Gdy już rada państwa miała rozpocząć swe rozprawy,

byli już wszyscy książęta w sali obrad zgromadzeni, wyjąwszy Wacława. Wszyscy nań czekali — nareszcie już im zabrakło cierpliwości; poczęli więc głośno mruczeć i postanowili, skoro przybędzie, odmówić mu zwykłych honorów i miejsca dlań przeznaczonego.

Wacław tymczasem był w kościele, aby wedle zwyczaju Mszy świętej wysłuchać; a kapłan się nieco spóźnił. Książę spieszy po Mszy świętej do sali obrad — i oto, skoro tylko próg przestąpił, powstaje cesarz ku wielkiemu zdziwieniu obecnych, biegnie naprzeciw księcia, bierze go w swe objęcia, i wskazuje mu miejsce tuż obok siebie. Następnie oświadcza przed całem zgromadzeniem, że widział, jak dwaj Aniołowie po bokach księcia do sali wchodzili, i jak mu złotą koronę na głowę włożyli. W końcu nadaje mu godność królewską i wkłada mu insygnia władzy królewskiej. (Ks. Ant. Keller).

IMPRIMATUR.
(L. S.) † *Albinus*,
Cracoviae die 15 Martii 1888. Eppus.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

O złych duchach czyli szatanach.

Niemniej jak o dobrych Aniołach, pełno jest świadectw w Piśmie św. tak starego jak i nowego Testamentu o złych duchach, czyli szatanach. Bóg stworzył tylko dobrych duchów, ale przez grzech pychy jedna część aniołów odpadła od Boga i straconą została na wieczne męki do piekła. Złe duchy nienawidzą Boga i Jego obrazu, to jest człowieka i wszelkimi sposobami starają się pomnożyć liczbę potępionych. Powodowani zazdrością, kuszą ich do złego, a czasem z dopuszczenia Bożego opętują ludzi, jak w raju opętał szatan węża i w tej postaci zwiódł pierwszą matkę Ewę.

Michał Ludwik.

Michał Ludwik, młodzieniec ze szlachty niemieckiej, posłany został od ojca swego na dwór księcia Lotaryngii, aby się tam wyuczył po francusku. Ale prócz języka francuskiego nauczył się wielu innych bardzo złych rzeczy, a osobliwie karciarstwa, które go prawie do wiecznej zguby przywiodło. Stracił wszystkie pieniądze w karty. Rozważając swoją nędzę, pomyślał sobie, że gdyby mu szatan prawdziwych pieniędzy przyniósł, toby był gotów przystać na wszelkie warunki.

I natychmiast zjawił się przed nim młodzieniec piękny i gładki, którego jednak

widok grozą go przejął, bo mu się zdawało, że to szatan w ludzkiej postaci. Ale ten poklepał go z uśmiechem po ramieniu i rzekł:

— Człowiecze, czego się boisz? czy ja tak brzydki, że w tobie wstręt obudzam? Widzisz to srebro? Chciałbyś je?

Ta poufała mowa dodała Ludwikowi nieco otuchy.

— Srebro? odrzekł, ale jakie? fałszywe i do niczego, które na mój stan nie przystoi.

— Wcale nie, mówię ci — ale prawdziwe, najlepszej próby, i to tyle, ile ci się podoba! Patrz, oto — zbadaj i spróbuj, zrób z niego użytek, a jeśli ci będzie służyło, to wróć, abyśmy się ugodzili.

Wziął zatem pieniądze i poszedł z niemi do swych towarzyszy, których jeszcze przy grze zastał; grał — i nietylko swoje pieniądze odegrał, ale i kolegów zegrał. Gdy uradowany powracał, spotkał go zły duch.

— No, i jakże? zapytał — prawdę mówię czy nie? Czy to srebro prawdziwe, czy fałszywe?

— Wyborne! — odparł młodzieniec — takiego chciałbym mieć jeszcze więcej.

— I owszem, rzekł szatan; ale co ty mi dasz za to?

Ludwik rzekł, że nic nie ma takiego w tej chwili, a szatan na to:

— Ty nie masz dość krwi, i ani czterech kropel dać mi nie możesz? To mówiąc, wziął

go za lewą rękę i zranił ją tak, że Ludwik nie uczuł żadnego bólu. Potem wycisnął mu kilka kropli krwi do łupiny żołędnej, a podając mu kartkę papieru i pióro, rzekł:

— Pisz! — I podyktował mu. Na drugiej kartce kazał mu więcej napisać. Następnie rzekł, podając mu jednę:

— To twoja kartka! — Złożył ją i tak zręcznie włożył do rany, że odrazu się zrosła i tylko blizna została. Potem mówił dalej:

— Przez tę kartkę spełnię wszystkie twe życzenia. Co tylko rozkażesz, stanie ci się, i to przez lat siedm; a potem będziesz moim, bo tak napisałeś na drugiej kartce, którą chowam dla siebie. Czy zgoda?

Ludwik westchnął głęboko — ale się zgodził; a szatan znikł.

Na drugi dzień jednak znowu się zjawił i radził mu, aby zaniechał niektórych modlitw, które odmawiał i zabrał mu kilka pobożnych książek, aby, jak mówił, częściej i swobodniej mogli ze sobą rozmawiać.

Od tego czasu był szatan dzień i noc przy Ludwiku w postaci służącego, uczył go rzeczy nadzwyczajnych, ale zawsze najgorszego rodzaju i nakłaniał go do coraz nowych czynów haniebnych. Już spora część siedmiu lat upłynęła, gdy ojciec powołał go do domu w nadziei, że się należycie i godnie na dworze wykształcił.

Nie było wszakże nic podlejszego jak on;

już tylko kilka miesięcy brakowało do siedmiu lat; on jednak, pomimo strasznych wyrzutów sumienia dopuszczał się najhaniebniejszych czynów. Chciał otruć rodziców, zamierzał dom ojca podpalić, chociaż Bóg mu tego nie dopuścił, podobnie jak nie dozwolił mu życia sobie odebrać. Już dwa razy strzelał do siebie, ale za każdym razem kapsla spaliła na panewce. Bóg mu dał łaskę szczerego nawrócenia się. Rodzice strapieni oddali go pod opiekę OO. Jezuitów z Molcheim, którzy po wielu pracach i modlitwach zdołali go wreszcie od szatana uwolnić. (Göres, Mistyka 720—725).

Szatan przybiera postać Anioła światłości.

Błogosławiony Ambroży z Sieny, zakonu świętego Dominika, odznaczał się w młodości prawdziwą pobożnością i uczynkami miłosierdzia. Za pozwoleniem swego zacnego ojca przyjmował ubogich pielgrzymów, odwiedzał więźniów, obsługiwał i pocieszał chorych i pełną garścią rozdzielał jałmużnę ubogim. Prócz tego niezmordowanie starał się o zachowanie czystości ciała i duszy. Już powziął silny zamiar poślubić Panu Bogu wieczną czystość. Jego przyjaciele i rówieśnicy wszystkich używali środków, aby go namówić do używania rozkoszy i przyjemności życia. Ale wszystkie ich zabiegi spełzły na

niczem. Z uprzejmością umiał się im zawsze wymówić zręcznie — a gdy przeczuwał, że go znowu będą prosili na zabawę, udawał się wtedy samotnie na przechadzkę w pole lub do poblizkiego klasztoru albo kościoła. Gdy razu jednego przechadzał się samotnie po polach, zbliżył się do niego kusiciel jak niegdyś do Pana Jezusa i rzekł:

— Ty sądzisz zapewne, że dla twej duszy jest korzystniej i lepiej, jeśli się usuniesz od przyjemności życia i od towarzystwa twoich rówieśników; ale ja ci powiadam, żebyś daleko większą miał zasługę przed Bogiem, gdybyś przestawał z twymi przyjaciółmi: miałbyś bowiem więcej sposobności walczyć przeciw pokusom i niebezpieczeństwom duszy — a takie życie, pełne walki, ma przed Bogiem daleko większą zasługę, jak to, które teraz prowadzisz i na przyszłość prowadzić zamyślasz. Nie łudź się bynajmniej — nie znajdziesz łaski u Boga, jak tylko przez mężną walkę przeciw podstępnym pokusom nieprzyjaciela dusznego. A do tego masz daleko więcej sposobności w wesołem towarzystwie przy grze i przy tańcu; tam się opieraj mężnie pokusom, a otrzymasz, wierzaj mi, od Boga obfitsze łaski. Postępowanie twoje zresztą ma pozór pychy i lekceważenia drugich; dajesz zgorszenie twą dumą; czy nie widzisz, że cię uważać będą za dziwaka? A jeśli za słaby będziesz, by w stanie

bezżennym oprzeć się nieczystym pokusom, jakże ocalisz twą duszę? Czy się uważasz za jednego z Świętych, których Bóg przez swą dobroć w niewinności i czystości zachowuje? W tem właśnie leży twoja pycha, że sądzisz, jakobyś z ludzkiemi siłami mógł się zachować w czystości, i to przeciw rozporządzeniu Bożemu, który stan małżeński postanowił. Ty masz obowiązek ożenić się, twój ród szlachetny tego się bezwarunkowo po tobie domaga. Czemuż chcesz przeciw prądowi płynąć?

Aż dotąd Ambroży, niczego złego nie domyślając się, słuchał uważnie słów kusiciela. A gdy szatan ośmielony powolnością Ambrożego, począł mu i to, co jest oczywistym grzechem, jako rzecz dozwoloną przedstawiać, przeląkł się pobożny młodzieniec, przeżegnał krzyżem świętym — a piekielny doradca uciekł natychmiast.

Pomimo to, chytre słowa kusiciela zrobiły na Ambrożym głębokie wrażenie; myśl, że to może być pychą i zarozumiałością chcieć żyć w panieństwie, przez długi czas go niepokoiła. Ale sługa Boży nie przestał się modlić i walczyć. Wreszcie objawił mu się jego Anioł-Stróż we śnie i zawołał:

— Ambroży, pogardź słowami kusiciela, bądź wierny twemu postanowieniu — Bóg ci dopomoże.

Po tych słowach wrócił pokój do jego

serca, a myśl zupełnego poświęcenia się Bogu już go więcej nie opuściła.

Ileż to razy szatan zmienia się w Anioła światłości i pod dobrymi pozorami chce nas zwieść z drogi cnoty, aby nas wtrącić w przepaść grzechu i piekła! Ty czuwaj i módl się, aby wróg twego zbawienia dobrego nasienia, t. j. dobrych myśli i postanowień, które od Boga pochodzą, nie wyrwał z serca twego.

Święty Teofil Adański.

Mało co przed tem, niźli Persowie rzymskie państwo wojowali, w Cylicyi wtórej, w mieście Adanie, był jeden gospodarz kościelny albo ekonom, na imię Teofil, dobrego życia i bardzo pożyteczny sprawca rzeczy kościelnych, który umiał sprytem i pilnością, która z miłości ku P. Bogu pochodziła, mądrze i spokojnie wszystkiego dojrzeć, stanowić i sieroty a wdowy kościelne i inne ubogie z wielką wszystkich ludzi dzięką opatrować. Że biskup na nim bardzo wiele polegał i z jego postępków pociechę miał, przeto po śmierci biskupiej wszyscy go jednym głosem, tak kapłaństwo, jako i lud pospolity za biskupa obrawszy, arcybiskupowi ofiarowali.

Przyzwany od arcybiskupa, na poświęcenie jechać nie chciał, przed którym na kolana upadał i prosił, aby go na ten urząd nie poświęcał, bo się niegodnym być czuł dla grze-

chów swoich. Namawiał go długo arcybiskup, ukazując mu godność jego i czystość — gdyż go wszyscy mieli za człowieka bardzo powściągliwego; lecz on żadną miarą przystać na to nie chciał, mówiąc:

— Nie jestem godzien.

Tak tedy arcybiskup innego na ten urząd postawił, a jego na onymże urzędzie opieki kościelnéj zostawił.

Ów nowy biskup, słuchając niektórych złych, obmownych języków, które czart (chcąc zamięszać pokój) naprawował, Teofila z urzędu złożył, a innemu kościelne gospodarstwo poruczył, bardzo się na tem oszukiwując, a nie wiedząc, jako był tento stary kościołowi pożyteczny.

Ta rzecz bardzo obruszyła Teofila — iż myślał we dnie i w nocy, jakoby się swej onej zelżywości pomścić. A nie znajdując innej rady, udał się do czarnoksiężnika żyda, do którego w nocy przyszedłszy, prosił bardzo o pomoc, oznajmując mu krzywdę i frasunek swój.

Żyd on, znając go jako człowieka w mieście zacnego, z chęcią mu obiecał wszelaką pomoc, mówiąc:

— Bądź dobrej myśli; jutro (powiada), o tym czasie w nocy przyjdź do mnie, a ja ciebie będę stawił przed moim panem, od

którego pewny pociechy będziesz, jakiej ci będzie potrzeba.

Tak tedy uczynił nędzny Teofil; przyszedł nazajutrz do tego żyda, który wyprowadziwszy go o północy na plac koński w mieście, tak mu powiedział:

— Jeśli jakie cudo ujrzysz, albo strach na cię padnie, nie bój się a nie żegnaj się krzyżem, bo krzyż nic nie pomoże, który jest tylko śmiech a oszukanie chrześcijańskie.

Gdy to Teofil obiecał, wnet mu ukazał dziwne widzenie, a ono osób wiele idzie pięknie przybranych i dworzan wielu wołających a weselących się, a w pośrodku nich siedzi książę ciemności, to jest dyabeł z sługami swymi. Tedy żyd, wziąwszy za rękę Teofila, prowadził go między one dworzany, aż do onego króla, to jest starszego dyabła, który rzekł do żyda:

— Po co wiedziesz tego człowieka do nas?

Rzecze żyd:

— Panie mój, wiodę go do ciebie przeto, że ma wielką krzywdę od biskupa, a prosi od ciebie pomocy.

Rzecze czart:

— A jako mu ja pomódz mam, kiedy on służy Bogu swemu? Jednakże, jeśli mi służyć i między moje poczytany chce być, ja go tak wspomogę, iż będzie więcej władnął niźli pierwej, i będzie wszystkim rozkazował więcej, niźli sam biskup.

Rzecze żyd Teofilowi:

— Czy słyszysz to, co król mówi?

Odpowie:

— Słyszę i wszystko uczynię, co jeno mi każe; zatem padł Teofil przed nim i całował nogi jego.

Tedy rzecze czart żydowi:

— Niech się Teofil zaprze Syna, którego zowią Jezusem i Matki jego (bo się ja tymi brzydzę) a to zaprzenie się swoje niechaj mi da na piśmie.

Teofil rzekł:

— Wszystko uczynię, co mi każesz, jeno niech to mam, czego pragnę.

Skoro to nieprzyjaciel ludzki usłyszał, począł obejmować Teofila i brodę jego głaskać, mówiąc:

— Witaj mój wierny sługo i przyjacielu. Tedy weń wstąpił czart i począł się zapierać Chrystusa, Najświętszej Matki jego Boga-Rodzicy: i to wymówiwszy, napisał i swoją pieczęcią zapieczętował i dał panu swemu. Tak się tedy rozeszli, Teofil z onym żydem, radując się z onej haniebnej zguby swojej.

Nazajutrz biskup (jak mniemam), od Boga wzruszony, żałował bardzo, iż Teofila z urzędu złożył; a posławszy sobie poń, z wielką go czcią przyjął i przeprosił. Potem, wezwawszy kapłanów i mieszczan, znowu mu gospodarstwo kościelne poruczył, dając mu moc i władzę na wszystkie dobra kościelne,

i owszem, czci mu dwojako przymnożył. Gdy się biskup św. przed wszystkimi usprawiedliwiał i mówił do Teofila:

— Odpuść mi bracie, iżem tak przeciw tobie zgrzeszył, i ciebie, człowieka świętego i na to godnego, złożywszy, tegom niegodnego i na ten urząd nieusposobionego przełożył — począł Teofil sprawować jako pierwej i nadewszystkich się wynosić. Wszyscy się go bali i jemu byli posłuszni — sam nawet biskup bardzo się nań oglądał i czcił go.

Tedy on niewierny żyd-zdrajca tajemnie w dom Teofila przychodził, mówiąc:

— Widzisz, jakom ci pomógł, a pan mój jako cię wyniósł bardzo prędko.

A Teofil mówił:

— Tak jest, bardzoć za to dziękuję.

Lecz Stworzyciel i Pan Bóg nasz, który utraty naszej nie pragnie, jeno czeka pokuty, wspomniawszy na święty przeszły żywot jego, gdy służył kościołowi, gdy opatrywał wdowy, gdy sierotom usługował i ubogie hojnie karmił: nie zarzucił go, ale dał mu upamiętanie i Boskie w serce jego nawiedzenie ku prawemu powstaniu i nawróceniu się. Bo pomnąc na to, co uczynił, a jako mu Pan Bóg, a nie czart, nagrodził onę zelżywość jego dwojako; i gdyby był poczekał trochę a do dyabła się nie uciekał, toż go spotkać miało: tedy się sam w sobie gryźć i wielce smutnym być począł.

I wnet się oddał postom wielkim, modlitwom i płakaniu, prosząc łaski i miłosierdzia, aby była odpuszczona złość jego. I tak często mówił: — »Ach, ja nieszczęśliwy a nędzny człowiek! Gdzie pójdę, gdzie się obrócę, a kto się nademną zmiłuje? Chrystusam się i jego świętej Matki zaprzał i jeszczem tę złość moję swą ręką napisał, stając się dyabelskim niewolnikiem. O, jakiegom Pana odstąpił a jakiegom sobie obrał! I cóż mi była za krzywda? Azaż mi tak źle było nie mając pracy i urzędu? Wszakem z niego pożytku nie miał jedno dla próżnej chwały a ludzkiego o mnie mniemania, zabiłem duszę moją. A com miał mieć za sprawę z onym żydem przeklętym, którego i cesarz już karał o te czarnoksięstwa? Bo i prawo świeckie tego nie dopuszcza i karze tych, którzy opuściwszy P. Boga, do dyabła się uciekają. Niestetyż! — zginąłem — zbłądziłem, jako się postawię na sąd Boży? co rzeknę? I cóżem uczynił? Boga, Pana, Stworzyciela i Odkupiciela mego odstąpiwszy, do czarta nieprzyjaciela jego, który piekłem i wiecznem potępieniem służbę swoją płaci, zdrajcą Boga mego zostawszy, przystałem? Niestetyż, co mam czynić? — Więc dał mu Pan Bóg taką myśl z łaski swej, niechcąc, aby zginął. — Wiem, co uczynię, rzecze, chociażem się i Matki Chrystusowej zaparł — wszakże Ona jest obroną wszystkich grzesznych — będę Jej prosił,

aby się za mną do swego miłego Syna wstawiła, oznajmując jej, jako mi tego wielce żal; pójdę do Jej kościoła a będę pościł dni 40, aż jaką pociechę odniosę. I tak uczynił; szedł do kościoła Panny czystej — prosił, wołał we dnie i w nocy, poszcząc przez dni 40, ustawicznie łzy wylewając.

Tedy dnia czterdziestego o północy ukazała mu się Matka Pana naszego, mówiąc:

— Jako ja za cię wstawić się mam, kiedyś się ty Syna mego zaparł? Jać was grzesznych bronię, i wam, gdy się nawracacie, pomagam; ale krzywda Syna mego boli mię też wielce, iż mi w tem pomoc tobie dać trudno jest.

A on wielce już uweselony, rzecze:

— Obrono rodzaju ludzkiego, Pani moja, Boga-Rodzico! wiem, iżem Cię i Boga mego, Syna Twego szkaradnie obraził, i żadnego miłosierdzia godzienem nie jest; ale mam przed sobą wiele przykładów grzeszących, których Pan Bóg, Syn Twój, pokutę przyjął, a onym, jako miłosierny, odpuścił złość ich. Mam Niniwitów, mam Raab jawnogrzesznicę, Dawida, Manasse, Piotra książęcia apostolskiego, pierwszego ucznia i podporę Kościoła, który się Syna Twego nie raz, ale trzykroć zaprzał — mam Pawła prześladownika kościelnego, który się stał naczyniem wybranem; mam Magdalenę, Zacheusza jawnogrzesznika, Koryntczyka, którego Paweł po grzechu

przyjmuje; mam Cypryana czarnoksiężnika, którego św. Justyna pozyskała Panu Bogu, a który koroną męczeńską uczczony jest. Jakoż ja w miłosierdziu Syna Twego i w Twojej wielkiej przyczynie rozpaczać mam? Gdy to rzekł, tedy mu rzekła ta, która jest nadzieją naszą i obroną naszą:

— Wyznaj człowiecze, iż ten, któregom ja porodziła, jest Chrystus, Syn Boga żywego, który przyjdzie sądzić żywych i umarłych, a ja też za cię prosić będę, aby cię przyjął pokutującego.

Tedy on z wielkim wstydem i bojaźnią rzekł:

— Wierzę, chwalę i wielbię jednę z trzech Osób Trójcy świętej — Pana naszego Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, który od wieków z Ojca niewymownie rodzony, czasów ostatnich zstąpił z nieba, Bóg — Słowo dla ludzkiego zbawienia, wcielony z Ducha świętego, narodzony z Ciebie Dziewicy Maryi, zarówno prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek, który dla nas ucierpiał, na krzyżu ręce rozpiąwszy, zamordowany dla grzechów naszych między łotrami; który przyjdzie sądzić żywych i umarłych, i płacić będzie każdemu według uczynków jego.

Gdy to tak wyznał, obiecała mu błogosławiona Panna przyczynę swoją u Syna swego najmilszego i z tem zniknęła. On tem więcej pościł i modlił się w onymże kościele we dnie i w nocy, mówiąc:

— Wiem, błogosławiona Panno, iż od Ciebie nikt bez pociechy nie odchodzi; Tyś sama jest obroną naszą u Syna twego; niech jeszcze usłyszę pocieszne słowo twoje — a ów zapis, który mię bardzo trapi, oby mi był wrócony, bo bez niego nigdy dobrej myśli nie będę mógł mieć. I po kilku dniach w takiemże widzeniu ujrzy znowu błogosławioną Pannę i usłyszy te słowa:

— Przyjęta jest pokuta twoja i płakanie twoje — bądźże już mocnym i statecznym, a chowaj to, coś obiecał.

Lecz on jeszcze o on zapis usilnie prosił, znowu się karząc postem i modlitwami. Aż trzeciego dnia przez sen ujrzy, iż mu kartę onę jego i zapis niosą — którą, ocknąwszy się, na piersiach swoich leżącą znalazł, z tąż pieczęcią, jako był zapieczętował. Z czego tak był bardzo zdumiały, iż od onej wielkiej radości stawy członków jego osłabione zostały.

A iż nazajutrz była niedziela, gdy wszystek lud Boży był w kościele, po Ewangelii szedł i padł do nóg biskupich, powiadając mu wszystką onę historyę i podał mu on zapis zapieczętowany, prosząc, aby był na ambonie czytany przed wszystkimi. Tedy wszyscy zrozumieli, co się stało; a biskup wołać pocznie i mówić.

— Wszyscy wierni chwalmy Pana i Boga naszego, tak łaskawego! Patrzcie na takie

cuda nad rozum ludzki; patrzcie, jako łaskawy wielce Pan Bóg — utraty grzeszących nie chce; patrzcie, jako wiele mogą łzy i pokuta wiernego. Kto się nad takiemi cudami nie zdziwi? Czterdzieści dni pościł Mojżesz i wziął Pismo Boże — ten czterdzieści dni pościł, wziął pismo swoje. Obaczcie, co waży przyczyna tej wielkiej Zastępczyni naszej. Chwalmy Pana Boga, który tak miłościwie przyjmuje grzeszące, którzy go przez tę Niepokalaną Boga-Rodzicę proszą. Tać jest droga nasza do Boga — nadzieja rozpaczających — prawdziwe wrota, do których grzeszni gdy kołaczemy, otwarzają nam; ona się modli za nas do Tego, którego porodziła i odpuszczenie nam grzechów u niego jedna. O, jako uwielbione sprawy twoje, Panie, nie wymówi język i serce, a rozum nie pojmie! Teraz się słusznie mówić ma: »Przynieście najkosztowniejszą szatę, a obleczcie jego, dajcież mu pierścień, zabijcie tuczonego cielca, ofiarujcie go, a weseląc się używajmy, bo ten brat nasz umarłym będąc — zmartwychwstał; zgubionym będąc — szczęśliwie znaleziony jest«.

Tedy Teofilowi leżącemu wstać kazał biskup i on zapis przeklęty spalił. A lud płakał a wołał: Kyrie eleison. Milczenie potem uczyniwszy, służbę Bożą kończyli:

I rzekł biskup:

— Pokój wam — a potem mu dał niepo-

kalany a ożywiający Sakrament — i rozjaśniała twarz Teofila; co widzieli wszyscy i chwalili Pana Boga z odmiany jego, który potem do kościoła onego czystej Panny poszedł, i trochę w nim odpoczywając, zachorował na tem miejscu, gdzie ono widzenie miał. A potem 3 dni leżąc, rozporządziwszy należycie dom swój, a bracią pożegnawszy, świętą duszę oddał temu, który się z Przeczystej Boga-Rodzicy narodził, któremu cześć i chwała na wieki wieków. Amen. (Skarga, Żywoty ŚŚ. 23 lutego).

Różne pokusy szatańskie.

Małgorzata, urodzona w Toskanii 1247 r. z ubogich rodziców, ma przydomek z »Kortony«, ponieważ w tem mieście świątobliwie żyła i w niem szczególniejszej czci doznaje. Pobożna jej matka odumarła ją w siódmym roku życia, a miejsce jej zajęła macocha, surowa i zimnego serca kobieta. Żywe usposobienie i niespokojny, opryskliwy temperament Małgorzaty, nie mogły się nagiąć do posłuszeństwa względem dumnej macochy; z tego powodu powstawały w domu różne niemiłe zajścia i przykre sceny, które młoda dziewczyna usiłowała powetować sobie nieposkromionem upodobaniem w strojach i namiętnem pragnieniem pochlebstw i hołdów,

które ujmującej jej postaci i kwitnącej urodzie składano.

Z pomiędzy licznych wielbicieli szczególniejsze jej względy pozyskał pewien młody, bogaty kupiec z miasta Montepulziano, a nadzieja błyszczenia w tak znakomitym domu jako elegancka dama, tak ją uwiodła i olśniła, iż wyzuła się z wszelkiej bojaźni Bożej, z wszelkiej czci i wstydu wrodzonego, i jako zaledwie szesnastoletnia dziewczyna, opuściła potajemnie dom rodzicielski, by zadosyćuczynić swym grzesznym pragnieniom.

Wtem zdarzyło się, że kupiec ów wracając z podróży, którą musiał odbyć w sprawach handlowych, wpadł niedaleko miasta w ręce rozbójników, którzy go zrabowawszy, zabili, a ciało ukryli w krzakach. Małgorzata zaniepokojona, iż go tak długo nie było widać, wyszła za miasto, by zobaczyć, czy nie wraca. Na gościńcu wypadł nagle na nią pies jego, a wyjąc żałośnie, ciągnął ją za suknię i pobiegł do poblizkiego lasku. Małgorzata idąc za nim, doszła do stosu gałęzi jodłowych, w których pies zaczął grzebać, skomląc złowrogo. Usunęła gałęzie na bok, i — oczom jej przedstawił się straszny widok! Pod krzakami leżał zabity ten, co go namiętnie kochała; robactwo obsiadło już ciało jego i wgryzało się w straszliwe, głębokie rany, pokryte czarną, skrzepłą krwią, a powie-

trze było zarażone cuchnącą, odurzającą wonią, poczynającej się już zgnilizny!

Okropny to widok, stokroć okropny dla Małgorzaty — strach, przerażenie i rozpacz sroga miotały sercem grzesznicy. W niemej boleści wpatrywała się długo w trupa; wtem promień łaski Bożej wpadł w smutną pomrokę jej duszy i westchnęła:

— Ach! jakże strasznie kończy się szał przyjemności doczesnych!

Przypatrz się Małgorzato — oto człowiek, w którym szczęście swoje pokładałaś; kochajże teraz, jeżeli możesz, tego gnijącego, rozkładającego się już trupa — dla miłości którego wzgardziłaś Bogiem i Ojcem swym! Gdzież jest teraz dusza jego, która ciebie, grzeszną istotę, więcej umiłowała niż Boga! Dlaczego nie pokutuję razem z nim w tym samym ogniu! O Ojcze miłosierdzia! zrozumiałam głos łaski Twojej; chcesz mi dać czas do pokuty i — będę pokutowała!

Natychmiast rozdarowała stroje swe i kosztowności ubogim, opuściła miasto, padła ojcu do nóg i prosiła go o przebaczenie. Serce ojcowskie wzruszyło się litością, lecz macocha na widok jej wpadła w straszną furyę i dręczyła ją zapamiętale.

Małgorzata znosiła wszystkie te udręczenia łagodnie i cierpliwie i tak dalece żałowała gorzko za grzechy, że chcąc choć w części odpokutować za zgorszenie, jakie sprawiła

postępowaniem swojem w stronach rodzinnych, uklękła raz w niedzielę z powrozem na szyi przed kościołem i prosiła przechodniów o przebaczenie. Postępek ten doprowadził macochę do szalonej złości, i tegoż samego dnia wieczór, wypędził ojciec córkę razem z dziecięciem jej z domu.

Małgorzata spędziła noc w ogrodzie — była to straszna noc! Zły duch szeptał jej:

— I cóż ci przyszło z pokuty? Nic. Czy ojciec cieszył się z twojej poprawy? Nie. Czy Pan Bóg troszczył się o ciebie? Nie. Bóg cię opuścił, ludzie odepchnęli, jesteś skazana na śmierć głodową: Pomóż sobie sama, jesteś jeszcze młoda, piękna — w Montepulziano masz jeszcze wielbicieli, którzy cię nie opuszczą i będą starać się o twe utrzymanie.

Lecz Małgorzata wzdychała nieustannie:

— O Jezu, zmiłuj się nademną! A głos jakiś, który ją cudowną otuchą napełnił, powiedział jej:

— Idź do Kortony i wstąp do trzeciego zakonu św. Franciszka. Ja będę z tobą.

Natychmiast udała się tamże, znalazła gościnę u dwóch pobożnych pań i pełniąc najniższe posługi służebne, zarabiała na życie dla siebie i dziecka. Po ciężkiej, całodziennej pracy, biczowała się wieczorem, przepędzała całą noc na modlitwie, spała rzadko kiedy i to zawsze na gołej ziemi, tarła sobie twarz (bo była jeszcze bardzo piękna)

żwirem, włosy walała sadzą, mięsa ani ryb nie jadała, nieco chleba i trochę jarzyny było jej pożywieniem. Nad oczami swemi i językiem czuwała bardzo surowo, modliła się zawsze pracując, a zwłaszcza żarliwie rozważała mękę Jezusową.

Dopiero po trzech latach przywdziała suknię zakonną, a zarazem dostąpiła łask nadzwyczajnych. Ciągła obawa potępienia wiecznego ustała, łaska Boża przeniknęła jako promień słoneczny głębie jej duszy, tak, iż mogła uczynić dokładną spowiedź z całego życia, na którą poświęciła ośm dni, płacząc krwawemi łzami.

Jezus, Marya, Anioł-Stróż ukazywali się jej często i pocieszali ją; ale też i pokusy djabelskie powracały z nową mocą. Teraz kusił ją zły duch w inny sposób, a mianowicie starał się wbić ją w grzeszną pychę i zarozumiałość.

— Grzechy twoje — rzekł — są ci odpuszczone od dawna, przestań pokutować tak surowo, byś mogła żyć dłużej, służyć Bogu i cnotami swemi bliźnich do pobożności zachęcić; teraz już oczy wszystkich są na ciebie zwrócone.

Małgorzata otwierała wtedy okno swej izdebki i wołała jak tylko mogła najgłośniej:

— Mieszkańcy Kortony! wypędźcie mnie z waszego miasta, jestem najbezwstydniejszą grzesznicą, najbezecniejszą kobietą — tysiące

zgorszyłam i uwiodłam do grzechu rozpustnem mojem życiem! wstyd i hańbę sprowadzam na moją rodzinę — zmusiłam ojca, iż mnie z domu wypędził!...

Tak niezwykła pokora zwyciężyła zupełnie szatana; tłumy ludzi słyszały te upokarzające oskarżenia samej siebie i płakały z niewymownego wzruszenia; lecz żarliwa ta pokutnica nie poprzestała na tem, udała się pewnej niedzieli za zezwoleniem swego spowiednika do Luviano, wioski swej rodzinnej, i po nabożeństwie — z powrozem na szyi — prosiła wszystkich o przebaczenie za zgorszenie, jakie im sobą sprawiła.

Pewna bogata pani nazwiskiem Manantessa, tak była wzruszona owem upokorzeniem, że cały swój majątek obróciła na założenie klasztoru, a sama wstąpiła do ostrego, pokutniczego zakonu.

W Kortonie czyniła Małgorzata wiele dobrego, pielęgnując chorych, modląc się za wszystkie stany i wywierając cudowny wpływ na serca i sumienia ludzi z blizka i z daleka, którzy — księża i świeccy, mężczyźni i kobiety, szlachta i mieszczanie — przychodzili do niej licznie po radę, naukę i pociechę. Bogu tylko wiadomo, jakiem błogosławieństwem święta ta pokutnica była dla Kortony i dalszej okolicy.

Zły duch usiłował przypuścić ostatni atak do niej, zaślepiwszy tak dalece ludzi, iż ci

niezwykłą tę pokutnicę jako obłudną świętoszkę okrzyczeli. Nawet ubodzy i chorzy, którym z prawdziwem chrześcijańskiem zaparciem się siebie samej i z pobudek najczystszej miłości bliźniego, świadczyła niezmiernie wiele dobrego, co więcej — własny jej spowiednik — obwiniali ją o grzeszne udawanie cnót, których, według nich, miała wcale nie posiadać, i wyrządzali jej największe przykrości. Lecz i przez tę ogniową próbę przeszła szczęśliwie Małgorzata za pomocą tych trzech niezawodnych środków: pokory, modlitwy i dziecięcej ufności w Jezusa Ukrzyżowanego i Matkę Bożą.

Nareszcie po dwudziesto-czteroletniem pokutowaniu, objawił jej Pan Bóg dzień rozstania się z tym światem. Bardzo bolesną była ostatnia jej choroba, ale tem żywszem pragnienie oglądania Boga — czego też dostąpiła w dniu 22 Lutego 1297 roku.

Grób jej zasłynął cudami, a ciało wydobyte w 400 lat po jej śmierci, nie miało na sobie najmniejszego śladu zgnilizny i jaśniało niezwykłą pięknością.

Papież Leon X dozwolił w r. 1518 miastu Kortonie obchodzić święto jej uroczyście — a Benedykt XIII policzył ją w poczet Świętych 1728 roku.

Niemoc szatana, a moc Chrystusa.

Małgorzata, panna i męczennica, była jedyną córką pewnego kapłana pogańskiego w Antyochii w dawnej Pizydyi. Po wczesnej śmierci matki dano ją piastunce na wieś na wychowanie, która potajemnie wychowała ją w wierze chrześcijańskiej. Obdarzona od Boga hojnie najpiękniejszymi darami serca i umysłu, pod troskliwą opieką pobożnej tej kobiety, która ją zawczasu zaprawiała do gorącej miłości Boga i dziewiczej skromności, rozwijała się Małgorzata jako cudny, pełen nadziemskiej piękności kwiat.

Ojciec zabrał ją do domu i cieszył się niewymownie jej pięknością i dobrocią. To go tylko dziwiło i niepokoiło, że nigdy nie chodziła do świątyni, nie brała udziału w ofiarach i że ani słówkiem nie wspomniała nigdy o bogach. Po niejakim czasie zauważył, iż Małgorzata wychodzi w nocy na tajemne zgromadzenia chrześcijan. Wtedy z żalem i złością wyrzekł:

— Może ty sprzyjasz Ukrzyżowanemu?

Śmiało i łagodnie odpowiedziała Małgorzata:

— Tak jest — znam Jezusa Chrystusa i miłuję go z całego serca.

Ojciec zaklinał ją na bogi, na godność kapłańskiego swego urzędu, by się wyrzekła »tej głupoty«; lecz ona na to wszystko odpowiedziała z rozczulającą tkliwością:

— Ach! drogi ojcze — gdybyś to i ty mógł dostąpić tego nadzwyczajnego szczęścia poznania i uwielbiania prawdziwego, jedynego Boga!

Ojciec użył więc surowości: łajał, groził, a nawet srogo się z nią obchodził — lecz napróżno; wypędził ją wreszcie z domu na wieś, by tam ciężko pracując jako niewolnica, opamiętała się i żałowała swego uporu. Małgorzata cieszyła się z tego poniżenia dla miłości Chrystusa i była szczęśliwa i dobrej myśli w lichej odzieży przy nędznem pożywieniu i ciężkiej pracy.

Widząc, iż córka nie myśli wracać dobrowolnie, zawezwał ją ojciec do domu i znów używał to groźby, to prośby na przemian.

Małgorzata odpowiedziała z całem uszanowaniem:

— Nigdy nie wyrzeknę się Boga mego; gotowa jestem krew moją wylać za Jezusa, jako i On drogą swą krew za mnie wylał!

Nie posiadając się ze złości, pobiegł ojciec co tchu do prefekta Olybriusa, i oskarżył ją, że jest chrześcijanką. Olybrius oczarowany pięknością Małgorzaty, próbował ująć ją pochlebstwem:

— Jakże mi żal — przemówił — iż uległaś tak smutnemu obłędowi; nie bądźże tak niewdzięczną względem bogów, którzy cię tylu powabami i wdziękami ozdobili — miłość moja zapewni ci szczęście; bądź roz-

sądną, wysokie odznaczenie lub haniebna śmierć w twojem jest ręku!

Dziewica odpowiedziała:

— Jestem już oblubienicą Jezusa, nigdy nie porzucę nieba dla garstki prochu ziemnego!

Rozgniewany tą odmową, kazał prefekt wziąć ją na tortury, bić ja rózgami, ciało jej rwać żelaznemi grzebieniami na kawały, tak iż nawet lud zaczął głośno szemrać na to okrucieństwo — a nasyciwszy się krwawym tym widokiem, kazał wreszcie świętą tę męczennicę odprowadzić do więzienia.

Wśród ciemności więziennych dziękowała Małgorzata Bogu z głębi serca za zaszczyt męczeństwa i za zaszczyt stałości we wierze. Wtem zbliżył się do niej duszny nieprzyjaciel; ukazał się jej kusiciel pod straszną postacią smoka ognistego, który sycząc, rzucił się na nią, jak gdyby ją chciał pożreć. Lecz chrześcijańska ta bohaterka spojrzała nań z uśmiechem, zrobiła znak krzyża św. i wymawiając te słowa Psalmisty: *„Po żmijach i padalcach deptać będziesz“*, postawiła śmiało stopę swoją na karku tego potworu. Ten skowycząc z bólu, wił się i kurczył po ziemi — a wreszcie przepadł. Poczem cudowna jasność oświetliła więzienie; serce Małgorzaty napełniła niebiańska otucha — rany jej zagoiły się same, a ona nucąc radosne pieśni, wielbiła przez całą noc Boga i Oblubieńca swego.

Gdy Olybrius dowiedział się nazajutrz, że męczennica żyje jeszcze, a nawet śpiewa — kazał ją stawić przed siebie. Ale jakże się zdumiał prefekt i wszyscy obecni, gdy Małgorzata w kwitnącem zdrowiu, a nawet jeszcze piękniejsza niż była, z obliczem radością jaśniejącem, ukazała się przed zgromadzeniem sędziów.

Olybrius, zapłonąwszy ku niej znów zmysłową miłością, zawołał:

— Zaiste, jesteś ulubienicą bogów! uleczyli cię cudownie i chcą, byś jako córka kapłana ich, nie umarła tak wcześnie; bądźże im wdzięczną za to i uznaj moc ich!

Ze szlachetnem oburzeniem odpowiedziała Małgorzata:

— Nie! — nieprawdą jest to, co powiadasz; martwe twe bożki nie mają żadnej władzy ni mocy; tylko Jezus Chrystus ma moc leczyć ciało z ran a duszę z grzechów, oraz pokrzepiać wyznawców swych. Chwała Mu i dziękczynienie po wszystkie wieki!

Uszy Olybriusza nie mogły znieść mowy takiej — kazał przeto położyć pannę tę na płyty żelazne, rozżarzone do czerwoności i naigrawał się z niej, szydząc:

— Radujże się teraz w Chrystusie swoim, dla którego jesteś tak wierną oblubienicą — powiedz Mu, by ci dopomógł, jeżeli może, i wybawił cię z tego ognia; może też przecie będzież temu rada, je-

żeli będę na cię łaskawszym, niż twój ukochany.

Małgorzata odpowiedziała z niebiańskim spokojem:

— Tak jest, masz słuszność — szydź sobie z krótkiej tej męki mojej ogniowej; ale nie zapominaj przytem o ogniu piekielnym, płonącym wiecznie — żar ten nie dochodzi do duszy mojej, pali on tylko ciało moje, i — przez chwilkę tylko; żar zaś piekielny palić będzie ciało i duszę twą wiecznie — bez końca!

Olybriusz, chcąc się zemścić na Małgorzacie za te surowe słowa, kazał ją wrzucić szybko do zimnej wody, by straszne te boleści spotęgować do najwyższego stopnia.

W tejże samej chwili zadrżała ziemia — z rąk jej i nóg opadły kajdany, i jak gdyby się na nowo na świat narodziła, powstała z tej bolesnej kąpieli; na ciele jej nie było najmniejszego śladu oparzenia, a z nieba dał się słyszeć głos:

— Pójdź oblubienico Chrystusowa, przyjm tę koronę, którą ci Pan na wieki zgotował!

Wielu obecnych, porwanych tym cudem, oświadczyło odważnie, że i oni wierzą w tego potężnego i dobrego Boga, którego wyznaje bohaterska ta dziewica, i że gotowi są umrzeć za Niego, tak jak Małgorzata.

Prefekt, straciwszy zupełnie głowę wobec tego zdarzenia, uciekł się do okrutnego, bar-

barzyńskiego środka i kazał Małgorzatę ściąć natychmiast.

Z obliczem jaśniejącem nadziemską radością, uklękła męczennica, dziękowała Bogu za wszystkie łaski, modliła się za cały Kościół katolicki, za kraj swój rodzinny, za swego sędziego i prześladowcę i skłoniła głowę, by odebrać cios śmiertelny. Działo się to w roku 275.

Ciało jej pochowali chrześcijanie z największą czcią, a nad grobem jej wzniesiono piękny kościół.

Bogi pogańskie — szatany.

Jako niegdyś rycerz Jerzy w cesarskich legionach wybitne stanowisko zajmował, tak też i teraz cały świat chrześcijański czci go pośród zastępów Świętych Pańskich jako jednego z najsłynniejszych męczenników. Na Wschodzie i Zachodzie wznoszą się kościoły i klasztory pod jego wezwaniem, stoją posągi jego i liczne istnieją zakony i stowarzyszenia religijne pod jego opieką. Anglia święciła dzień jego jako uroczyste święto; rzeczpospolita wenecka obrała go sobie za św. Patrona; Rosya wyobrażenie jego umieściła na herbie państwa; rycerstwo średniowieczne czciło go jako swego św. Patrona i przysięgi swe popierało wezwaniem świętego Jerzego — a w Bawaryi stoi zakon ustano-

wiony w celu bronienia Niepokalanego Poczęcia Maryi pod jego opieką. Najdawniejsze podanie opowiada o nim co następuje:

Dyoklecyan, cesarz rzymski i sławny prześladowca chrześcijan, starał się usilnie Jerzego, który w wojsku cesarskiem wysokie zajmował stanowisko, do odstępstwa skłonić; kazał go przyprowadzić przed siebie, przemawiał do niego serdecznie i po przyjacielsku, przyobiecał mu, że go przyjmie za syna i podzieli się z nim rządami, jeżeli tylko odda cześć potężnym bogom cesarstwa.

Jerzy odpowiedział:

— A zatem chodźmy do świątyni i zobaczmy, czy bogi twoje przyjmą odemnie ofiarę.

Cesarz ucieszony tem niewymownie, poszedł z nim, z całym swym dworem i tłumem ludu do świątyni. Jerzy zapytał się posągu Apollina:

— Czy chcesz jako bóg przyjąć odemnie ofiarę, która się tylko Bogu prawdziwemu należy? I uczynił znak krzyża św.

Wtedy z posądu tego wrzasnął zły duch strasznym głosem:

— Nie, nie! — nie chcę od ciebie ofiary, ponieważ nie jestem Bogiem, lecz aniołem strąconym z nieba!

Jerzy mówił dalej:

— Jak śmiesz tu przebywać tak bezczelnie, skoro ja tu jestem, sługa Boga prawdziwego?

Natychmiast usłyszano, jak zły duch wyjąc strasznie uciekał — obrazy i posągi fałszywych bogów spadały same z ołtarzy i rozpadały się w tysiące kawałków.

Na ten widok opanował kapłanów pogańskich szalony gniew — wyjąc i wrzeszcząc, bili Jerzego i żądali od cesarza, by kazał stracić tego niebezpiecznego czarownika.

Dyoklecyan, zgrzytając zębami, zawołał rozgniewany:

— Nędzniku! tak to odpłacasz mi się za moją dobroć i łaskawość!

— Cesarzu — odpowie na to Jerzy spokojnie; nie uczyniłem ci nic złego: bogowie twoi nie chcieli przyjąć odemnie ofiary, a nawet wyznali publicznie, iż nie są bogami lecz złymi duchami — a zatem wyrzecz się ich i pogardź nimi.

W tej stanowczej chwili ośmieliła się cesarzowa Aleksandra, która potajemnie wyznawała wiarę chrześcijańską, prosić cesarza, by raz już przestał oddawać cześć złym duchom i prześladować świętych wyznawców Boga prawdziwego.

Odkrycia tego, że i małżonka jego jest także chrześcijanką, nie mógł już znieść zakamieniały ten tyran, rozkazał więc, by ścięto natychmiast oboje: Aleksandrę i Jerzego. Chwaląc i wielbiąc Boga, oddali oboje z radością głowy swe pod miecz katowski dnia 23 kwietnia 303 roku.

Świętego Jerzego przedstawiają zwykle jako rycerza w zbroi — czasami na koniu — z pokonanym smokiem u stóp. Jestto symbol męstwa chrześcijańskiego, które w pancerzu sprawiedliwości, z tarczą wiary, w szyszaku błogosławieństwa Bożego i z mieczem ducha, zwycięża i depce na miazgę smoka piekielnego, ojca kłamstwa, niewiary, błędu — książęcia tego świata i *mordercę ludzi od początku* — a za to od Jezusa Chrystusa otrzymał zwycięską koronę wiecznej chwały i tron, z którego niegdyś dumni aniołowie strąceni zostali w otchłanie piekielne.

Człowiek ma duszę nieśmiertelną.

Oprócz Aniołów stworzył P. Bóg człowieka t. j. istotę rozumną, składającą się z ciała i duszy nieśmiertelnej, która jest obrazem Stwórcy swego.

Święty Augustyn i Ewodyusz.

Święty Augustyn, aby przekonać swego przyjaciela Ewodyusza, że dusza może myśleć i widzieć bez ciała, opowiedział mu następujące zdarzenie:

„Znasz kochanego naszego brata Gennadyusza, sławnego lekarza, który teraz mieszka w Kartaginie; jestto człowiek bogobojny i miłosierny dla ubogich. Od młodości posiadał tę gorącą miłość ku nim, a jednak powątpiewał wtedy o nieśmiertelności duszy. Ale Bóg nie mógł długo pozostawiać w błędzie człowieka, którego serce było tak czułe na nędzę nieszczęśliwych i tak gorliwe w uczynkach miłosierdzia. Raz przeto w nocy ujrzał we śnie młodego człowieka rzadkiej piękności, który doń rzekł:

— Pójdź za mną.

Gennadyusz udał się za nim i wszedł do miasta, gdzie usłyszał z prawej strony muzykę, pełną słodyczy i harmonii, przewyższającej wszystko, cokolwiek kiedy słyszał. — Ponieważ nie mógł pojąć, coby to było, młody jego towarzysz rzekł:

— To są pienia błogosławionych mieszkańców Jerozolimy niebieskiej.

Gennadyusz po tych słowach przebudził się. Sen zniknął, a on nie przywiązywał doń większej wagi, jak do zwyczajnego snu. Następnej nocy pokazał mu się ten sam młody człowiek i zapytał uprzejmie, czy go poznaje.

— Doskonale poznaję, odpowiedział Gennadyusz.

— A gdzieżeś mnie widział? — zapytał młodzieniec.

Gennadyusz, mając jeszcze w pamięci prześliczną harmonię, którą słyszał w miejscu, dokąd go ów młodzieniec zaprowadził, odpowiedział bez trudności na zapytanie.

— Ale powiedz mi, czyś to słyszał i widział we śnie, czy na jawie? — zagadnął nieznany młodzieniec.

— We śnie, odrzekł Gennadyusz.

— Prawda, żeś tamto we śnie widział; ale to, co teraz widzisz, czy także jest we śnie?

— Tak jest, odparł Gennadyusz.

— A gdzież jest teraz twoje ciało? zapytał młodzieniec.

— W łóżku mojem, odparł Gennadyusz.

— A wiesz o tem, dodał młody człowiek, że oczy twoje cielesne są teraz zamknięte i nieruchome, i że widzisz bez ich pomocy?

— Wiem o tem, rzecze Gennadyusz.

— Jakiemiż więc oczyma mnie widzisz?

Gdy Gennadyusz zamyślił się i nie wiedział co odpowiedzieć, młody ów nieznajomy wytłumaczył mu, dlaczego zadawał te wszystkie pytania, mówiąc:

— Przekonałeś się więc, że kiedy oczy twego ciała są zamknięte i nieczynne, wówczas, gdy na łożu spoczywasz i śpisz, masz inne, któremi patrzysz i widzisz wszystko, co ci się przedstawia w tej chwili. Otóż, gdy umrzesz, chociaż oczy twoje cielesne nie będą mogły być czynnemi, będziesz żył i będziesz mógł widzieć i czuć innym sposobem. (Vie de S. Aug. p. 294).

Św. Kwiryn, Męczennik.

Kwiryn, szlachetnie urodzony Rzymianin, piastował urząd trybuna wojskowego i miał najwyższy dozór nad więzieniami publicznemi.

Pewnego dnia oddano mu pod dozór Hermesa, prefekta Rzymu, który oskarżony został o to, że jest wyznawcą Chrystusa. Kwiryn zasmucony, że tak zacnego i powszechnie

szanowanego męża musi wtrącić do więzienia, zapytał go z współczuciem:

— Zkąd to pochodzi, że ty, tak zacny i powszechnie szanowany prefekt Rzymu, możesz taką religię tak wysoko cenić, iż dla niej dajesz się nietylko z tak wysokiego urzędu składać, ale nawet jako zbrodniarz w kajdany okuć?

— Ja — rzekł Hermes uprzejmie, nie straciłem mej godności, lecz ją tylko na inną, wyższą zamieniłem; ziemską godność można zmienić i zamienić, ale niebieska godność wiecznie zostaje niezmienna.

Kwiryn zaś odparł:

— Nie pojmuję, jakim sposobem ty, człowiek tak wysoko wykształcony, mógłeś tak głupim się stać, abyś uwierzył, że po tem doczesnem życiu możesz się innego spodziewać; wszak z całego człowieka nie zostanie w końcu nic, prócz garstki popiołu, który także zaginie.

— Przed kilku laty, wyznał Hermes, i ja wyśmiewałem to przekonanie i sądziłem, że to cielesne życie jest istotnie jedynem i prawdziwem życiem człowieka.

— Czy możesz mi dowieść, przerwał z ciekawością Kwiryn, że dla człowieka jest wieczne życie? Jeśli mi dowiedziesz, to i ja uwierzę.

— Św. Papież Aleksander, odrzekł Hermes, który jest obecnie w więzieniu, pouczył mnie

o tem; on ci chętnie udzieli wszelkich dowodów.

Skoro Kwiryn posłyszał imię Aleksandra, zapalił się gniewem, bo go uważał za niebezpiecznego czarnoksiężnika, który ludzi uwodzi i psuje. W końcu rzekł:

— A zatem, zacny Hermesie, namyśl się dobrze, pozostań przy twym urzędzie i majątku i wróć do twej zasmuconej rodziny. Aureliusz, namiestnik cesarza upoważnił mnie, abym ci wszystko bez wyjątku oddał napowrót, byleś tylko bogom ofiarę złożył; jeśli nie, to twoi wrogowie będą nad tobą tryumfowali.

Jakby go te słowa nic nie obchodziły, rzekł Hermes:

— Mój drogi, pytałeś mnie, jakim sposobem przyszedłem do innego przekonania — teraz zaś nie dasz mi nawet dokończyć; idź do Aleksandra i przekonaj się, czy on jest kapłanem prawdziwego Boga; potem możesz czynić, co ci się podoba — a mnie naznacz tymczasem celę więzienną.

Kwiryn miał dorosłą córkę Balbinę, która była bardzo piękną na twarzy, ale na szyi miała szkaradną narość, która jej utrudniała zamążpójście. Miłość ojcowska ku dziecku podała mu myśl następującą: Jeśli Aleksander zdoła uleczyć mą córkę, to jest kapłanem prawdziwego Boga — a wtenczas chętnie go słuchać będę.

Poszedł tedy do więzienia i objawił swą myśl Aleksandrowi. Aleksander kazał mu przyprowadzić córkę i włożył na jej szyję swoje kajdany. Skoro to uczynił, aliści Anioł w postaci młodzieńca oświecił gorejącą pochodnią całe więzienie, zachęcił Balbinę do zachowania dziewictwa i znikł; Balbina uczuła się zupełnie uleczoną. Kwiryn, zdumieniem i radością przepełniony, zawołał:

— O kapłanie Boga prawdziwego! wynijdź czemprędzej z tego więzienia, aby mnie nędznika ogień z nieba nie pożarł, żem cię w tak ciężkie okuł kajdany.

Aleksander pouczył ochotnego Kwiryna i jego córkę o chrześcijańskiej wierze, ochrzcił oboje i prosił uszczęśliwionego ojca o pozwolenie, aby mógł i innym więźniom głosić wiarę w Chrystusa. Kwiryn nietylko na to pozwolił, ale sam chodził od celi do celi i wołał:

— Kto chce zostać chrześcijaninem, niech idzie ze mną; kto otrzyma chrzest święty, będzie wolny i może iść, dokąd chce.

Wszyscy poszli za tem wezwaniem, wszyscy słuchali nauki Papieża, wszyscy uwierzyli, wszyscy dali się ochrzcić, a całe więzienie zamieniło się w dom Boży, w którym brzmiała chwała Jezusa Chrystusa.

Aureliusz usłyszawszy o tem, co zaszło, wezwał Kwiryna i krzyknął:

— Nędzniku! ja cię kochałem jak syna,

a tyś niegodziwie nadużył mego zaufania, dając się uwieść Aleksandrowi! Odpokutujesz ty za to.

— Zostałem chrześcijaninem, — odrzekł uprzejmie Kwiryn, i chętnie wszystkim więźniom pozwoliłem zostać chrześcijanami — otworzyłem wszystkim drzwi więzienia, nawet Papieża Aleksandra i zacnego Hermesa prosiłem, aby wyszli z więzienia; ale wszyscy zostali w więzieniu, gotowi umrzeć za swą wiarę i życie swe oddać za Chrystusa; a teraz czyń, co ci się podoba.

Aureliusz rozkazał odważnemu wyznawcy język uciąć i członki jego srodze na torturach wyciągać. Ale Kwiryn, choć pozbawiony języka, błagał jednak namiestnika najgoręcej:

— O nieszczęsny! ratuj przecież twą duszę nieśmiertelną, abyś za twoją złość nie musiał wiecznych mąk cierpieć!

Aureliusz odpłacił mu się za tę życzliwość tem, że mu powoli ręce i nogi, następnie głowę uciąć kazał, a poucinane członki psom porzucić; ale psy zawstydziły namiestnika cesarskiego swoją czcią dla krwi i członków świętego męczennika.

Pociecha nad grobem.

Święty Hieronim napisał następujący list do św. Pauli, po stracie jej córki Blezylli:

„Co czynię? Mam otrzeć łzy matki, a sam płaczę? Wyznaję moje zmartwienie — cały ten list łzami będzie pisany. Wszak i Jezus płakał nad grobem Łazarza, bo go miłował. Nie wielki to pocieszyciel, który własnych łez pohamować nie umie. Wzywam na świadka Jezusa, w którego towarzystwie Blezylla teraz zostaje — wzywam na świadków Aniołów, których towarzystwem Blezylla teraz się cieszy, że ja te same boleści cierpię co ty, ja jej ojciec duchowny i nauczyciel.

„Ale czemuż my właściwie opłakujemy umarłego? Wszakżeśmy się nie na to urodzili, aby żyć wiecznie na ziemi. Abraham, Mojżesz, Piotr, Jan, Paweł, a nawet Syn Boży umiera — a my znieść nie możemy, jeśli kto z ciała wychodzi, który może właśnie dlatego wzięty został, *aby złość nie odmieniła umysłu jego, albo obłudność aby nie oszukała duszy jego. Podobała się bowiem Bogu dusza jego; dlatego pokwapił się wywieść go z pośród nieprawości*, aby dłużej żyjąc nie poszedł na bezdroża. (Mądr. 4, 11, 10).“

„Tylko tego umarłego opłakiwaćby trzeba, którego piekło przyjmuje, dla którego wieczny ogień się pali. My, co nam przy śmierci orszak Aniołów towarzyszy, którym Chrystus wychodzi naprzeciw, my powinnibyśmy raczej się smucić, że musimy jeszcze dłużej mieszkać w tym śmiertelnym namiocie, gdyż

jak długo żyjemy, zdala od Pana pielgrzymujemy. Tak jęczeć byśmy powinni: *Ach mnie, że się mieszkanie moje przedłużyło! mieszkałem z obywatelami Cedar, długo przebywała dusza moja* (Ps. 119). Jeśli Cedar znaczy tyle co ciemność, a świat ciemnością jest, bo w nim mieszka światło, a ciemności go nie pojmują: to winszujemy Blezylli, że z ciemności wyszła do światłości i w pierwszej gorącości wiary otrzymała koronę chwały.

„Gdyby ją była śmierć pierwej zabrała, kiedy się jeszcze kochała w świecie i o rozkoszach życia myślała, wtedyby całe strumienie łez nie były wystarczyły, by ją opłakać. Ale teraz, skoro z miłosierdzia Chrystusa przed czterema miesiącami przez śluby jakby przez drugi chrzest została obmyta i tak żyła, że pogardziwszy światem, tylko o klasztorze myślała, czy się nie boisz, żeby cię Chrystus nie zganił: Paulo, ty się gniewasz, że twoja córka stała się moją córką? oburzasz się na moją łaskę i ranisz me serce twemi łzami, iż ją teraz posiadam? Wszak wiesz, jak ciebie i dzieci twoje kocham! Ty pościsz nie z miłości ku postom, lecz ze zgryzoty; ale ja takiego postu nie lubię. Takich męczenników niech sobie ma głupia mądrość świata; mój duch spoczywa tylko na pokornych i cichych, którzy z uszanowaniem drżą na moje słowa.

„Jeśli wierzysz rzeczywiście, że córka twa

żyje, toć się nie martw, że przeszła do lepszego życia. Ta jest moja wola, którą i przez mego Apostoła wyraziłem, abyście się nie smucili po umarłych, jako poganie."

Mojżesz Mendelsohn.

Ten nowożytny pisarz żydowski powiada w swojem dziele pod tytułem „Fedon:"

„Jeśli dusza nasza jest śmiertelna, tośmy jak bydło na to postawieni na ziemi, aby szukać pożywienia i umrzeć; wtenczas państwo złożone z istot wolnych i myślących nie jest niczem innem, jak trzodą nierozumnego bydła, a człowiek — wzdrygam się tak podle o nim myśleć — pozbawiony nadziei nieśmiertelności, to cudowne stworzenie jest najnędzniejszem stworzeniem na ziemi, które na swoje nieszczęście o swoim stanie rozmyślać, śmierci się bać i rozpaczać musi."

„Jakże zawstydzającemi są te słowa dla niektórych chrześcijan, którzy sobie tyle pracy zadają, aby siebie i drugich przekonać, że są najnędzniejszem i najpodlejszem zwierzęciem, a swoje pochodzenie od małpy wywodzą — chociażby się z pewnością strasznie pogniewali, gdyby ich kto „małpami" chciał nazwać! (Deharbe).

Grzech pierworodny.

Kapłan i filozof.

Pewien tak zwany wolnodumca jechał koleją z jakimś nieznanym sobie kapłanem w jednym wagonie. Jak to bywa, bez grzeczności i uszanowania, choć był o wiele młodszy od kapłana, zaczął nasz młody filozof wygadywać to na Kościół, to na księży, na posty, na ceremonie kościelne — nie dając księdzu ani przyjść do słowa; ale wszystkie zarzuty, jakie tylko gdzie słyszał lub czytał, recytował i sądził, że tym sposobem wyjdzie zwycięsko. Kapłan widząc, z kim ma do czynienia, nic nie mówił, aż się filozof wyczerpnął zupełnie i wreszcie z tryumfującą miną rzekł:

— A co, księże dobrodzieju?

— Widzę, rzekł ksiądz, żeś pan bardzo uczony. Gdzieżeś się pan uczył teologii?

— Ja?! teologii się nie uczyłem.

— A ja się uczyłem i jeszcze się wciąż uczę, rzekł kapłan. Przyznasz więc pan, że ten, co się czegoś uczy, musi tę rzecz lepiej rozumieć niż ten, co się jej nie uczy. Naprzykład ja, nie uczyłem się szermierki i nie potrafiłbym robić bronią; musiałbym się jej

nauczyć od fechtmistrza. Otóż i pan — nie uczywszy się teologii, powinienbyś się jej uczyć od teologów.

— Ale mam przecież teraz rozum; dopóki byłem chłopcem, uczyłem się katechizmu i wierzyłem w to, czego księża nauczali; dziś gdym dorósł i myślę o tych naukach, zdają mi się niedorzeczne!

— Naprzykład? gdzież pan spostrzegłeś niedorzeczność?

— Naprzykład... dajmy na to... Cóż? Ot, naprzykład cała nauka o grzechu pierworodnym jest sprzeczną z rozumem. Wszak Bóg — mówił dalej — jest sprawiedliwy; jakże mógł za grzech Adama tak okropnie ukarać tych, którzy sami nie zgrzeszyli?

— Pozwól pan, że mu wyłożę naukę o grzechu pierworodnym, a obaczysz, że nauka ta nie sprzeciwia się Boskiej sprawiedliwości. Najlepiej objaśnię to panu na przykładzie:

Był sobie prosty wieśniak, mający żonę i kilkoro dzieci. Król nadał mu z łaski szlachectwo, darował mu ogromny majątek ziemski i rzekł:

— Nadaję ci tytuł hrabiego i czynię cię właścicielem tych dóbr; synowie twoi będą również hrabiami i po tobie odziedziczą te dobra. Ale musisz mnie słuchać — jeśli się dowiem, żeś mi się sprzeniewierzył, to i ty,

i twoi synowie stracicie mą łaskę, tytuł hrabiowski i wszystkie posiadłości.

Ale cóż się dzieje? Oto hrabia ów stał się winnym zdrady stanu, złączył się z wrogami króla i podniósł rokosz. Król oburzony tą niewdzięcznością, odebrał mu tytuł hrabiego i ogromne owe posiadłości — ale nie chcąc go zgubić, darował mu życie i zostawił mu ten kawał ziemi i ubogą chatę, którą jako wieśniak posiadał. Wrócił więc wraz z żoną i dziećmi do dawnego stanu.

— Powiedz pan, czy ów król nie postąpił sprawiedliwie? Czy synowie owego wieśniaka mogą się uskarżać na króla? Jako dzieci niewdzięcznego rokoszanina, powinni byli czuć się aż nadto szczęśliwymi, że mogli wejść w posiadanie owego kawałka ziemi i owej ubogiej chaty, i w pocie czoła zarabiać na chleb. Nieprawdaż? Otoż tak samo rzecz się ma z grzechem pierworodnym.

— Rozumiem, odrzekł młody uczony, że pierwsi rodzice zostali sprawiedliwie ukarani — ale cóż my, ich potomkowie winni, że nas tak Pan Bóg ukarał? Aby człowiek mógł zasłużyć na karę, powinien z własnej woli popełnić występek — a my go nie popełnili z własnej woli, bo nas jeszcze nie było.

— Mówisz pan o karze. Pan Bóg nas nie ukarał, lecz nie dał nam tego, co się nam

nie należało. Adam i Ewa posiadali z dobroci i hojności Bożej dary nadprzyrodzone: nieśmiertelność ciała, wolność od boleści i chorób, łaskę poświęcającą, która ich czyniła dziećmi Bożemi i nadawała im prawo do nieba; w końcu daleko wyższą bystrość rozumu i doskonałość woli, skłonniejszą do dobrego jak do złego. Lecz skoro zgrzeszyli, odebrał im Pan Bóg te dary nadprzyrodzone, które im się jako ludziom nie należały, i zostawił ich tylko z darami przyrodzonemi, które im się jako ludziom należały. A nam, ich potomkom, czyż Pan Bóg miał jaki obowiązek dać nieśmiertelność ciała, łaskę poświęcającą, wyższy stopień rozumu, lub doskonalszą wolę? Mamy wszystko, co nam jako ludziom jest potrzebne — czyż nam się dzieje krzywda?

— Z tego wnoszę, że dzieci owe przez grzech rodziców stały się nieszczęśliwemi; ale niktby nie powiedział, że oni zgrzeszyli, i że ten stan nieszczęścia jest ich grzechem własnym; a przecież Kościół uczy, żeśmy wszyscy zgrzeszyli i że ten stan nieszczęścia jest naszym własnym grzechem!

— Dla zrozumienia tego zarzutu, wcale słusznego, musisz pan wiedzieć, za ten wyraz „grzech,“ ma podwójne znaczenie: najprzód nazywamy grzechem uczynek, którym ktoś przekracza wolę Boga — a powtóre grzechem nazywamy ten stan, w który ktoś

przez grzech uczynkowy popada *(peccatum habituale)*. My jesteśmy grzesznikami nie dlatego, żeśmy osobiście popełnili uczynek, którym Adam przekroczył rozkaz Boży, ale wpadamy w ten sam stan, w który popadł Adam przez swój uczynkowy grzech; a tym stanem jest najprzód brak łaski poświęcającej, która nam się należała z pierwotnego rozporządzenia Bożego, a brak ten łaski poświęcającej, jako płynący z grzechu Adama, zowie się grzechem. Z tego się też rozumie, dlaczego dusza ma na sobie plamę, bo łaska poświęcająca jest blaskiem nadprzyrodzonym naszej duszy; a brak tego blasku duszy naszej należnego, jest istną plamą. Gdyby nam się ten blask duszy nie był należał z woli Bożej, nie byłoby mowy o plamie — ale ponieważ się nam należał, więc brak tego blasku jest prawdziwą plamą. Podobnie jak w pięknej sukni, jeśli jej braknie tego blasku jej właściwego od początku, mówimy, że suknia skalana; a nie mówilibyśmy o jej plamie, gdyby tej barwy od początku mieć nie miała.

Powtóre, ten stan, w który Adam przez grzech popadł, pociągnął za sobą w naszych namiętnościach pewien nieporządek, zależący na tem, że już nie czekają na kierownictwo rozumu, jak w stanie nadprzyrodzonym człowieka w łasce poświęcającej, lecz uprzedzają go i dlatego pobudzają znowu

do grzechu uczynkowego. I ten nieporządek takżeśmy odziedziczyli, który nas wciąż do grzechu pobudza, i dla tej ciągłej skłonności do grzechu stan ten pod pewnym względem zowie się grzechem nie jakoby sam był grzechem, lecz że jest z grzechu i nas do grzechu pociąga.

— Teraz, rzekł młody człowiek, pojmuję naukę o grzechu pierworodnym; ale nie mogę pojąć, jak Bóg tak miłosierny mógł za tak małe przestępstwo, jakiem było spożycie owocu zakazanego, tak surowo ukarać pierwszych rodziców?

— Panu się zdaje to przestępstwo małem? Mnie się ono wydaje bardzo wielkiem! Oto pierwsi rodzice pogardzili wolą Boga, choć im tak łatwo było ją wypełnić, a wolę szatana przenieśli nad najłaskawszą wolę Stwórcy swego — a przeto więcej sobie cenili szatana jak Boga; nadto posądzali Pana Boga, od którego wszystko mieli, o najbrzydszą namiętność, to jest zazdrość — jakoby im Pan Bóg zazdrościł szczęścia, które im przyobiecał — a wreszcie oni, słabe stworzenia, chcieli się stać bogami, równymi samemu Bogu! Uwierzyli raczej kłamcy, aniżeli Bogu i za nic Go sobie wobec szatana poczytali. Czyż się to Panu Bogu zdaje małem przestępstwem? A zresztą i ja przyznaję i wierzę w miłosierdzie Boże, i właśnie w postępowaniu Bożem upatrują dowód nieskończone-

go miłosierdzia Jego. Bo jeśliśmy, jak powiedziałem i pan mówiłeś, bez własnej naszej woli w stan niełaski Bożej popadli, to i bez własnej woli i zasługi Bóg nas do swej łaski przyjmuje przez chrzest św. I owszem, jak pięknie mówi św. Paweł: *tam, gdzie obfitowała nieprawość, nadobfitowała łaska* (Rzym. 5, 20). Gdyż aby grzech zgładzić, a nas do wiecznego szczęścia doprowadzić, sam Bóg krew swą aż do ostatniej kropli wylał i życie swe jako dobry pasterz za owieczki położył. Czyż pan nie widzisz w tem niepojętego miłosierdzia Bożego, a nadto mądrości, że z tak wielkiego złego, jakiem jest grzech, tak wielkie umiał wyprowadzić dobro? I dlatego Kościół święty w uznaniu tego miłosierdzia, śpiewa w zachwycie:

„O szczęśliwy grzechu, któryś takiego i tak wielkiego zasłużył mieć Odkupiciela!“

— I to uznaję — lecz czemu Pan Bóg dopuścił, aby pierwsi ludzie zgrzeszyli, a przez to tyle grzechów się popełniało i tyle ludzi ginęło na wieki?

— Bo jak mówi święty Augustyn: Pan Bóg woli dopuścić grzech i przez to swe miłosierdzie objawić, jak grzechu niedopuścić. Bądź pan pewny, że kto będzie potępiony, z własnej woli będzie potępiony — a kto się zbawi, z miłosierdzia Bożego!

Właśnie stanął pociąg na stacyi. Młody nasz filozof pożegnawszy się grzecznie, wy

siadł. Czy skorzystał z tej rozmowy, nie wiemy — ale ty czytelniku miły, nie szperaj ciekawie w Boskich tajemnicach, ale uwielbiaj raczej mądrość i miłosierdzie Boże i zawołaj z Kościołem:

„O szczęśliwy grzechu, któryś takiego i tak wielkiego zasłużył mieć Odkupiciela!“ (Podług Deharba).

Adam i Ewa.

Ubogi wyrobnik, będący wraz z żoną swoją na służbie u bogatego i zacnego pana, musiał gorzko i w pocie czoła pracować na kawałek chleba. Przez cały dzień rąbał drzewo w pobliskim lesie.

Jednego dnia przechadzał się pan ów bogaty po lesie, i przyglądając się pracy wyrobnika spostrzegł, że on przy każdem uderzeniu siekierą głęboko wzdycha i stęka. Przystąpiwszy tedy do niego, zapytał łaskawie:

— Czemuż to tak ciężko wzdychacie — człowieku?

— Ach, panie, rzekł żałośnie wyrobnik — czy pan nie wie? To Adam wszystkiemu winien. Gdyby on nie był zgrzeszył, z pewnością nie rąbałbym tu drzewa i nie musiałbym tak ciężko na życie pracować. Nierazem sobie myślał o tem, i nieraześmy sobie z żoną oboje mówili: Jakże mogli Adam i Ewa tak być nierozsądnymi i tak łatwe

przykazanie Boskie przekroczyć? Ja i żona moja nie bylibyśmy tak głupimi i nie wtrącalibyśmy rodzaju ludzkiego w tak wielką nędzę.

— Czy tak? zapytał dziedzic. Dobrze więc, ty mi służysz już 20 lat wiernie i uczciwie; więc cię za to hojnie wynagrodzę. Odtąd wesoło żyć będziesz na świecie; będziesz wraz z żoną mieszkał w moim pałacu i wraz ze mną przy jednym stole zasiadał. Jak długo pełnić będziesz moją wolę, na niczem ci zbywać nie będzie i tak ci dobrze i wesoło dni płynąć będą, jak niegdyś Adamowi i Ewie w raju. Idź, i opowiedz tę wesołą nowinę twej żonie.

Po tych słowach odszedł pan — a uszczęśliwiony wyrobnik stał przez chwilę jak wryty; nie posiadał się z radości i pobiegł jak szalony do domu, by się z żoną podzielić tą radosną nowiną. Któż opisze radość biednej wyrobnicy, skoro usłyszała z ust męża, jakie szczęście czeka ich w przyszłości!

Na drugi dzień zrana ubrali się oboje w świąteczne szaty i udali się do pałacu swego pana. Pan przyjął ich bardzo mile, wyznaczył im część pałacu na mieszkanie i prosił ich zawsze ze sobą do stołu. Jedli i pili to samo co pan ich — przechadzali się po rozkosznym ogrodzie, ani głodu, ani chłodu nie cierpieli i nic już nie wiedzieli ani o łzach, ani o pocie, ani nędzy, ani cierpie-

niu. Czego tylko serce zapragło, mieli wszystkiego dosyć.

Nastąpiło uroczyste święto. Pan kazał najsmaczniejsze przyrządzić potrawy i najwyborniejsze wina przynieść z piwnicy. Jedli, pili i nasycili się. Na końcu obiadu przyniósł służący jeszcze jeden półmisek — ale przykryty i postawił go na środku stołu. Wtem przybył inny służący i wywołał pana z pokoju dla załatwienia jakiejś ważnej sprawy. Pan wstając od stołu rzecze:

— Ze wszystkich potraw, co tu stoją na stole, możecie jeszcze jeść, ale z tego półmiska przykrytego nie jedzcie, ani się go nawet tykajcie; jeśli się go dotkniecie, zaręczam wam, że się skończy wasze szczęście.

To rzekłszy, odszedł.

Osłupieli oboje małżonkowie, i nie mogli sobie wytłumaczyć, co też panu na myśl przyszło. Czekali z upragnieniem na powrót pana — ale pan jakoś nie przychodził. Tymczasem zaś korciło ich zobaczyć, co też tam na tym półmisku przykrytym za smaczna potrawa być musi?

Ciekawość ich wzmagała się coraz bardziej — a żona wyrobnika, nie mogąc wytrzymać, rzekła do męża:

— Mężu, bardzom ciekawa, co też tam jest na półmisku? Cóż to zaszkodzi, że odkryję przykrywkę i zaglądnę? Przecież pan nie widzi i nie dowie się o tem?

— Daj spokój, odrzekł mąż — nie rób tego, bo nam to może bardzo zaszkodzić!

Ale ciekawa małżonka siedziała jak na szpilkach, i nie mogła zwyciężyć swej ciekawości; zaczęła prosić i nudzić męża swego tak długo, aż i on już się jej nie sprzeciwiał. Więc oglądnąwszy się na wszystkie strony, ostrożnie uchyliła przykrywkę — a mąż ciekawie się przypatrywał.

Skoro uchyliła przykrywę, prześliczny ptaszek wymknął się z wewnątrz i w okamgnieniu wyleciał przez okno!

— Dla Boga! krzyknęli oboje naraz — cóżeśmy zrobili?!. Okropnie się przelękli, rumieniec wstydu wystąpił na ich oblicza i zdradził ich nieposłuszeństwo.

Wtem nadszedł pan, i spostrzegłszy ich zakłopotanie, poznał, co uczynili. Surowo ich skarcił i wypędził z pałacu, aby tak samo jak dawniej, w pocie czoła na życie pracowali.

Zawstydzeni i rozżaleni, opuścili nieszczęsni swój dotychczasowy raj i powrócili do swej nędznej chatki, jeszcze nędzniejsi i nieszczęśliwsi jak pierwej, bo i dzieci ich w tem samem ubóstwie i nędzy się porodziły — a z dziećmi przybyło im i trosk i cierpień więcej (Mehler. Przykłady).

Marya bez grzechu poczęta.

Tylko Najśw. Panna jest niepokalanie poczęta t. j. bez zmazy grzechu pierworodnego, czyli że nigdy nie była w stanie niełaski Bożej, a to przez wzgląd na zasługi Jezusa Chrystusa, którego Matką być miała. Niepokalane poczęcie nie znaczy, że Najśw. Panna została czystą dziewicą po porodzeniu P. Jezusa, ani że w żywocie św. Anny po poczęciu uświęconą została, lecz że w pierwszej chwili złączenia się z ciałem w żywocie św. Anny, dusza Najśw. Panny była wolną od zmazy grzechu pierworodnego. Wiara w niepokalane poczęcie Najśw. Panny jest tak dawna jak Kościół katolicki. Uroczystość niepokalanego poczęcia Najśw. Panny już dawno była obchodzona — śpiewano pieśni na cześć Najśw. Panny niepokalanie poczętej, n. p.: »Witaj święta i poczęta niepokalanie“ i owe przecudne godzinki o niepokalanem poczęciu Maryi; dopiero Ojciec św. Pius IX ogłosił, że nauka o niepokalanem poczęciu Najśw. Panny jest od Boga objawioną; nie ustanowił zatem nowego artykułu wiary, ale zawyrokował, że to, co Kościół od początku istnienia swego wierzył, jest prawdą objawioną.

Dziwny wypadek.

Gdy w roku 1854 dnia 8 Grudnia blisko 200 biskupów około wielkiego Papieża Piusa IX w Rzymie było zebranych, a Ojciec święty w przytomności ich i niezmiernej liczby wiernych światu ogłaszał, że Najśw. Panna

jest bez zmazy grzechu pierworodnego poczęta, odbywała się w pewnej restauracyi w Salcburgu inna scena. Kilku panów z tak zwanej intelligencyi, siedziało za stołem i spijali wino. Podpiwszy sobie, zaczęli jak to bywa, dowcipkować. A że właśnie w ten dzień była uroczystość niepokalanego poczęcia Najśw. Maryi Panny, zaczęli wyśmiewać ów „nowo ukuty“ dogmat. Między nimi odznaczał się pewien młody kupiec, który w sposób najhaniebniejszy bluźnił Najśw. Pannę, do tego stopnia, że nawet najgorsi bluźniercy nie mogli wytrzymać i kazali mu milczeć.

Na drugi dzień wyjechał ów młody kupiec konno na przejażdżkę w koło miasta. Właśnie przybliżał się do miejsca, gdzie stał posąg Najświętszej Panny Niepokalanie poczętej z kamienia wykuty. Jakieś dwie panie odziane w bieli, wychodzą naprzeciw niemu; on chce je dumnie ominąć — lecz skoro koń poczuł ostrogi jeźdźca, spłoszył się, rzucił się w bok, a bluźnierca Najśw. Panny spada na marmurowy postument posągu Niepokalanej Dziewicy, druzgocze sobie głowę i zostaje trupem na miejscu. (Marianum).

Zwycięstwo Niepokalanej Dziewicy.

Pewien kapłan i zakonnik z północnej Ameryki, pisze co następuje:

„Pewien człowiek z naszej gminy, rodem Francuz, już od 30 lat nie przyjmował śś. Sakramentów i jeszcze w tym roku nienawiść swą ku Kościołowi przez to objawił, że swoje najmłodsze dziecko pomimo wszelkich próśb i upomnień, odebrał ze szkoły parafialnej i oddał je do szkoły bezwyznaniowej. Już od dłuższego czasu zapadł był na zdrowiu, ale od Października było mu gorzej. Suchoty coraz jawniej bliską śmierć zapowiadały.

„Ponieważ żadne napomnienia kapłańskie nie pomagały, udaliśmy się do przyczyny Niepokalanie Poczętej Matki Bożej. Przy pierwszych i drugich odwiedzinach upominałem go, aby swe dziecko napowrót do katolickiej szkoły posyłał. On mi odpowiedział:

— Księdzu nic do tego, do jakiej szkoły ja moje dziecko mam posyłać.

Gdym mu przypomniał obowiązek pojednania się z Bogiem, odrzekł obojętnie:

— Będę się spowiadał wtenczas, kiedy ja zechcę. Będzie jeszcze dosyć czasu.

Wreszcie rzekłem:

— Przynajmniej to musisz mi pan przyrzec: Noś pan ten medalik Niepokalanego Poczęcia i zmów pan codzień trzy Zdrowaś Marya na cześć Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny, abyś otrzymał łaskę szczęśliwej śmierci.

Na to odpowiedział:

— Dobrze, to uczynię.

Ucieszyłem się tem bardzo i poruczyłem staranie oń potężnej przyczynie Matki miłosierdzia.

Przy następnych odwiedzinach nie wiele więcej wskórałem. Gdym go zobaczył, iż tak osłabiony i bez pomocy leży, napomniałem go do cierpliwości. On mi na to:

— Cierpliwości nigdy się nie nauczę.

Zacząłem mu tedy mówić o niebie i o Jezusie Ukrzyżowanym. Lecz on w tonie najobojętniejszym rzekł:

— Szkoda słów księdza — to wszystko groch na ścianę.

A potem z oburzeniem rzekł:

— Nie gadaj mi ksiądz o tych rzeczach; ja potrzebuję spokoju. Jeśli ksiądz nic innego nie wie, to proszę mi więcej nie przychodzić!

O spowiedzi nic słyszeć nie chciał i mawiał zwyczajnie:

— Nie jestem ani rozbójnikiem, ani złodziejem. Zresztą nie jestem tak chory, jak się zdaje. Jestem Francuz i mam swój rozum i jestem uparty. Ksiądz mnie do spowiedzi nie nakłoni. Będę się spowiadał, kiedy mnie się spodoba. I nic nie będę obiecywał, bo musiałbym się spowiadać, gdybym obiecał.

Jednak nosił medalik i mówił codzień trzy „Zdrowaś Marya“.

Inny kapłan, który go dla odmiany odwiedzał, otrzymał odpowiedź:

— Ja wcale w spowiedź nie wierzę.

Jeden z krewnych jego, protestant, przyszedł także do niego i powiedział mu:

— Ojciec twój polecił mi, abym ci, jeśli ciężko zachorujesz, przypomniał, żebyś przyjął śś. Sakramenta. Uczyńże to teraz.

Chory odrzekł:

— Jeśli się zechcę spowiadać, to poszlę po księdza. Tobie nic do tego.

Niemniej bezowocnemi były prośby poczciwej żony jego, która go z całem poświęceniem pielęgnowała. Pięć dni przed śmiercią pytała go żona:

— Czy chcesz, abym ci księdza zawołała?

— Nie! — brzmiała krótka odpowiedź.

Córki jego są bardzo pobożne panienki, dzięki wychowaniu matki. Najstarsza rzekła raz do mnie bardzo smutno:

— Modlę się od pierwszej mojej Komunii codzień za nawrócenie mego ojca. Lecz teraz nieco zaczynam tracić ufność. Matka nieraz mnie za to łaje i mówi, abym ufała aż do ostatniej chwili.

Zachęciłem rodzinę całą do wytrwałej wspólnej modlitwy i przypomniałem im przykład św. Moniki.

Było to dnia 27 Listopada 1882 roku, gdym znowu odwiedził strapioną rodzinę. Do chorego przyjść nie mogłem. Zaleciłem im,

aby odmówili nowennę do Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej, a dnia 8 Grudnia jako w uroczystość Niepokalanego Poczęcia, wspólnie przystąpiły do Stołu Pańskiego na intencyę ojca.

I cóż się dzieje? Dnia 30 Listopada, w drugi dzień nowenny, przychodzi do nas dobry przyjaciel i opowiada nam, że chory już stracił przytomność. Natychmiast pobiegłem do niego i mówiłem po drodze różaniec.

Przyszedłszy, zapytałem:

— Czy chory jest przytomny?

— Tak jest.

— Czy mówił co o spowiedzi?

— Nie, ale kilka razy zawołał: „O mój Zbawicielu, zmiłuj się nademną!“ — właśnie gdy ksiądz przyszedł.

Wybiła godzina łaski.

— Teraz się módlcie, rzekłem — a mnie sam na sam zostawcie z chorym.

Wstąpiłem do pokoju. Chory leżał blady i wychudły, jak martwy.

— Pan jesteś bardzo osłabiony? spytałem.

— O, tak! wyjąknął konający.

— Czy mnie pan jeszcze poznajesz?

— Doskonale! rzekł gasnącym głosem.

— Więc spokojnie odprawimy spowiedź. Odpowiadaj mi pan — ja pomogę!

Dzieło łaski zostało spełnione; owieczka została wydarta z paszczęki wilka piekielnego.

Zaraz potem otrzymał wiatyk i ostatnie namaszczenie z zupełną przytomnością i nabożeństwem; na drugi dzień szkaplerz — a wieczór tego samego dnia, w piątek 1 go Grudnia — zasnął najspokojniej w Panu w objęciach jednego z kapłanów, który go ani na chwilę nie odstępował.

Chwała i cześć Niepokalanej Dziewicy i dobrotliwemu Sercu dobrego Pasterza! — A wy żony i dzieci, którzy macie to największe nieszczęście widzieć męża lub ojca odwróconego od Boga i Kościoła — bądźcie prawdziwemi apostołkami modlitwy, jeśli po trzeba, przez wiele, wiele lat nawet. Po wszystkie wieki dziękować wam będzie ojciec lub mąż, żeście jego duszę wyratowały." (Hattler. Miesiąc Serca Maryi).

Najświętsza Marya Panna w Lurd (Lourdes).

We Francyi jest miasteczko nazwiskiem Lurd. Mieszkają tam ludzie ubodzy ale pobożni. Niedaleko tego miasteczka znajduje się jaskinia. Pewnego razu, a było to 11 Lutego 1858 roku, około południa zbliżały się do tej jaskini trzy dziewczynki, które szły zbierać gałęzie na opał. Jedna z nich, 14 letnia Bernadetta, ujrzała nagle nadzwyczajne światło, jakiem zajaśniała jaskinia — a pośród tej światłości widziała przecudnej piękności panią, którą była Matka Najśw.,

jak się później okazało. Ubraną była w białą suknię, opasaną jasno-niebieską przepaską. Na głowie miała białą, przeźroczystą osłonę, spadającą na ramiona — a na szyi zawieszony różaniec z białych paciorków. Stała na krzaku róży polnej, a na jej stopach ukazała się róża złota.

Najświętsza Panna z uśmiechem patrzała bardzo łaskawie na Bernadettę, a po chwili przeżegnawszy się krzyżykiem od różańca swego, przesuwała na nim paciorki — ale ust swych nie poruszała wcale. Za przykładem Matki Najświętszej i Bernadetta przeżegnała się krzyżykiem i zaczęła odmawiać różaniec. To widzenie trwało blisko przez kwadrans.

Następnej niedzieli poszła znowa Bernadetta wraz z kilku innemi dziewczętami do jaskini. Po drodze wstąpiły do kościoła, gdzie zaczerpnęły do flaszeczki wody święconej, aby nią pokropić zjawisko i odpędzić, jeśliby to było od złego ducha, jak niektórzy przypuszczali.

Skoro przybyły do jaskini, ukazała się w niej Najświętsza Panna. Bernadetta zawołała:

— Pani zjawiona! — i pokropiła ją wodą święconą; jeśli jesteś od Boga, zbliż się.

Najświętsza Panna uśmiechając się, zbliżyła się ku niej z wielką dobrocią. Bernadetta uradowana, zaczęła odmawiać różaniec.

Podczas modlitwy Bernadetty Matka Najśw. przesuwała paciorki na swoim różańcu, a pod koniec różańca znikła.

Dnia 18 Lutego ponownie widziała Bernadetta Matkę Boską w jaskini. Tym razem zapytała:

— Pani, kto jesteś i czego żądasz?

Na to odpowiedziała Najśw. Dziewica ze słodkim uśmiechem:

— Chcę, abyś tu przychodziła. — A po chwili dodała: przyrzekam tobie, że będziesz szczęśliwa nie na tym, ale na drugim świecie.

Później pytała znowu Bernadetta, jak się zjawiona Pani nazywa — i otrzymała odpowiedź:

— *Ja jestem Niepokalane Poczęcie.*

Innego dnia zawołała Bernadettę po imieniu i rzekła do niej:

— Idź córko moja, oświadcz kapłanom, że wolą moją jest, aby na tej skale zbudowali mi kościół.

Bernadetta oznajmiła to X. Proboszczowi, ale ten opowiadaniom jej wierzyć nie chciał. Wkrótce jednak uwierzył, gdy w jaskini nad wszelkie spodziewanie wytrysło źródło, które się prędko cudownemi uzdrowieniami rozsławiło.

Innym razem kazała Najświętsza Panna Bernadecie modlić się o nawrócenie grzeszników i powtarzała wiele razy to słowo:

— Pokuty, pokuty, pokuty!

Ostatnie objawienie się Matki Boskiej było 16 Lipca 1858.

Jaskinia przedstawiała w tym dniu prześliczny widok; była przyozdobiona starannie kwiatami, dniem i nocą mnóstwo lamp i świec w niej się paliło. Tysiące ludzi z różnych stron przybyłych klęczało wokoło, modląc się do Najśw. Panny.

Cudowne nawrócenia i uzdrowienia bywały coraz częstsze, bo coraz hojniej rozdawał tu Bog na prośbę Matki Najśw. swe łaski. Nabożeństwo odprawiało się z nadzwyczajną uroczystością. Msza święta, Komunia generalna, nieszpory, błogosławieństwo Najśw. Sakramentu, kazania — wszystko to odbywało się pod gołem niebem, podobnie jak u nas bywa na misyach. Lud cisnął się do konfesyonałów — każden tu lepiej zrozumiał, że aby być miłem dzieckiem Matki Najśw. i doświadczyć jej osobliwszej opieki i łaskawości, trzeba się przedewszystkiem pozbyć grzechów i przez spowiedź św. z Bogiem pojednać.

Wreszcie po długich badaniach JE. X. Biskup dyecezalny wydał dnia 18 Stycznia 1862 roku list pasterski, w którym ogłosił, że Panią, która się Bernadecie ukazywała, była rzeczywiście Najświętsza Marya Panna, i zatwierdził oddawanie czci Najśw. Pannie w Lurd.

Wezwał nadto wiernych do składek na wybudowanie kościoła na tem miejscu, które sobie Najśw. Panna wybrała. W roku 1864 postawiono z wielką uroczystością w jaskini figurę Najśw. Panny, zrobioną tak, jak Ją Bernadetta widywała.

W roku 1875 poświęcono kościół wspaniały, a w rok później odbyła się uroczysta koronacya figury Matki Boskiej. Na koronacyi oprócz zastępców Ojca świętego było 36 Biskupów, 3000 księży i 100,000 wiernych. (Intencya z r. 1878).

IMPRIMATUR.

(L. S.) † *Albinus*,

Cracoviae die 12 Maji 1888. Eppus.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

Jezus Chrystus jest Bogiem.

Piękność i postać Jezusa.

Pismo święte mówi, że Jezus, w którym boskość łączyła się z człowieczeństwem, „był najpiękniejszym z synów ludzkich“. — Istnieją dwa starożytne opisy postaci Zbawiciela. Pierwszy pochodzi od Lentulusa, który jak się zdaje, był przyjacielem Piłata i który miał z Jerozolimy przesłać senatowi rzymskiemu rysopis Jezusa wraz z pismem odręcznem.

Pismo to w krótkich rysach podaje bardzo szlachetny i godny obraz Jezusa, tak, że zbliża się bardzo do prawdopodobieństwa, jeżeli niezupełnie do rzeczywistości. Sprawozdanie to brzmi jak następuje:

„W tym czasie pojawił się mąż pełen wysokich cnót, który jeszcze żyje; jest on obdarzony niezwykłą mocą i nazywa się Jezus Chrystus. Zwykły gmin nazywa go potężnym prorokiem — ale szkoła jego zowie go synem Bożym. Przywraca zmarłych do życia i uzdrawia chorych wszelkiego rodzaju. Jestto mąż wysokiego wzrostu i nadzwyczaj regularnej budowy ciała. Poważne jego oblicze wywiera głębokie wrażenie na wszystkich, którzy go

widzą, tak, że go kochają, ale i boją się go zarazem. Włosy koloru wina, bez połysku, rozdzielone gładko na połówki na środku głowy, według zwyczaju nazareńskiego, spadają mu na szyję poniżej uszu; stąd zaś spływają w bujnych kędziorach na ramiona. Czoło jego jest równe i gładkie, twarz niczem nie zeszpecona i okraszona łagodnym rumieńcem. Rysy są szlachetne i miłe, nos i usta bez zarzutu. Bujna broda jest tej samej barwy co i włosy i również rozdzielona na dwie części. Oczy są niebieskie i mocno błyszczące. Gdy gani lub czyni wyrzuty, jest straszny; lecz gdy uczy i napomina, mowa jego jest łagodna i uprzejma. Wyraz twarzy jego jest pełen wdzięku i godności. Nikt go jeszcze nie widział śmiejącego się, lecz nieraz płaczącego. Trzyma się zawsze prosto. Mówiąc, rozkłada zwykle rękami i wznosi je do góry. Ręce ma bardzo kształtne. Co mówi, jest pełne myśli i dosadne; żadne słówko nie jest zbyteczne. Z twarzy jest on najpiękniejszy ze wszystkich ludzi".

Obraz Jezusa, który Lentulus z powyższem pismem posłał do Rzymu, odrabiany często w dawniejszych wiekach, znachodzi się jeszcze w niektórych bibliotekach niemieckich, czasami z dodatkiem miary ciała Chrystusa.

Drugi opis postaci Jezusa pochodzi od greckiego pisarza Nicefora Kallistusa, żyją-

cego około roku 1333. Ten kreśli następujący obraz Chrystusa:

„Postać i skład twarzy Pana naszego, jak je nam starożytni przekazali, były takie niejako: Twarz Jego była urodziwa. Wzrost wynosił 7 piędzi, włosy były żółtawe, niezbyt bujne i nieco kędzierzawe. Brwi były czarne, niezbyt gęste. Oczy ciemne i nieco żółtawe. Spojrzenie miał piękne, nos średni, brodę blond i niezbyt długą. Włosy miał długie, gdyż nie tknęły się ich nigdy nożyce, ani też żadna ręka ludzka, z wyjątkiem macierzyńskiej, gdy był jeszcze dzieckiem. Szyja jego była nieco zgięta ku przodowi, przez co postawa ciała nie była bardzo prostą i wysmukłą. Cerę twarzy miał żółtawą, twarz nieokrągłą, lecz jak Marya, matka jego, owalną i rumianą. Wyraz jej był poważny i rozumny, a zarazem łagodny i pełen niewypowiedzianej słodyczy. We wszystkiem był nadzwyczaj podobnym do matki".

Pewniej jeszcze niż z tych dwu podań starożytnych możemy wnosić o piękności i miłej postaci Jezusa, jeżeli zważymy, jakie wrażenie postać Jego, słowa i całe postępowanie wywierały na wszystkich, którzy byli tak szczęśliwi, że go mogli oglądać na tym świecie.

Gdy żył jeszcze jako pacholę w domu opiekuna swojego Józefa, poszło w przysłowie, według opowieści starożytnych, że gdy

kto był smutny i zmartwiony mawiał: „Pójdę popatrzeć na Jezusa, syna Maryi“. Widok Jego wlewał spokój w zwątpiałe serca i odpędzał wszelki smutek i bojaźń. Jedno Jego słówko wystarczało, by Piotr, Andrzej i inni Apostołowie opuścili wszystko i poszli za Nim. Jedno spojrzenie Boskich Jego oczu było tak potężne, że pobudziło do płaczu Piotra upadłego i serce grzesznej Magdaleny ogniem świętej miłości rozpaliło. Uczniowie Jego nie mogli się rozłączyć z ukochanym swym Mistrzem (Jan 6, 69; 11, 14). Ale co mówię: uczniowie tylko Jego? *„Cały świat poszedł za nim“* (Jan 12, 19), jak się wyraża Pismo święte. Lud otaczał go zawsze — a gdzie się tylko udał, szedł za Nim: na góry, na puszczę, na brzeg morza, opuszczając łodzie swoje, statki, domy, zatrudnienie; zapominali o jedzeniu i piciu, i nie mogli Mu się napatrzeć po całych dniach. Nawet poganie i niewierni przychodzili do Niego, wołając: *„Chcemy widzieć Jezusa, chcemy widzieć Jezusa.“* (Jan 12, 21).

Święta Brygida zapewnia nas: „Oblicze Jego, słowa i cała istota Jego miały taki urok Boskości, która Mu promieniała z oczu, że pociągał serca wszystkich ku sobie.“ — A św. Augustyn woła: „Trzy rzeczy chciałbym był widzieć: Tryumfalny pochód zwycięzkiego wodza rzymskiego, świętego Pawła, gdy mówił kazanie, i Jezusa chodzącego po ziemi“.

Cudowny obraz Chrystusa

malowany przez św. Łukasza.

(W kaplicy „Świętego Świętych“ przy kościele Loretańskim w Rzymie).

Obok wielu szacownych relikwij, jak naprzykład gąbki, którą pojono Jezusa na krzyżu, świętych schodów itd., które się znajdują w onej słynnej kaplicy w Rzymie, zwanej zwykle „Świętem Świętych“, przechowuje się tam także i obraz Zbawiciela, który przez wysoką cześć, jakiej doznawał w starożytności, przyczynił się niemało do uświetnienia owej kaplicy i do nadania jej nazwy: „*Sancta Sanctorum*“.

Obraz ten cudowny tak przez swój początek, jak i losy, które przechodził, był naszkicowany i zaczęty, jak mówią autentyczne dokumenta Lateraneńskiego archiwum, przez świętego Łukasza; gdy zaś tenże wskutek różnych przeszkód nie mógł go dokończyć, wykończyli go Aniołowie.

Obraz ten był już wielce czczonym w Kościele wschodnim. W czasach obrazoburstwa w VIII wieku, zatopił go święty German, patryarcha Konstantynopolitański w morze, aby go ochronić od zbezczeszczenia przez bezbożnego cesarza Leona Izauryjskiego. A jako niegdyś oko i opiekuńcza prawica Boska czuwała nad koszykiem z sitowia Mojżesza,

tak też i teraz Boska opieka doprowadziła obraz ten szczęśliwie do rzymskich wybrzeży. Tu powitano go z niewymowną radością i pośród radosnych okrzyków ludu, wniesiono go do świętego miasta.

Sławny i bardzo uczony bibliotekarz rzymski Anastazyusz, nazywa go obrazem wykonanym nie ludzkiemi rękami, i opowiada, że Papież Stefan II niósł sam obraz ten w uroczystej procesyi do kościoła „Matki Boskiej większej", gdy w roku 753 miasto było zagrożone napadem Astulfa, króla Longobardzkiego.

Drugi bardzo stary obraz Zbawiciela pokazują też w kościele świętej Praksedy, obok wielu innych świętych relikwij i wystawiają go kilka razy do roku na widok publiczny. Obraz ten Zbawiciela, według odwiecznej tradycyi miał darować Piotr święty senatorowi Pudensowi, w którego domu mieszkał. Obraz sam jest tak uszkodzony, że zaledwie można poznać, iż to jest popiersie Zbawiciela. Ramy zaś i cała oprawa metalowa są jeszcze w dobrym stanie. Na boku znajduje się imię Piotra świętego greckiem pismem, którego litery stoją pionowo jedna pod drugą. Kościół ten ma tytuł kardynalskiego i stoi pod zarządem zakonników Walumbrozańskich, których założycielem był święty Jan Gwalbert w XI wieku.

Jezus, imię niezbędne.

Pewien kapłan w Saksonii, który niegdyś na dworze książęcym sprawował urząd kaznodziei, wezwany został do pewnego chorego pana. Skoro kapłan przyszedł, rzekł doń chory:

— Księże kaznodziejo! Jestem bardzo chory i obawiam się, czy z tej choroby nie umrę, dlatego kazałem cię wezwać i proszę cię, byś mi co budującego powiedział. Ale jedno sobie wymawiam natychmiast — a to jest, abyś mi nic o Jezusie nie mówił, bo o nim nic nie chcę słyszeć.

Kapłan odrzekł:

— Bardzo mi miło, żeś mi pan zaraz to powiedział, gdyż byłoby to pierwszą rzeczą, o którejbym był z panem mówił. Zresztą, jest jeszcze wiele innych rzeczy budujących, o których rozmawiać możemy. Czy mogę z panem mówić o Bogu?

— I owszem, odrzekł chory, o Bogu chętnie słuchać będę; gdyż dla Boga miałem zawsze głębokie uszanowanie.

— A zatem, rzekł kapłan, mówmy teraz o miłości Bożej.

I wiele, wiele mówił kapłan o miłości Boga ku ludziom — a wszystko to było bardzo przyjemne choremu. Przy pożegnaniu rzekł chory:

— Proszę znowu wkrótce przyjść i opo-

wiadać mi wiele pięknych rzeczy o Bogu: bo taka rozmowa sprawia mi wielką przyjemność.

Gdy kapłan drugi raz przybył, rzecze chory:

— No i cóż mi ksiądz dzisiaj pięknego powie? Jużem dawno tęsknił za księdzem.

— Mam jeszcze wiele, bardzo wiele mówić z panem o Bogu i dlatego postanowiłem sobie dziś panu z innej strony Boga przedstawić; dziś będę mówił z panem o mądrości Bożej.

Począł tedy sługa Boży mówić wiele o wszechmocności, mądrości i wiedzy Bożej. Rozmowa ta była już daleko poważniejsza od tamtej; choremu jednak była bardzo miła. Przy trzecich odwiedzinach pytał chory kapłana, o czem mu dzisiaj mówić będzie.

— O świętości Boga — odrzekł kapłan. I opowiadał mu, jak świętą i czystą istotą jest Bóg, i jak tylko świętemi i czystemi istotami jest otoczony.

Jeśli druga rozmowa była poważna, to ta była jeszcze poważniejsza.

Gdy wreszcie kapłan zaczął mówić o Boskiej sprawiedliwości, rzekł chory:

— Księże kaznodziejo! już teraz nie mogę wytrzymać; lękam się okropnie. Jeśli Bóg jest tak święty i sprawiedliwy, jak ksiądz mówi, to ja zgubiony na wieki.

Kapłan odszedł i nie wrócił dnia następu-

jącego; myślał sobie bowiem: niech te uczucia głęboko w sercu jego się zakorzenią. Wreszcie prosił chory kapłana, aby przyszedł. Gdy przyszedł, rzekł:

— Mój Boże! księże kaznodziejo — nie mogę sobie dać rady z bojaźni; proszę mi znowu coś pocieszającego opowiedzieć! Zdaje mi się, jakobym już był w piekle, a piekło we mnie; czy ksiądz nic nie wie takiego, coby mi jaki spokój przyniosło?

Kapłan zaś odpowiedział:

— Już nic panu więcej powiedzieć nie mogę, jak tylko to, że Pan Bóg jest wprawdzie miłosierny, ale i sprawiedliwy; wskutek sprawiedliwości swej, nie może nie ukarać złego. Sprawiedliwość Jego domagała się, aby już naszych pierwszych rodziców z raju wypędził. Wprawdzie miłość Boska znalazła środek zadośćuczynienia swej sprawiedliwości, aby grzech mógł być złagodzony — ale o tym środku pan nic nie chcesz słyszeć. Dlatego ja nie mogę pana wyrwać z tego rozpaczliwego położenia.

Pełen ciekawości i serdecznego pragnienia błagał chory, aby mu przecież ksiądz wymienił ten pocieszający środek; — aby, jeśli być może, duszę swą mógł jeszcze ocalić.

— I owszem, rzekł kapłan z radością — chętnie panu wymienię ten środek; ale musisz mi Pan pozwolić, abym panu mógł coś o Jezusie powiedzieć.

— Mów ksiądz w imię Boże, co chcesz, abym tylko mógł być ocalony.

Zaczął więc kapłan opowiadać mu Ewangielię, i dowiódł mu jasno i przekonywająco, że ten Jezus, którym on dotychczas tak pogardzał, jest jego Panem i Bogiem, jego stwórcą, odkupicielem i zbawicielem, który dla zbawienia grzeszników przelał krew swą najdroższą i umarł na krzyżu, a w Kościele swym zbawczy Sakrament Pokuty ustanowił, w którym każdy grzesznik może łaskę i przebaczenie otrzymać.

Jakże się teraz radował chory, że usłyszał o Jezusie tak dobrotliwym Zbawcy i Odkupicielu, który z taką radością przyjmuje pokutujących grzeszników! Ze skruchą i pobożnością przyjął ostatnie Sakramenta i zasnął szczęśliwie w Panu.

Zaiste, imię Jezus — to imię niezbędne, bez którego obejść się niepodobna! Któż inny mógł Boskiej sprawiedliwości zadość uczynić i nas od wiecznej zguby wybawić, jak nie Jezus, nasz Bóg i Zbawiciel? (Zinsler).

Pochwalony Jezus Chrystus

Protestancki poeta Klopstok pisał dnia 6. Stycznia 1767 roku do Denisa, kapłana Towarzystwa Jezusowego, również poety, następujący list:

„Koniec listu Waszej Wielebności był dla

mnie więcej jak przyjemny — on mnie rozczulił! Niech Boskie dziecię z Betleem i z Waszą Wielebnością będzie! Przypominam sobie jak bardzo niegdyś podróżując do Szwajcaryi, w podobny sposób się rozczuliłem. Pewnego pięknego dnia wysiedliśmy z powozu i szliśmy pieszo. Ja zostałem nieco w tyle za mojem towarzystwem; kilku poczciwych wieśniaków spotkało mnie i każdy z nich mówił do mnie:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

Ja jeszcze nie wiedziałem, że to jest sposób pozdrowienia i nie wiedziałem co na to odpowiedzieć. Nie mogę Wielebności Waszej wyrazić słowy, jak mnie to pozdrowienie rozczuliło. Wzajemne pozdrowienie: „Na wieki“, o którem się dopiero później dowiedziałem, tak naturalnem mi się być zdało, żem się zdziwił, jak to być mogło, żem na tak prostą a zarazem naturalną odpowiedź przyjść nie mógł.

O ileż milszem i pożyteczniejszem jest to pobożne pozdrowienie: „Pochwalony Jezus Chrystus“, jak te niesmaczne i oklepane powitania: „Dzień dobry“, „Dobry wieczór“, „Padam do nóg“, „Sługa“, „Do widzenia“, lub podobne bez znaczenia wyrazy?“

Najpiękniejsze pozdrowienie.

Pewna pobożna prosta kobieta leżała na łożu śmiertelnem. Spowiednik jej, który już

przed 50 laty umarł, stał przy niej i pocieszał ją obietnicą niebieskich radości, których już wkrótce zażywać będzie. Umierająca była też bardzo spokojna i zgadzała się z wolą Bożą; nie bała się wieczności, bo miłowała Boga i służyła mu wiernie za życia.

— Tylko mi jedno cięży na sercu, rzekła w prostocie swojej. Ach, mój ojcze, kiedy się okażę przed Bogiem w niebie, cóż mam, ja prosta i nieuczona kobieta, powiedzieć? Ja słów nie znajdę, abym mogła godnie pochwalić Boga!

— O, moje dziecko — rzekł spowiednik, który był wprawdzie uczony, ale równie prosty i świątobliwy, nie bój się o to wcale. Skoro przyjdziesz do nieba i staniesz przed tronem Bożym, powiedz tylko: „Pochwalony Jezus Chrystus“ — a cały dwór niebieski odpowie: „Na wieki — na wieki — na wieki!“ Doprawdy nie ma piękniejszego pozdrowienia ani w niebie, ani na ziemi, jak: „Pochwalony Jezus Chrystus!“ (Stoeger).

Julian, pobożny młodzieniec.

Święty Efrem, dyakon z Edessy w Syryi, zawarł z Julianem, pobożnym młodzieńcem, najściślejszą przyjaźń. Razu pewnego spostrzegł, że książki jego przyjaciela były w bardzo złym stanie, gdyż wiele słów było w nich wymazanych, mianowicie zaś imię

„Jezus“. Zapytał go więc Efrem, coby to znaczyło? Julian odpowiedział:

— Przed tobą nic nie zataję. Nie ma dla mnie na ziemi milszego i słodszego imienia, jak święte imię Jezus. Wszak to imię mego Odkupiciela, który nas tak niewymownie ukochał. Ile razy więc pomyślę o tej nieskończonej miłości, muszę płakać łzami wzajemnej miłości i wdzięczności — a gdy wspomnę na moje grzechy, przychodzi mi zaraz na myśl owa grzesznica, która się zbliżyła do Boskiego Zbawiciela, nogi Jego łzami polewała i włosami je swemi obcierała — i znowu nie mogę się od łez powstrzymać. Ile razy więc wzrok mój padnie na imię święte Jezusa, płynie z mych oczu łza wdzięczności lub żalu — i to jest przyczyną, że w książkach moich znajdujesz to imię tak pomazane i powycierane.

Efrem uśmiechnął się i rzekł:

— Niech dobrotliwy Jezus twą prostotę i pobożność nagrodzi, a łzy twoje w morze niebieskich rozkoszy zamieni. (Stolberg).

Baron Binder Kriegelstein.

Baron Binder, urzędnik przy ambasadzie austryackiej w Monachium, był mężem pełnym pięknych zalet i niepospolitych zdolności. Dnia 2. Lutego 1790 roku wpadł w ciężką chorobę, która mu niedaleką śmiercią gro-

ziła. Do boleści ciała przyłączyła się, według świadectwa lekarza, nieznośna bojaźń w duszy i smutek graniczący z rozpaczą. Gdy mu lekarz przedstawiał pociechy religii, odpowiedział szczerze, że on nie ma żadnej religii — ale dał się namówić, aby przyjął odwiedziny księdza G., proboszcza od świętego Piotra i z nim się o rzeczach wiary rozmówił.

Cały przebieg tych rozmów opisuje nam sam ksiądz G.

— Gdym 27. Maja koło wieczora chorego odwiedził, on zaraz po wejściu mojem do pokoju tak do mnie przemówił:

— Księże dobrodzieju! nigdy mi odwiedziny twoje nie były tak pożądane jak teraz. Mam ci wiele i ważnych rzeczy, ale bez świadków powiedzieć.

Obecni natychmiast wyszli z pokoju — a chory wzdychając mówił dalej głosem smutnym:

— Ratuj mnie, ojcze duchowny, jeśli ratunek jeszcze możebny. Cierpię nieopisaną trwogę, zamięszanie i katusze serca — gdyby tak dłużej potrwało, nie mógłbym ich przenieść.

Gdym go o przyczynę tych katuszy zapytał, on z zaufaniem odpowiedział:

— Wszystko ci ojcze wyznam otwarcie: ale się nie przestrasz. Chociaż się narodziłem z gorliwych katolickich rodziców i w ka-

tolickim zakładzie naukowym gruntownie w nauce wiary zostałem wyćwiczony, stałem się pomimo to przed 12 laty wolnomyślnym — czyli raczej formalnym niedowiarkiem. Wierzyłem wprawdzie podług zgodnego świadectwa historyków, że przed dawnemi czasy żył człowiek, który się zwał Chrystusem; ale wiarę w Jego Bóstwo i tajemnice przezeń objawione uważałem za zabobony i baśnie. Otóż teraz powstaje w mej duszy między skłonnością do wiary i skłonnością do niewiary tak straszna walka, takie zamięszanie i trwoga, że jej opisać nie zdołam. Wyprowadź mnie ojcze z tego matecznika.

— Ta walka, ta bojaźń duszy, rzecze kapłan — jest nadzwyczajną łaską, przez którą Bóg chce pana znowu do wiary nawrócić. Ale powiedz mi pan, jekeś mógł przyjść do takiego stanu, pomimo katolickiego wychowania?

— Wyznam ci ojcze szczerze. Życie wolne i rozpustne i czytanie bezbożnych pism — przywiodły mnie do niewiary.

— Wierzę panu. Niewiara nigdy nie jest u katolika wykształconego w wierze, pierwszym grzechem ciężkim; zawsze inne grzechy i grzeszne nałogi torują mu drogę do niewiary. Człowiek, który ma jeszcze wiarę, nie może się puścić na bezdroża bez silnego niepokoju i dręczących wyrzutów sumienia.

Przekonanie, że na wieczne kary piekła zasłużył, prześladuje go wszędzie — i nie da mu ani w dzień ani w nocy spokoju. Jeśli jednak pomimo to grzeszyć nie przestaje, a przytem wątpić zaczyna o możności poprawy, to w niedługim czasie postara się o środki, aby uśpić budzące się sumienie i ukołysać je do fałszywego spokoju.

Znużeni natrętnemi wyrzutami sumienia, porywają się tacy grzesznicy na samego Chrystusa, na jego objawienia i prawa. Poczynają zuchwale wątpić o jego Bóstwie, o prawdzie Jego nauki, o przyszłym sądzie, o niebie i piekle; chcieliby sami w siebie wmówić i przekonać się, że to wszystko, co Kościół o Chrystusie naucza, jest tylko mamidłem, wymysłem księży, marzeniem wybujałej wyobraźni. Aby zaś niejako usprawiedliwić swe wątpliwości, zapoznają się z tak zwanymi wolnomyślącymi i ich pismami, chętnie słuchają ich dowcipów, szyderstw i bluźnierstw i pierwszy lepszy fałszywy dowód, wyrok jakiegoś półmędrka, nawet namacalne i oczywiste kłamstwa i oszczerstwa, za niezbite dowody przeciw prawdzie wiary katolickiej uważają. Unikają zaś starannie towarzystwa ludzi prawdziwie uczonych i pobożnych, i pogardzają książkami i pismami, w których jak na dłoni wykazana jest głupota niewiary i prawda chrześcijańskiej religii.

Jednem słowem — grzeszny chrześcijanin szuka spokoju i pociechy w niewierze, bo nie ma odwagi i dobrej woli żyć podług przepisów wiary. Niewiara jest tem wezgłowiem, na którem niedowiarek swe grzeszne życie przemarzy.

— Wszystko co do joty jest prawda — rzekł baron. Tak przynajmniej było ze mną, zupełnie tak samo. Namiętności haniebne i podłe namiętności i zbrodnie, wyznaję szczerze, uczyniły ze mnie niewiernego. Ale proszę dalej mówić. Bardzo chętnie słucham.

— Ponieważ Pan odebrał katolickie wychowanie, nie będzie rzeczą trudną, uczynić pana znowu wiernym katolikiem. Przypomnienie pierwszych zasad religii, wystarczy zupełnie. Wszakżeś pan wyznał, że nie wątpisz wcale o tem, iż Chrystus istniał.

— I teraz o tem nie wątpię. Ponieważ bowiem wiarogodni, równocześni pisarze opisują miejsce i czas Jego narodzenia i cały bieg Jego życia ze wszystkiemi okolicznościami — byłoby prawdziwą głupotą wątpić, że Chrystus kiedyś żył na świecie. Tem samem bowiem prawem możnaby wątpić o istnieniu cesarza Augusta, Cicerona, Karola V, albo Ludwika XIV. Lecz takie wątpliwości są istnem szaleństwem.

— Bardzo dobrze. Ależ ci sami historycy i to tacy, którzy żyli z Chrystusem, którzy Jego czyny na własne oczy widzieli, któ-

rzy za prawdę swej historyi życie oddali — ci sami, mówię, opowiadają o Chrystusie rzeczy nadzwyczajne, które wszystkich co o nich słyszeli, w zdumienie wprawiły; świadczą wobec śmiertelnych wrogów Chrystusa o świętości Jego nauki, Jego życia — a nikt się nie poważył sprzeciwić ich świadectwu. Jeśli więc, panie baronie wierzysz w to, że Chrystus żył — to musisz też i w to wierzyć, co Jego równocześni historycy opowiedzieli o nauce, życiu i cudach Chrystusa.

— Tak jest, i w to wierzę. Ale takie rzeczy, jak przynajmniej mówią, czynili i ludzie zwyczajni. Jakże więc z tych czynów można dowieść Bóstwa Chrystusowego?

Uczony kapłan począł tedy choremu wywodzić, jak to wszystko, co Ewangeliści o Chrystusie Panu opowiedzieli, już na kilkaset lat było przez proroków przepowiedziane i co do joty w Chrystusie się spełniło. Jak Chrystus sam na dowód swego Bóstwa cuda czynił, jak po wszystkie wieki chrześcijanie w imię Jezusa cuda czynili, jak nauka Chrystusowa tak trudna dla rozumu, a tak przykra dla namiętności ludzkich, pomimo to przyjęła się — i pomimo ciągłych walk liczy miliony wyznawców i wciąż się rozszerza, jak tysiące męczenników za tę wiarę wśród najokropniejszych katuszy życie swe oddali.

Rzekł baron:

— Zwyciężyłeś mnie Ojcze. Wierzę w Chrystusa, w Jego Bóstwo i Jego objawienie.

Aby zaś wiarę w nawróconym baronie jeszcze bardziej umocnić, mówił dalej ksiądz G.

— Dajmy na to, że jakiś oszust wkradnie się do skarbca książęcego, ukradnie najdroższe klejnoty i zniknie. Natychmiast poszukują złoczyńcę. Nareszcie oczywiste dowody wskazują, że znany już i osławiony oszust jest sprawcą tej zbrodni. Cóż wtenczas czynią? Opisują go jak najdokładniej, podają jego imię i nazwisko, miejsce urodzenia, wiek, wzrost, rysy twarzy, narodowość, mowę, nawet szczególne znamiona, jako to: brodawki, blizny i tym podobne. Więc natychmiast śledzi policya i wkrótce znajduje człowieka, który te wszystkie znamiona co do jednego posiada w zupełności — a nawet te, które go doskonale od podobnych ludzi wyróżniają. Panie baronie, czybyś pan w takim razie odważył się założyć z kim choćby tylko o kilka talarów, że ten człowiek schwytany nie jest owym, który w ten sposób został opisany?

— O tak — musiałbym być albo głupim, albo rozrzutnym.

— Otóż, czyż ci, co nie wierzą w Bóstwo Chrystusa Pana, nie są takimi głupcami, i to, gdy nie idzie o kilka talarów, ale o skarby, które wartością swoją cały świat prze-

wyższają? Chociaż im się jasno jak na dłoni dowodzi, że w Chrystusie znajdują się co do joty wszystkie znamiona, na które już naprzód wskazywali prorocy — chociaż On, nie mówiąc o świętości nauki i życia Jego, działał cuda bez liczby, i to te właśnie, które prorocy przepowiedzieli: chociaż ślepym wzrok, niemym mowę, chromym chód wracał, chociaż jednem skinieniem swej woli umarłych wskrzeszał — chociaż wszystkie okoliczności swej męki i rodzaj swej śmierci i zmartwychwstanie swe przepowiedział — chociaż pokonawszy śmierć, przez czterdzieści dni widocznie na ziemi przebywał, a potem do nieba wstąpił, skąd wedle obietnicy swej Ducha świętego zesłał—a Apostołów swoich tak nie do pojęcia zmienił, że ich uczynił najdzielniejszymi opowiadaczami Bóstwa swego: chociaż ci przez cuda w Jego imię zdziałane, świat w występkach pogrążony Jego prawu poddali—chociaż tysiące tysięcy dzielnych wyznawców Bóstwo Chrystusa i boskość Jego nauki nowemi cudami i krwią własną zatwierdzili; chociaż nareszcie królestwo Chrystusowe na ziemi, Kościół święty, wśród licznych i gwałtownych napadów ze strony świata i piekła, ciągle jeszcze stoi silnie i wciąż się rozrasta; pomimo to niedowiarkowie nie o kilka talarów, ale o własną duszę i własne zbawienie się zakładają, że wszystko, co Kościół o Bóstwie Chry-

stusa i Jego objawieniach naucza i głosi, jest kłamstwem, oszukaństwem i czczą baśnią!

— Taki zakład, odrzekł baron, jest nie do opisania głupi i szalony; strata, jaką taki zakład za sobą pociąga, jest nieskończona i bezpowrotna — trwa wiecznie. Drżę, gdy wspomnę na mój nierozum. Gdyby mi Bóg w takim stanie kazał był umrzeć, gdzieżbym był teraz? Ale czyż ksiądz proboszcz myśli, że ja mógłbym jeszcze znaleść łaskę u Boga, któregom tak często i tak ciężko obrażał?

Gdy zaś ksiądz G. zapewnił go o tem i pocieszał, oświadczył natychmiast chory, że chce spowiedź najszczerszą odprawić.

Na drugi więc dzień z najwyższem uczuciem żalu i skruchy odprawił spowiedź, a następnie przyjął Najświętszy Sakrament. Po komunii św. rzekł spokojnie i z poddaniem się:

— Teraz nie lękam się śmierci. O gdyby tu wszyscy niewierni byli przytomni! Jakżebym ich jasno przekonał, że tylko prawdziwa wiara, spokojne sumienie i połączenie z Bogiem, prawdziwy spokój i zadowolenie przynosi.

Następnie polecił żonie swej, aby dwoje małych dziatek jak najstaranniej wychowywała w jedynie zbawczej religii katolickiej.

— Mając ten skarb, rzekł, będą dość bo-

gate. Wszystko inne przemija — i jest próżnością.

Na trzy dni przed śmiercią prosił, aby mu na nagrobku następujący wyryto napis:

„Tu leży 12 lat niewierzący, który na łożu śmiertelnem przez szczególną łaskę Bożą stał się znowu wierzącym — a po swem nawróceniu pełen pociechy, śmierci wyglądał“.

Zaraz potem zwrócił się ku mnie — pisze ksiądz G. i rzekł:

— I ciebie, księże Proboszczu, proszę jeszcze raz szczerze, abyś moje nawrócenie ku chwale Bożej, ku naprawieniu danego zgorszenia, ku nawróceniu niewiernych ustnie i pisemnie ogłosić raczył. Niejeden mnie za ten krok uważać będzie za bigota i głupca; ale niech im ksiądz proboszcz każe w mojem imieniu powiedzieć: Że oni są zaślepionymi i ludźmi słabego ducha — którzy nie mają dość siły, by swe namiętności pokonać i wyższymi się okazać nad szyderstwa i przycinki podobnych im głupców.

Odtąd jedynem jego staraniem było przygotować się na bliski koniec życia.

— Mogę zapewnić słowem kapłańskiem, pisze ksiądz G., żem jeszcze nigdy nie widział człowieka, któryby z taką skruchą i żalem, z takiem pragnieniem połączenia się z Bogiem, umierał.

Na kilka chwil przed skonaniem wziął krucyfiks do rąk i zawołał:

— O Jezu, zmiłuj się nademną!

Następnie przycisnął go z czułością i pobożnością do piersi, ucałował pięć ran Chrystusa i rzekł:

— Przyjdź mój Jezu, weź mnie na swe ramiona — z ufnością wychodzę naprzeciw Ciebie.

I zasnął w Panu.

Napoleon I.

W roku 1841 ogłosił drukiem jenerał Montholon następującą rozmowę Napoleona I z jenerałem Bertrandem, która miała miejsce na wyspie świętej Heleny. Mówi tamże Napoleon:

— Jezus pragnie miłości od ludzi, pragnie ich serc i to zupełnie i całkowicie — a to Mu się doskonale udaje. Ta okoliczność jest dla mnie dowodem Jego Bóstwa. Aleksander Wielki, Cezar, Hannibal, Ludwik XIX pomimo swych zdolności dokazać tego nie mogą. Zwyciężyli świat, a nie mogli zjednać sobie przyjaciela. Chrystus przeciwnie—mówi, a natychmiast lgną doń całe pokolenia ludzi—a węzły, które je z Nim łączą, są ściślejsze i silniejsze, jak węzły krwi; świętsze i mocniejsze, jak cokolwiekbądź na świecie. On zapala płomień miłości, który nasze sa-

miłubstwo gasi, a przeważa wszelką inną miłość. Jakżeby nie można po tym cudzie Jego woli poznać to Słowo, które świat stworzyło?

Twórcy innych religii nie mieli ani pojęcia o tak szczytnej i szczerej miłości, jaka stanowi istotę chrześcijaństwa. A nawet nie kusiliby się o zjednanie sobie takiej miłości, bo do tego czuje człowiek w głębi duszy swą zupełną bezwładność. Dlatego też największym cudem Chrystusa jest bezsprzecznie królestwo miłości — zjawisko dla rozumu niepojęte, a dla sił ludzkich niemożliwe.

Wszyscy, którzy prawdziwie weń wierzą, czują tę cudowną miłość, ów święty ogień, którego czas, choć wszystko niszczy, ani osłabić, ani ugasić nie zdoła. A ja, Napoleon, tem bardziej to zjawisko podziwiam, żem sam o podobną miłość się starał. I to jest dla mnie wybornym dowodem Bóstwa Jezusa.

Ja wprawdzie wiele tysięcy ludzi zapaliłem takim ogniem miłości ku sobie, że za mnie życie swoje oddali. Nie czynię tu, Boże broń, bynajmniej porównania między zapałem żołnierza, co się rzuca w bój śmiertelny—a miłością chrześcijańską; ale w każdym razie potrzeba było ku temu mej obecności, mego spojrzenia, mego słowa. Jedno słowo z ust moich zagrzewało serca. Rzeczy-

wiście, ja posiadam tajemnicę tej siły czarującej; nie posiadam jednak tajemnicy, aby w nich miłość moją i imię moje *uwiecznić*.

Teraz, gdy jestem na wyspie św. Heleny, gdzie osamotniony przebywam, przykuty do skały — gdzież są moi przyjaciele? Taki to los spotyka wielkich mężów — taki los spotkał Cezara i Aleksandra! Zapominają o nas! Ludwik XIV zaledwie skonał — a już go zaniedbali dworzanie, a może zeń nawet szydzili; bo już nie był ich panem—był trupem, który wkrótce miał zostać zgnilizną. Jeszcze chwila—a taki sam los i mnie spotka.

— Umrę przed czasem, a zwłoki moje oddane zostaną ziemi i staną się pastwą robactwa. Oto bliski los wielkiego Napoleona! Jakaż głęboka otchłań otwiera się między moją nędzą, a *wiecznem* panowaniem Chrystusa, który po całym świecie głoszony, kochany i uwielbiany bywa i jeszcze żyje!

Jego śmierć—czyż to znaczy umrzeć? czy to nie znaczy raczej żyć? Tak jest — śmierć Chrystusa, to śmierć Boga! (Nicolas).

Święta Marcina.

Ta sławna dziewica, patronka Rzymu, pochodziła z najzacniejszej rodziny. Jej ojciec po trzykroć piastował godność konsula i opływał nietylko w cnoty, ale także i w dobra ziemskie.

Marcina z największą troskliwością w chrześcijańskiej wierze i cnocie wyćwiczona, już w młodziuchnym wieku straciła rodziców. Z miłości ku Chrystusowi, który jej serce całkowicie posiadał, z przedziwną hojnością ogromny swój majątek rozdała ubogim, poślubiła wieczne panieństwo i dla swych znakomitych zalet duszy i serca przyjętą została do grona dyakonis. Był to zaszczyt, do którego tylko wypróbowana pobożność drogę torowała.

Cesarz Aleksander Sewerus (od r. 222—235) powziąwszy zamiar znienawidzoną sektę Galilejczyków — tak zwano chrześcijan — wytępić, poruszył wszystkie sprężyny, aby Marcinę, dla piękności, zacności i dobroczynności powszechnie szanowaną, sobie pozyskać i za żonę pojąć, jeśli zechce Apollinowi (bożkowi słońca) ofiarę złożyć.

Marcina odpowiedziała:

— Niepokalanemu Bogu ofiarę złożę, aby moja ofiara pohańbiła Apollina i aby tenże przestał gubić dusze ludzkie.

Cesarz urządził uroczystą ofiarę i zaprowadził Marcinę do świątyni Apollina, gdzie kapłani pogańscy wraz z mnóstwem ludu byli zgromadzeni. Cisza grobowa zapanowała — oczy wszystkich zwróciły się ku niej; ona pobożnie przeżegnała się krzyżem świętym, wzniosła ręce i oczy błagalne ku niebu i tak się na głos modliła:

— O, Boże i Panie mój wysłuchaj modlitwę moją i skrusz ten ślepy i niemy bałwan, aby poznał cesarz i lud jego, żeś Ty jest prawdziwym Bogiem i że nie wolno czcić innych bogów, prócz Ciebie!

— I w tej samej chwili powstało straszne trzęsienie ziemi — bałwan Apollina spadł z ołtarza i rozleciał się w kawałki; część świątyni runęła i w swych gruzach pogrzebała kapłanów bożyszcza z mnóstwem obecnych.

Takiego końca nie spodziewał się cesarz; złością tedy zapalony, kazał Marcinę bić po twarzy, siec rózgami i panieńskie jej ciało targać obcęgami. Oprawcy wytężyli wszystkie swe siły aż do zmęczenia; lecz Anioł wzmacniał i bronił świętą dziewicę tak cudownie, że w cudownem natchnieniu wśród tych katuszy Jezusa Chrystusa chwaliła i oprawców do wiary w Jego Bóstwo namawiała.

Łaska towarzyszyła jej słowom — ośmiu oprawców upadło na kolana, prosili męczennicę o przebaczenie za zniewagi jej wyrządzone i jawnie wyznali swą wiarę w Bóstwo Chrystusa. Tym wypadkiem do szaleństwa przywiedziony cesarz, kazał świętą dziewicę zaprowadzić do więzienia, a ośmiu nawróconych oprawców żelaznemi rozszarpać hakami — a gdy się nie dali do odstępstwa skłonić, wszystkich pościnać.

Nazajutrz przyzwał Sewerus znowu przed sąd swój „czarownicę“ i rzekł szyderczo:

— Ty podła istoto, teraz dopiero zobaczymy, jak daleko sięga twoja czarodziejska sztuka! Czy chcesz ofiarować bogom państwowym, czy jeszcze nadal trzymać z Chrystusem, czarnoksiężnikiem?

W świętem oburzeniu odrzekła Marcina:

— Milcz! nie bluźnij mego Boga — jeśli masz katusze w zapasie, to ich używaj, ja się ich nie boję—Bóg mnie będzie umacniał!

Nieludzko bito ją po całem ciele, krajano nożami, członki ze stawów wyrywano; ale żadne męczarnie nie osłabiły wesołości jej umysłu—głośno sławiła Boga, a słodka woń, wynikająca z otwartych ran jej, napełniła powietrze.

Nieporadny w niemocy swej cesarz, kazał na pół umarłą znowu zawieść do więzienia; ale jakże się zdumiał, gdy nazajutrz doniśli mu stróże więzienni, że rany Marciny zupełnie są zagojone i że przez całą noc widzieli cudowne światło w więzieniu i słyszeli modlitwę i śpiewy jakoby mnóstwa osób.

Rozjuszony cesarz kazał świętą pannę zaprowadzić do amfiteatru i lwom ją na pożarcie porzucić; sam zaś chciał się osobiście temu widowisku przypatrywać. Marcina pięknością czarująca, klęczy na piasku i modli się; głodny lew wypada ryczący z swej klatki — już się rzuca na swą zdobycz — lecz

siłą niewidzialną wstrzymany, kładzie się jak baranek u nóg dziewicy; następnie podnosi się, w szalonym skoku przesadza kratę i mnóstwo widzów pożera.

Rozgniewany i pobladły ze złości cesarz przypisał ten cud jej czarom i myślał, że odkrył już ich przyczynę, sądząc, że ona w jej włosach spoczywa. Kazał jej przeto aż do skóry głowę ogolić i tak oszpeconą do świątyni Jowisza, gdzie i dwanaście innych bożków czczono, zamknąć.

Na trzeci dzień wszedł cesarz z mnóstwem kapłanów i ludu do świątyni na uroczystą ofiarę. Wszystkie bożki leżały pogruchotane na ziemi.

— Gdzie Jowisz? zapytał rozgniewany Sewerus.

— Musiał zdać sprawę Chrystusowi — rzekła z uśmiechem Marcina, że tych dwunastu bożków od zguby nie zachował; a za karę oddał go mój Bóg szatanom, którzy go potem rozszarpali.

Tem szyderstwem do prawdziwej wściekłości doprowadzony, kazał ją Sewerus gorącym tłuszczem oblać i ogniem spalić. Już buchnął płomień, gdy nagle silny deszcz ugasił grożący się żywioł. Po tym cudzie nastąpił wreszcie wyrok śmierci przez ścięcie. Marcina dziękując Bogu za tę łaskę, głowę pod topór ochotnie skłoniła i cios śmiertelny odebrawszy, poszła do Pana po niezwiędłą koronę.

Święte jej zwłoki pogrzebali tajemnie chrześcijanie i spoczywają teraz we wspaniałym kościele, który na jej cześć przy bramie tryumfalnej tegoż Sewera zbudowany został.

Trzystu męczenników.

Roku 484 wybrali Aryanie, którzy Bóstwu P. Jezusa przeczyli, pewnego Aryanina na biskupa w mieście Typazus w Maurytanii. Katolicy nie chcieli go uznać za biskupa, a skoro ich do tego zmuszano, uciekli po większej części do Hiszpanii. Pozostali, a było ich trzystu, nie chcieli brać udziału w nabożeństwie heretyckiem, lecz w domu prywatnym się zbierali dla oddania czci Boskiej Jezusowi Chrystusowi.

Doniesiono o tem Hunnerykowi, okrutnemu królowi Wandalów, który też natychmiast wydał rozkaz, aby tym upartym, jak ich nazywał, na rynku, jeśli nie zaprzeczą Bóstwa Chrystusowi, języki powyrywać i prawe ręce poucinać. Ponieważ zaś rozkazu wypełnić nie chcieli, wykonano na nich straszliwy ów wyrok — ale dziwna rzecz! Wszyscy mówili bez języków tak wyraźnie, jakby mieli języki i wyznawali Bóstwo Jezusa!

— Kto temu nie wierzy — pisze Wiktor z Wity, niech się uda do Konstantynopola: znajdzie tam jednego subdyakona z pomiędzy owych trzystu męczenników, imieniem

Reparata, który bez trudności i wyraźnie bez języka mówi wszystko, co chce. Doznaje też szczególniejszej czci na dworze cesarza Zenona.

Eneasz z Gazy, filozof platoński, żyjący około roku 533 i właśnie w tym czasie, gdy niektórzy z owych męczenników do Konstantynopola się schronili, zapewnia:

— Widziałem ich na własne oczy moje i słyszałem ich na własne uszy moje, i bardzo się dziwiłem, jak mógł ich głos, bez języka, być tak jasny i wyraźny. Ponieważ własnym uszom nie dowierzałem, wziąłem oczy moje na świadectwo; chciałem zbadać przyrząd ich mowy i kazałem im usta otworzyć—i ujrzałem, że język ich aż do samego korzenia był wyrwany. Zdumiewałem się nietylko nad tem, że mówią—lecz i nad tem, że aż dotychczas żyć potrafili.

Prokop z Cezarei, senator z czasów cesarza Justyniana, mówi:

— Król Hunneryk kazał wielu język z gardła wydrzeć. Którzy się za moich czasów w Konstantynopolu znajdowali, dokładnie mówili, i żadnej niewygody z powodu utraty języka nie czuli.

Marcelin, kanclerz Justyniana pisze:

— Widziałem w Konstantynopolu kilku z gromady owych wiernych, którzy mieli jedną rękę uciętą i język wyrwany—a którzy pomimo to wybornie mówili. Jeden mło-

dzieniec niemo narodzony, skoro mu język wydarto, natychmiast począł mówić.

Wreszcie sam cesarz Justynian świadczy:

— Widzieliśmy tych czcigodnych mężów, którym języki aż do korzenia wydarto; którzy jednak męczeństwo swe, litość wzbudzające, sami opowiadali.

Spis rzeczy zeszytu siódmego.

Jezus Chrystus jest Bogiem.

	Str.
Piękność i postać Jezusa	193
Cudowny obraz Chrystusa	197
Jezus, imię niezbędne	199
Pochwalony Jezus Chrystus	203
Najpiękniejsze pozdrowienie	204
Julian pobożny młodzieniec	205
Baron Binder Kriegelstein	206
Napoleon I	215
Święta Marcina	217
Trzystu męczenników	222

IMPRIMATUR

(L. S.) In absentia;

Cracoviae die 13 Junii 1888. *Scipio V. G.*

Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J. w Krakowie, w drukarni A. Koziańskiego.

Jezus Chrystus począł się z Ducha świętego.

Te słowa znaczą, że Jezus Chrystus nieprzestając być Bogiem, za sprawą Ducha świętego w najczystszem i niepokalanem łonie Najśw. Panny przyjął ciało i duszę ludzką. W Chrystusie Panu jest jedna Boska osoba, złączona z ludzką naturą. Nie ma przeto w Chrystusie osoby ludzkiej — tylko Boska; ale są w Chrystusie dwie natury: Boska i ludzka; i dwie wole: Boska i ludzka. Najśw. Panna stawszy się matką tego, który jest Bogiem, słusznie zowie się i jest matką Boga, choć nie zrodziła Bóstwa, lecz tego, który jest prawdziwym Bogiem.

Piękne porównanie.

Święty Augustyn chcąc swoim słuchaczom wyjaśnić, jakim sposobem wszystkie trzy osoby Trójcy Przenajświętszej działały w tajemnicy Wcielenia Syna Bożego, użył następującego podobieństwa:

„Spojrzyj na cytrę i słuchaj, jak słodkiemi głosy wdzięczną harmonię wydaje! Trzy rzeczy tu spostrzegasz: sztukę grającego, rękę i strunę; a jednak słyszysz tylko sam dźwięk.

Sztuka tworzy, ręka porusza, struna dźwięczy. Trzy rzeczy razem działają — ale sama struna dźwięczy aby być słyszaną. Ani sztuka, ani ręka tonu nie wydaje — ale ze struną wespół działają. Podobnie też ani Ojciec, ani Duch święty ciała nie przyjęli, a jednak wraz z Synem działają. Ton tylko struna wydaje; Chrystus sam przyjął ciało ludzkie, choć wszystkie trzy osoby współdziałały — ale jako wydanie dźwięku tylko do struny należy, tak do samego Chrystusa należy przyjęcie ciała ludzkiego.“

W Chrystusie są dwie natury: Boska i ludzka.

W roku 446 panowała w Konstantynopolu wielka radość. Teodozy II, wybrał osobliwie za staraniem świątobliwej swej siostry Pulcheryi, w miejsce zmarłego patryarchy Prokla, dzielnego i świątobliwego Flawiana. Takiego patryarchy było właśnie potrzeba na on czas burzliwy na Wschodzie.

Według przyjętego zwyczaju, nowo obrany książę Kościoła posyłał cesarzowi tak zwane eulogie, tj. poświęcane chleby, jako znamię chrześcijańskiej miłości i zgody. Cesarz był tym darem bardzo ucieszony; lecz jego łakomy minister Chryzapiusz nie był z tego zadowolony, i dlatego naprzód grzecznemi słowy, a następnie w tonie rozkazującym kazał oświadczyć patryarsze, że te chleby

powinny być ze złota. Flawian śmiało odpowiedział:

— Srebra i złota nie mam; skarb kościelny nie do mnie należy, lecz przeznaczony jest na służbę Bożą i utrzymanie ubogich, i nie godzi się go używać na podarunki dla bogatych.

Słowa te do żywego ubodły dumnego ministra i pobudziły jego łakomstwo do zemsty, do której mu krewny jego Eutyches wkrótce podał sposobność. Ten Eutyches dostał się przez swe gładkie obejście i udaną pobożność, a mianowicie przez zabiegi wszechwładnego Chryzapiusza, na godność opata w pewnym klasztorze koło Konstantynopola, który zamieszkiwało 300 mnichów. Chociaż był dość ograniczony, chciał jednak w sporze z Nestoryuszem, który zaprzeczał w Chrystusie *jedności osoby*, błyszczeć jako przeciwnik. Ale w swej gwałtowności i dumnym uporze posunął się tak daleko, że wpadł w błąd przeciwny i w Chrystusie *dwoistość natury* zaprzeczył. Twierdził on, że w Chrystusie ludzka natura tak dalece od Boskiej natury została pochłonięta, że tylko Boska w Nim natura została, że Jezus Chrystus tylko jako Bóg ucierpiał i na krzyżu umarł; że wreszcie nie rzeczywiście, lecz tylko pozornie był człowiekiem.

Ta bezrozumna nauka, pochodząca od sędziwego i poważanego opata, wkrótce zy-

skała sobie stronników, boć zawsze znajdą się ludzie, co raczej kłamcy od początku, jak Bogu uwierzą.

Flawian poznał odrazu wilka w owczej skórze i napady jego na swą trzodę; walczył przeciw niemu nasamprzód bronią miłości i braterskiego upomnienia, broniąc zarazem swą trzodę od jadowitej paszy przez kazania. Lecz starania jego odbiły się jakby o skałę o upór Eutychesa. Zgromadził zatem synod do Konstantynopola, na który się zebrało 33 biskupów i 23 opatów. Rozkazał zbadać tę naukę i zawezwał Eutychesa do wytłómaczenia się, skoro ją uznano za kacerską. Eutyches oświadczył w swej zarozumiałości, że w Chrystusie jednę tylko naturę uznaje, że od tego synodu żadnego pouczenia nie przyjmuje i przy swem zdaniu obstaje.

Jakoż synod ogłosił, że nauka ta jest fałszywa i bezbożna, Eutychesa odsądził od godności opata i wykluczył go z Kościoła. Flawian doniósł o całej tej sprawie Papieżowi Leonowi I do Rzymu; ale i Eutyches podstępny list napisał do tegoż, uskarżając się na niesprawiedliwość mu wyrządzoną. Papież pochwalił w osobnym liście postępowanie Flawiana, a potępił herezyę Eutychesa temi słowy:

„Pod Wcieleniem Jezusa Chrystusa rozumiemy tę tajemnicę wiary, przez którą wy-

znajemy, że Syn Boży przyjął naturę ludzką i złączył ją z Boską swoją osobą w jednę osobę Bożą. Kościół święty wyznaje mocno i wytrwale *dwie natury* w Chrystusie, tak, aby wierzono, iż ten sam Chrystus jest zarazem jednorodzonym Synem Bożym i Synem człowieczym, bo jedno bez drugiego jest niepożyteczne do zbawienia; i zarówno niebezpiecznym jest błędem wierzyć, że Jezus Chrystus jest *tylko Bogiem*, a nie jest człowiekiem, jako też, że jest *tylko człowiekiem*, a nie jest zarazem i Bogiem.“

Eutyches postąpił sobie jak wszyscy sekciarze: łżył Papieża i patryarchów i żebrał pomocy władzy świeckiej. Wszechwładny Chryzapiusz z radością powitał tę sposobność, by na znienawidzonym Flawianie zemstę swą wywrzeć. Jakoż udało mu się z łatwością pozyskać dla swych niecnych celów Dyoskora, patryarchę Aleksandryjskiego, wraz z kilkoma biskupami Egiptu, a nadto niegodziwą cesarzowę Eudoksyę i cesarza Teodozego II, który bez prawa i władzy zwołał synod do Efezu, na którym nie Flawian, lecz Dyoskor przewodniczył, a nawet Papieża nań zaprosił.

Dnia 7 Sierpnia 449 roku zebrał się synod. Eutychesa, który w otoczeniu wojska cesarskiego przybył, uznano niewinnym herezyi — a Flawiana złożono z urzędu. Nie zważano na silną protestacyę posłów papie-

skich, ani na usilne prośby kilku biskupów, aby niesprawiedliwy wyrok na Flawiana cofnięto. Dyoskor powstał i krzyknął namiętnie:

— Żołnierze tu!

Drzwi kościoła nagle się otwarły — żołnierze z dobytemi mieczami wpadli i zmusili biskupów, aby podpisali uwolnienie Eutychesa i złożenie Flawiana.

Posłowie papiescy byli nieugięci; jednego z nich wtrącono do więzienia, drugi ratował się ucieczką. Na Flawiana rzucił się sam Dyoskor, powalił go na ziemię, deptał go nogami, bił pięściami po twarzy i rozkazał krwią zbroczonego z kościoła zawlec do więzienia.

Na drugi dzień wysłano Flawiana na wygnanie do Lidyi; ale jeszcze w drodze umarł tenże wskutek ran odebranych w rękach straży 11 Sierpnia 449 r.

Okrucieństwa te otworzyły oczy cesarzowi, tak, że umarł ze zgryzoty; następca jego Marcyan, skazał Chryzapiusza na śmierć, wygnał Eudoksyę do Jeruzalem i pomógł Papieżowi do zwołania synodu powszechnego do Chalcedonu 451 roku. Bezbożnego Dyoskora złożono z urzędu, wykluczono Eutychesa z Kościoła, a Flawiana uznano jako męczennika za prawdziwą wiarę i sprowadzono jego zwłoki do Konstantynopola, gdzie je uroczyście w kościele Apostołów złożono.

Zawstydzony heretyk.

Eutyches, jak się w poprzednim ustępie mówiło, nauczał, że w Jezusie Chrystusie jest tylko *jedna natura,* twierdząc, jakoby ludzka natura tak się zlała z Boską naturą w Chrystusie, iż się w niej zupełnie rozpłynęła — podobnie jak kropla miodu ginie w morzu, lub grudka wosku niszczeje w ogniu. Choć tę herezyę sobór w Chalcedonie potępił, miała ona jednak wielu wyznawców i obrońców.

Pewien zwolennik Eutychesa znajdował się w jakiemś towarzystwie i bronił tej fałszywej nauki, że w Chrystusie znajduje się tylko *jedna* z bóstwa i człowieczeństwa złożona *natura.* Chcąc swe twierdzenie uzmysłowić, kazał sobie przynieść dwa pręty żelazne i rozpaliwszy je w ogniu, połączył je w jednę całość.

— Podobnie, rzekł, tworzą w Chrystusie złączone natury: Boska i ludzka, jednę naturę w Jego osobie.

Na szczęście, był w towarzystwie owem pewien chłopczyna, który dobrze pamiętał to, czego się nauczył w katechiźmie. Pełen odwagi wystąpił naprzód i rzekł do obrońcy fałszu:

— Bardzo się mylisz, mój przyjacielu! Jeśli bierzesz żelazo za znamię ludzkiej na-

tury, to musisz przecież *złoto* uważać za symbol bóstwa; bo tylko najszlachetniejszy metal może być słabym obrazem Boskiego majestatu. Weź więc zamiast jednego pręta żelaznego, pręt złoty, rozpal oba i uczyń z nich jeden. Pytam się więc, czy ten spojony pręt będzie całkiem złoty, czy całkiem żelazny? Czy nie zostanie każdy pręt tem, czem był przedtem? Tak się ma rzecz, kończył chłopczyna z Jezusem Chrystusem. Są w Nim w rzeczy samej, *dwie natury;* Boska i ludzka — ale tak są z sobą złączone, że nie stanowią dwu osób, tylko jednę osobę; jednak nie rozpłynęło się człowieczeństwo w Bóstwie — ale obie natury doskonale różnią się od siebie.

Zwolennik Eutychesa, który się nie spodziewał takiej odpowiedzi, osłupiał i zamilkł.

Święty domek w Nazarecie.

(zwany „Domkiem Loretańskim").

Co to jest Domek Loretański, skąd pochodzi ta nazwa i jakie przechodził koleje, o tem możemy się dowiedzieć z dokładnego i wdzięcznego opowiadania O. Horacyusza Tursellina, pod tyt.: „Dzieje Loretańskie."

Dom, w którym Najświętsza Panna przyszła na świat i w którym się wychowała, gdzie się stała matką Syna Bożego, gdzie tak długo mieszkała z Jezusem i Józefem,

doznawał już w pierwszych czasach chrześcijaństwa wielkiej czci i poszanowania.

Nicefor opowiada, że Apostołowie go poświęcili; że swięta Helena, matka cesarza Konstantyna, wzniosła nad nim wspaniały kościół; że ludy Azyi, Afryki i Europy odbywały tu częste pielgrzymki, by odwiedzić i uczcić święte to miejsce, gdzie Archanioł Gabryel, posłany od Boga, zwiastował ludom radosną nowinę zbawienia.

Aż do roku 1291 pozostał domek ten w Nazarecie; ale właśnie w tym roku zdarzyło się, że Ptolomaida, ostatnia warownia chrześcijańska na Wschodzie, wpadła w moc sułtana egipskiego, a cała Palestyna została wkrótce zalana mahometanami, którzy burzyli klasztory, równali z ziemią kościoły i dopuszczali się największych nadużyć i okrucieństw względem biednej ludności chrześcijańskiej.

Ponieważ w podobnym stanie rzeczy nie można było świętemu domkowi oddawać należnej mu czci i uszanowania, przeto, według opowiadania naocznych, czcigodnych świadków, domek ten został w tymże samym roku przeniesiony przez Aniołów z Nazaretu do Dalmacyi, na górę między miastami: Teozas i Tiano. Ztąd przeniosło się święte to mieszkanie dnia 10 Grudnia 1294 do Włoch, do marchii Ankońskiej i tu zatrzymało się w okolicy lesistej, niedaleko

miasteczka Rekanatti. Posiadłość, na którą spuścił się święty domek, należała do bogatej i bardzo pobożnej matrony, Lauretty. Chociaż domek ten tu nie został, to jednak zatrzymał nazwę Lauretta (Loretto), równie jak i miasto, które przy nim z czasem powstało.

W ośm miesięcy potem, tj. 1295 r. posunął się ten domek o tysiąc kroków dalej, na pobliski pagórek, ponieważ zbytnia obfitość drzew utrudniała bardzo przystęp do niego. Właścicielami tegoż pagórka byli dwaj bracia. Ci ucieszyli się niewymownie — ale nie z tego, że będą w posiadaniu ubogiej własności Maryi, lecz że będą mogli zebrać wielkie bogactwa. Dlatego też utracili ten niebieski podarunek. Domek oddalił się znów na odległość tysiąca kroków ku morzu i osiadł na pagórku, gdzie dotąd jeszcze pozostaje.

Chociaż wiara w to cudowne przeniesienie nie jest koniecznym warunkiem do zbawienia chrześcijan katolików, to jednak nie powinno być przedmiotem bezbożnych drwinek i wyszydzań.

Nie należy nam zapominać, że Papież Juliusz II, na podstawie niezbitych świadectw i wiarogodnych wiadomości, potwierdził wyraźnie podanie o temże przeniesieniu. Toż samo uczynili Papieże: Paweł III i Pius V; zaś Innocenty XII ustanowił oso-

bne święto, a mianowicie święto Przeniesienia św. domku Loretańskiego, które Kościół co roku 10 grudnia obchodzi.

We współczesnych rocznikach, przy sposobności zaprowadzenia święta tego, czytamy co następuje:

„Domek, w którym się urodziła Najśw. Panna i który został uświęcony tylu Boskiemi tajemnicami, został za Ojca świętego Celestyna V przeniesiony przez Aniołów z państwa niewiernych naprzód do Dalmacyi, a następnie do marchii Ankońskiej na pole Loretańskie. Jako dowód, że domek ten jest istotnie tym samym, w którym *Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami*, służą tak papieskie patenta i uroczyste oddawanie czci i uwielbienia świata całego, jakoteż i liczne cuda, dary i łaski niebieskie.“

Od czasu cudownego tego zdarzenia współubiegali się Papieże, by uczcić należycie ten święty zabytek. Pokryto go na zewnątrz marmurem i wystawiono nad nim wspaniały kościół, który Papież Sykstus V podniósł do rzędu katedry czyli tumu. W krótkim czasie widziano tam największe arcydzieła, znakomite obrazy i rzeźby najsłynniejszych artystów — a skarby kościelne, tam się mieszczące, zaliczają się do najcenniejszych we Włoszech, a może i w całem chrześcijaństwie.

Cesarze, królowie i książęta odwiedzali to

święte miejsce, a wspaniałe dary, które bądź to osobiście składali, bądź też posyłali, są najoczywistszym dowodem uwielbienia ich i czci ku Maryi. Wewnątrz wspaniałego kościoła wznosi się święty domek, po bokach którego zwiesza się 33 wiecznych lamp — domek ten ma kształt podłużnego kwadratu, długość jego wynosi 30 stóp, szerokość 15, a wysokość 18 stóp. Zbudowany jest z cegieł niejednakowej wielkości i z drzewa hebanowego, a zewnątrz pokryty białym marmurem. Do przedniej, węższej ściany przytyka ołtarz, ponad którym widać zakratowane, czworokątne okienko w św. domku; ponad niem znajduje się piękna płaskorzeźba z marmuru, przedstawiająca scenę Pozdrowienia Anielskiego, dla uczczenia podania, które mówi, że tem właśnie okienkiem przyniósł Anioł Boży Najświętszej Pannie poselstwo z nieba. W północnej dłuższej ścianie mieszczą się drzwi, prowadzące do środka, położone naprzeciwko drzwi znajdujących się w ścianie południowej. Przez drugie drzwi znajdujące się w ścianie północnej, wychodzi się na płaski dach. Zewnętrzne ściany wyłożone są rzeźbami z marmuru kararyjskiego. Wewnątrz znajduje się pierwotny mur — a w nim, w zachodniej węższej ścianie mieści się owo zakratowane okienko, wychodzące na kościół. Stanąwszy do tej ściany plecami, mamy przed sobą ołtarz,

przybrany kosztownemi świecznikami i wazonami, w którego głębi umieszczony jest obraz Matki Boskiej, w bogatej, wspaniałej szacie, dochodzącej tylko do szyi obu tych świętych postaci — po obu stronach ołtarza wiszą wieczne lampy.

Według legendy, obraz ten ma być utworem świętego Łukasza Ewangielisty, z drzewa cedrowego i miał być przyniesionym do Loretto przez Aniołów razem z świętym domkiem. Dzieciątko Jezus spoczywa na lewej ręce Najświętszej Panny; w lewej rączce trzyma kulę, przedstawiającą świat — a paluszki prawej rączki podnosi, by błogosławić; wysokość statuy wynosi trzy stopy niespełna.

Początkowo barwa twarzy zbliżała się do srebrzystej; jednak wskutek dymu ze światła wiecznie tu płonącego, stała się czarną od dawna. Przestrzeń między ołtarzem, o którym mówi legenda, że go mieli wystawić Apostołowie własnemi rękami i że święty Piotr miał pierwszą Mszę świętą na nim odprawiać — a wschodnią ścianą zajmuje mały, wąski pokoik, obity złotą blachą, który mieści w sobie komin świętego domku. Tu przechowuje się także mała miseczka, zasypana całkiem złotem i drogiemi kamieniami, która według odwiecznej tradycyi, była własnością Przenajświętszej Rodziny. W tę to miseczkę kładą wszystkie owe różańce, obrazki, dzwonki

itd., które z Loretto rozsyłają do wszystkich krajów katolickiego świata i na które przez to spływają różne odpusty nadane i zatwierdzone przez Stolicę świętą.

Obok innych osobliwości odnoszących się do domowego życia Maryi, pokazują na prawo od ołtarza miejsce, na którem miała klęczeć Najświętsza Panna w chwili, gdy Archanioł oznajmiał Jej wielką tajemnicę Wcielenia.

Wotum Papieża Piusa II.

Na Stolicę Apostolską wstąpił w r. 1458 Eneasz Sylwiusz Piccolomini z Sieny, pod imieniem Piusa II. Wobec wielkiego niebezpieczeństwa zagrażającego chrześcijaństwu ze strony Turków, zawezwał Papież różnych chrześcijańskich monarchów, by wyruszyli przeciwko nim, a miasto Ankona było przeznaczone za punkt zborny dla tych, którzyby usłuchali jego wezwania.

Było to w szóstym roku jego panowania; w mieście owem zebrały się już liczne zastępy wojsk, i obecność Papieża była tu niezbędnie potrzebną, by wyruszyć w pole. Na nieszczęście jednak popadł Pius w długą i niebezpieczną chorobę, a lekarze uważali go już za straconego. W tej dolegliwości dręczony najstraszniejszą maligną i kaszlem, ucieka się dostojny chory pod opiekę Matki

Boskiej Loretańskiej i prosi Ją o wyjednanie mu łaski, by mógł udać się w podróż do Ankony. Ślubował, że odprawi pielgrzymkę do Loretto i kazał zaraz sporządzić szczerozłoty kielich z następującym napisem:

„Najłaskawsza Boża Rodzicielko! chociaż moc Twoja nie zna żadnych granic, i cały świat cudami swemi napełniasz, to jednak wiem, że jedno miejsce przekładasz nad drugie, i że w Loretto moc swoją szczególniejszym sposobem objawiasz. Oto ja, biedny grzesznik, błagam Cię najpokorniej ustami i sercem, byś mnie łaskawie od trawiącej mnie gorączki i uporczywego kaszlu wyzwoliła i chorym członkom moim dla szczęścia państwa zdrowie przywróciła! Tymczasem racz przyjąć dar niniejszy, jako zakład mej uniżoności. Pius II Papież, 1464.“

Zaledwie Pius ślub swój wypełnił, gdy naraz uczuł się zdrowszym i kazał czynić przygotowania do podróży do Ankony. Udał się w drogę — ale najprzód zamierzał wstąpić do Loretto, i im bliżej był tego miejsca, tem się czuł rzeźwiejszym — a gdy stanął przed cudownym obrazem, wtedy uczuł się zupełnie wolnym od wszelkich dolegliwości. Ztąd udał się do Ankony, gdzie go z niesłychaną radością przyjęto. Cud ten wielce się przyczynił do wsławienia pielgrzymek loretańskich.

Jezus Chrystus narodził się z Maryi Panny.

Jaskinia w Betleem, w której się narodził Jezus Chrystus.

Wiarogodnemi istotnie są twierdzenia pisarzy Kościoła św. z pierwszych wieków chrześcijaństwa, które mówią, że ową stajenką, w której się Jezus Chrystus narodził, była grota, czyli jaskinia, w pobliżu miasteczka położona. W obszerne takie jaskinie obfitowała ziemia święta; w czasie zimna lub niepogody wpędzano tu trzody i wtedy stanowiły one istotną stajenkę. Betleem leżało na górze i było otoczone urodzajnemi pagórkami i dolinami. Było tam dużo pastuszków, strzegących trzód swych w nocy. Klimat tamtejszy jest i w Grudniu, kiedy to właśnie, według najdawniejszej tradycyi Chrystus się narodził, tak łagodny, że trzody mogły być na polu we dnie i w nocy.

W takiej więc jaskini, niedaleko od Betleem, która służyła pastuszkom i bydłu za schronienie, przyszedł Jezus Chrystus na świat o północy i położony został w żłóbku przez matkę swoją Maryę — jak to tkliwie

wyrażają owe prześliczne kolędy i pastorałki nasze np.:

Narodził się Jezus w stajni ubogiej,
Uniżył Majestat, chociaż Pan srogi —
Będąc Synem Najwyższego,
Nie miał miejsca godniejszego,
Swojej osobie.

Jaskinię tę, w której się Zbawiciel narodził, otaczano zawsze szczególniejszą czcią i pobożnem poszanowaniem. Nawet poganie odwiedzali to miejsce z należytym szacunkiem i mawiali:

— Oto miejsce gdzie Bogu chrześcijan podobało się narodzić!

Origenes, żyjący w drugim wieku po Chrystusie, był osobiście w Betleem i tak się wyraża w dziele swem przeciw Celsusowi:

— Pokazują w Betleem jaskinię, w której się Pan Jezus narodził, a w niej żłóbek, gdzie leżał w pieluszkach.

Wiadomo to powszechnie nawet i tym, którzy nie są naszej wiary, mówią oni:

— W tej jaskini urodził się Jezus, czczony i uwielbiany od chrześcijan.

Inny znów pisarz kościelny, Euzebiusz, który także był w Betleem, opowiada w biografii cesarza Konstantyna, że Helena święta matka tego pierwszego chrześcijańskiego cesarza, kazała wystawić wspaniały kościół nad tą świętą grotą.

Cesarz Adryan wystawił wprawdzie z nie-

nawiści ku chrześcijanom świątynię pogańską nad miejscem urodzenia Pańskiego — ale Helena kazała ją zburzyć do szczętu, przyozdobiła pięknie jaskinię i wzniosła nad nią ów wspaniały kościół. Kościół ten upiększał cesarz Justynian, a po nim i inni wierni chrześcijanie, tak, że i dzisiaj należy jeszcze do najpiękniejszych i najwspanialszych kościołów w Ziemi świętej. Jest to rozległy i obszerny budynek, spoczywający na czterech rzędach słupów z czerwonego marmuru — każdy rząd składa się z jedenastu słupów: ściany i sklepienie są złocone i pokryte pięknem, kunsztownem malowaniem. Naokoło tego kościoła wybudowano różnemi czasy wiele klasztorów — dziś jeszcze wznosi się ich trzy, jeden przy drugim.

Grota Bożego narodzenia jest 40 stóp głęboką, a 10 stóp szeroką, z bardzo wąskim otworem, służącym do wejścia. Im dalej w głąb, tem bardziej zwęża się grota. By podeprzeć sklepienie, umieszczono w niej trzy porfirowe słupy, w samym środku znajduje się rodzaj framugi, przedzielonej ołtarzem, gdzie się odprawia Msza święta; ołtarz ten jest oświecony 35 lampami, z których najpiękniejsza jest darem Ludwika XIII, króla Francyi. W tem to zagłębieniu miała Marya, według tradycyi, porodzić Syna Bożego. Miejsce to jest pokryte marmurem, który wyłożony jest jaspisem i otoczony

srebrną obwódką w kształcie słońca. W koło tegoż znajduje się następujący napis: „Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est.“ „Tu narodził się Jezus Chrystus z Maryi Dziewicy.“

Miejscowość ta leży na południe od miasta Betleem, niespełna 200 kroków od niego.

Miejsca godne uwagi w pobliżu groty Bożego Narodzenia.

Dla uzupełnienia powyższego opisu miejsca urodzenia Pana Jezusa, umieszczamy jeszcze kilka szczegółów, zaczerpniętych z opowiadania Dominikanina Feliksa Fabri, który w roku 1480 odbył pielgrzymkę do Ziemi świętej. Oto słowa jego:

Przypatrzywszy się dokładnie żłóbkowi świętemu, zwróciliśmy się w stronę ołtarza, który się wznosi o dwa lub trzy kroki od tegoż. Stoi on w miejscu, gdzie siedziała Najświętsza Panna trzymając Dzieciątko Jezus na łonie, w chwili, gdy weszli trzej Królowie, by złożyć swe dary. I my upadliśmy tu na twarz razem z trzema Królami i ofiarowaliśmy Chrystusowi Panu samych siebie w darze, śpiewając hymn o trzech Królach i inne modlitwy.

Z jaką czcią Królowie ci pozdrowili i dary swe Dzieciątku złożyli, opowiada Mateusz święty w rozdziale II. Trzeba też wiedzieć,

że dary te oprócz mistycznego swego znaczenia, miały też znaczną wartość. Jak bowiem wieść niesie, ofiarował pierwszy z nich Melchior pewną ilość złotej monety i kawałek złota, który można było objąć ręką. Według podania, złoto to miał stopić Aleksander Wielki ze wszystkiego złota, jakie mu składały na znak poddaństwa wszystkie narody, zawojowane przez niego i miał uważać kawałek ten jako talizman i godło władzy. Talizman ten dostał się państwu arabskiemu. Gdy jednak Melchior kawałek ten włożył Dzieciątku Jezus do rączki, tenże zamienił się natychmiast w popiół, aby wiedziano, że królestwo Chrystusowe nie jest z tego świata, jak to czytamy u Jana w rozdziale XVIII. Król ten miał też przynieść Jezusowi 30 srebrników, za które Go później sprzedano. Drugi, Baltazar, król Saby, ofiarował Dzieciątku kosztowne kadzidło. Trzeci zaś Kaspar, król Etyopii, ofiarował drogocenną mirrę. Niektórzy zaś utrzymują, że każdy z nich wszystko to od siebie ofiarował.

Ofiarowawszy i my w świętem tem miejscu ofiarowania, na co nas stać było, zeszliśmy do końca tej groty i doszliśmy w rogu lewej strony do małego otworu, pod którym rozciąga się głęboka cysterna; z powodu jednak budynku wzniesionego po nad nią, nie można czerpać z niej wody. Krąży

podanie, że w tej studzience zatonęła gwiazda, prowadząca trzech Króli, i że spełniwszy swe zadanie, zamieniła się w wodę.

Jak pisze św. Grzegorz, biskup z Tours, współczesny Papieża Grzegorza, miała Najświętsza Panna ze studzienki tej czerpać wodę — a zdarzało się nieraz, że ci, którzy tu z pobożnem sercem zaglądali, widzieli tę gwiazdę, poruszającą się trybem wszystkich gwiazd krążących po niebie, od jednej strony studzienki do drugiej.

Obok otworu cysterny znajdują się drzwi, któremi weszliśmy do drugiej jaskini, uświęconej tem, że Najświętsza Panna przemieszkiwała w niej czas niejaki. Krąży bowiem podanie, że po hołdzie pastuszków i przybyciu trzech króli, przyszło wielu z Jeruzalem by oddać cześć Dziecięciu i Matce jego w jaskini. Widząc to Najświętsza Panna, schroniła się z obawy przed Herodem do tej drugiej tylnej groty i tu mieszkała w ukryciu. W pośpiechu jednak zostawiła w przedniej grocie długą, powłóczystą spodnią szatę, jaką zwykle noszą w tamtych stronach kobiety zamężne. Pozostały tam również i pieluszki, w które najpierw owinęła Dziecię — kamień, który mu podłożyła pod główkę, i siano, na którem leżało. Wszystko to zostało w żłóbku i przechowało się w całości aż do czasu, w którym je tam święta Helena znalazła.

W tej drugiej jaskini była skała, na której siadywała Najświętsza Panna, karmiąc Dzieciątko. Ze skały tej wydobywa się ciecz, którą nazywają mlekiem Najświętszej Panny; ciecz ta jest barwy mleczno białej, z przymieszką czerwonej i nie można jej zatamować. Pielgrzymi podstawiają pod nią kubki i chwytają spadające krople, unosząc je w dalekie strony, za morza, góry i lasy — i mówią, że to jest mleko Najświętszej Panny.

Do tej groty przytyka trzecia, do której wrzucano ciała niewinnych dziatek, które Heród kazał wymordować.

Żłóbek, w którym leżało Dzieciątko Jezus.

Kolebkę Zbawiciela, to jest ów żłóbek ze stajenki Betleemskiej, w którym Zbawiciel świata jako dziecię nowonarodzone leżał, przechowywano długo w Betleem i wiadomem jest, że święty Hieronim, święta Paula i inni oddawali wielką cześć temu świętemu zabytkowi. Następnie żłóbek ten, razem z kilku kamieniami pochodzącemi ze skały w grocie Betleemskiej, ze szczyptą siana, służącą za posłanie Dzieciątku, przywieziono do Rzymu, jako stolicy chrześcijaństwa. Kiedy przeniesienie to nastąpiło, o tem są dwa różne zdania. Według pierwszego z nich, pochodzącego z bardzo dawnych czasów, miał żłóbek

ten przybyć do Rzymu już w roku 352. Jednak uczony Papież Benedykt XIV wykazał, że przybył tamże dopiero w VII wieku, to jest właśnie w czasie, kiody Saraceni zajęli Jerozolimę i wszystkie święte miejsca przez niesłychane występki i bezbożność bezcześcili, co się wydarzyło w r. 635.

Zgodnie z tem, pisze sławny dziejopis kardynał Baroniusz, w tymże samym 635 r., jako pewnemu pobożnemu mnichowi w Betleem ukazał się był we śnie po trzykroć święty Hieronim, pochowany tamże od roku 420, i polecił mu, by po relikwiach świętego żłobu, i jego kości przeniesiono do Rzymu, co też istotnie nastąpiło.

Jak i gdzie przechowuje się teraz święty żłóbek i jakiej czci doznaje, o tem dowiemy się najlepiej z opowiadania pewnego pobożnego pielgrzyma, który przed rokiem 1856 bawił dłuższy czas w Rzymie, i jako naoczny świadek, tak opisuje:

Żłóbek Chrystusa Pana jest niezaprzeczenie jedną z najpiękniejszych i najcenniejszych relikwii rodziny chrześcijańskiej. Przechowany jest w kościele Najświętszej Panny Śnieżnej, zwanym także pod nazwiskiem Maryi Większej (Maria Maggiore).

Na prawo od wielkiego ołtarza znajduje się w tymże kościele piękna i wielka kaplica, jedna z pierwszych kaplic świata chrześcijańskiego. Sykstus V zbudował ją około

roku 1586 na cześć żłóbka Zbawiciela, zkąd też ma nazwę „Kaplicy żłobu.“ W środku jej wznosi się wprost pod kopułą kosztowny ołtarz, przeznaczony na przechowanie Najświętszego Sakramentu; od tego ołtarza prowadzi dwoje kamiennych schodów do drugiej mniejszej kaplicy, którą wspomniany Papież kazał był przenieść tutaj z pierwotnego miejsca, zręcznemu swemu mechanikowi Fontanie. W ołtarzu tej kaplicy złożył kilka kawałków drzewa, pochodzących z prawdziwego żłobu Betleemskiego, jako relikwię. Tło ołtarza stanowi piękna, murowana płaskorzeźba, przedstawiająca nowonarodzone Dzieciątko w stajni, Maryę i Józefa i dwoje zwierząt, ogrzewających niemowlę swym oddechem; scena ta (obraz) wywiera na widza bardzo rzewne wrażenie.

Do kaplicy tej przytyka druga, znacznie mniejsza, w której jest przechowany „prawdziwy święty żłóbek“ — w szklannej, a jak inni twierdzą, w srebrnej skrzyni, w kosztownej oprawie, zamkniętej silną, grubo złoconą kratą żelazną. Odrobina siana ze żłobu, kawałek płótna, w który troskliwa matka Dziecię swe uwinęła, i kilka deszczułek z kolebki Zbawiciela, dopełniają cennej tej relikwii żłóbka i doznają od najdawniejszych czasów po dziś dzień, największej czci od całego świata chrześcijańskiego. Wszystkie te relikwie mieszczą się w owej skrzyni.

Znajduje się tam również srebrny obraz, przedstawiający małe dziecię.

Co roku na Boże Narodzenie przenoszą te relikwie w uroczystej procesyi, w asystencyi Biskupów, kapituły katedralnej, a nawet i Papieża na wielki ołtarz tego kościoła, gdzie przez trzy dni wystawione są na publiczną adoracyę. Pastuszkowie i królowie, młodzi i starzy, żebracy i książęta tłoczą się jak niegdyś w Betleem, z pobożnym zapałem do „Maria Maggiore“ i korzą się przed żłóbkiem Pana.“

Pieluszki, w które Jezus był owinięty.

Sławny i wiarogodny pisarz Stefan Montegaza, opowiada w swym opisie podróży do Jerozolimy o pieluszkach, w które Najświętsza Panna nowonarodzone Dzieciątko Jezus spowiła — co następuje:

„Pewien Arcybiskup Raguzy (nazwiska nie przytacza) zabrał z sobą pieluszki te z Jerozolimy i przywiózł do Dalmacyi, gdzie je podarował swej siostrze, która była przełożoną pewnego żeńskiego klasztoru w Raguzie. Ta przechowała z największą czcią drogą tę pamiątkę.

Wiadomość o tem rozeszła się wkrótce w chrześcijaństwie i niebawem zaczęły się zgłaszać różne znakomite osoby z prośbą o udzielenie im maleńkiego kawałeczka z tych

świętych pieluch, w które był spowity jako dziecię ten, który się stał zbawieniem i radością ludzi. Uwzględniono pobożne te żądania i odcinano po kawałku pieluszek, przywiezionych przez owego Arcybiskupa Raguzy, przyczem zauważono ze zdziwieniem, że ich nie ubywało pomimo obcinania, ani wzdłuż, ani wszerz.

Relikwia ta, pisze O. Abraham a Santa Clara, przechowuje się z wielką czcią w katedrze Raguzkiej; i od czasu do czasu można widzieć te święte pieluszki w naczyniu kryształowem, w którem leżą złożone, rozkładające i zwijające się same. Podobno i w innych miejscach mają się znajdować cząstki świętych pieluch, jak naprzykład w Rzymie w kościele Maria Maggiore przy świętym żłóbku, w Paryżu od roku 1247, w Akwizgranie itd.

Przykłady uczczenia żłóbka świętego.

Święty Hieronim. Wiadomo, jak serdecznie miłował wielki ten Święty Betleem i żłóbek Jezusowy. Chociaż sława jego uczoności brzmiała od Renu aż do Jordanu, a nauce jego i cnocie oddawano w największych miastach Europy i Azyi, a nawet i w Rzymie od Papieży, najświetniejsze uznanie — to jednak pobożne serce jego zwracało się z utęsknieniem ku małemu, cichemu Betleem. Tam

też żył w ciszy klasztoru wystawionego przez siebie w pobliżu żłóbka świętego — aby, jak sam mawiał: „w cichej celi opłakiwać grzechy swe i oczekiwać na wielki ów dzień sądu“.

Pobożne to jego życzenie zostało spełnionem; kości jego spoczęły w Betleem obok żłóbka, a później udały się za ukochanym żłóbkiem do Rzymu i spoczywają tam w pobliżu niego, a zatem przy żłóbku, czego tak pragnął — oczekując na wielki dzień zmartwychwstania.

Święta księżniczka Paula. Pobożna ta służebnica Pańska przybyła z Rzymu, by odwiedzić święty żłóbek w Betleem. Gdy weszła do jaskini, w której się Chrystus narodził i ujrzała święte to miejsce — wtedy zaręczała, iż oczami wiary widziała Dzieciątko spowite w pieluszki, Jezusa w postaci dziecięcia płaczącego w żłóbku.

— Tak więc dostąpiłam niegodna, zaszczytu — zawołała wzruszona — że mogłam ucałować żłóbek, w którym Zbawiciel mój spoczywał i modlić się w tej jaskini, w której narodził się z Dziewicy Przeczystej! Tutaj będzie odtąd łoże moje, albowiem tu jest ojczyzna Pana — tutaj będę mieszkać, albowiem Zbawiciel mój miejsce to wybrał sobie nad inne!

I istotnie, tu sobie obrała mieszkanie —

i szlachetna ta latorośl domu Scypiona Afrykańskiego przeżyła tu 20 lat, wyrzekłszy się wszystkich wspaniałości Rzymu, aby uboga w duchu, iść za Panem, miłośnikiem ubóstwa.

Święty Kajetan z Tieny. Często klęczał ten Święty w maleńkiej kapliczce Żłóbka w kościele Najświętszej Panny (Maria Maggiore) w Rzymie przed tą świętą relikwią, modląc się z zapałem i zatopiony w rozważaniu nieskończonego dobrodziejstwa wcielenia Słowa Przedwiecznego. Tam gorzało serce jego w najgorętszej miłości do Boskiego Dzieciątka, a łzy świętego wzruszenia skrapiały często podłogę kapliczki.

Pewnego razu modląc się znów na tem miejscu w nocy Bożego Narodzenia, i gorejąc świętym płomieniem miłości, wpadł w zachwycenie i doznał niewysłowionego tego szczęścia, że trzymał Zbawiciela świata w postaci miluchnego dzieciątka w objęciach i przyciskał Go do serca. Pamięć tego Świętego i łaski, której dostąpił, uwiecznia piękna statua marmurowa, przedstawiająca go z Dzieciątkiem Jezus na ręce i napis na płycie marmurowej.

Święty Edmund. Jeszcze jako dziecię miłował ten Święty w niezwykły sposób maleńkiego Jezusa — a w miarę jak wzrastał w lata, wzrastała też w sercu jego głęboka

cześć i miłość do Jezusa w żłóbku leżącego. W każdej modlitwie, w każdem rozmyślaniu przenosił się myślą do stajenki Betleemskiej, a łagodny uśmiech był objawem radości, jaka mu serce napełniała; z rozjaśnionej zawsze mile twarzy jego można było czytać wyraźnie, że musiał być w ciągłym duchowym stosunku z lubem Dzieciątkiem Jezus.

Małgorzata Austryacka, królowa Hiszpańska. Pobożna ta księżniczka austryacka, małżonka Filipa III, króla hiszpańskiego, oddawała szczególniejszą cześć żłóbkowi Zbawiciela.

Kapituła katedralna kościoła Maria Maggiore ofiarowała jej w darze maleńki kawałeczek z niego. Pobożna zaś królowa kazała skrzynię mieszczącą w sobie szczątki świętego żłóbka w Rzymie przyozdobić bogato i oprawić w złoto i kość słoniową.

Modlitwa w nocy Bożego Narodzenia.

Pelbarcyusz opowiada nam o pewnej pokutującej grzesznicy, której nazwiska nie wymienia, następującą historyę, która okazuje, jak zbawienną jest rzeczą, przedstawiać sobie Boską Dziecinę w żłóbku i do niej z ufnością przystępować.

Nieszczęśliwa ta istota spędziła swą młodość w życiu występnem i obciążyła swe

sumienie wielkiemi grzechami. Tknięta łaską Bożą i usłuchawszy głosu wzywającego ją do pokuty, uciekła od świata i przez ciężkie prace, umartwienia i nieustanne łzy pokuty, starała się wynagrodzić Bogu stracone lata. Ale pomimo ciężkiej pokuty coraz większa powstawała w jej duszy trwoga, że wszystkie usiłowania jej są daremne, że Bóg nie przebaczy jej ciężkich przewinień. Gdy spojrzała w niebo, nasuwały się jej te słowa Pisma świętego, że *„nic nieczystego nie wnijdzie do nieba“*, gdyż tylko ludzie czystego serca Boga oglądają. Gdy rozpamiętywała bolesną mękę i śmierć Pana Jezusa, szeptał jej zły duch: ty należysz do Jego wrogów i nie masz uczestnictwa w Jego zasługach. Gdy wreszcie wspomniała na straszny sąd, wpadała prawie w rozpacz.

Wśród takich wewnętrznych katuszy upłynął adwent i zbliżyła się wigilia Bożego Narodzenia. Ta biedna dusza, umęczona całodzienną pracą, uklękła sobie w kąciku kościoła i płakała. Nagle uczuła słodki pokój w duszy i zmrużyła oczy do snu. Wtem ujrzy przed oczyma duszy żłóbek betleemski, a na łonie Matki-Dziewicy cudnej urody Dziecię, które na nią dziwnie łaskawem spoglądało okiem. Uradowana, zawołała:

— Przez Twoje łaski pełne dziecięctwo, w którem przyszedłeś zbawić grzeszników, zmiłuj się nademną!

Tej modlitwy usłuchał Pan Jezus; ustąpiły trwoga i smutek, a na ich miejsce nastąpiła ufność i wesołość, które ją nigdy odtąd nie opuszczały. (Piotr de Natal.).

Zkąd szopka?

Szczególniejszym czcicielem Dzieciątka Jezus był święty Franciszek z Assyżu. Na trzy lata przed swą śmiercią wpadł na piękną myśl, w pobliżu Kastrum Grecyi (Castrum Graecii) dla uzmysłowienia Bożego Narodzenia tak zwaną szopkę zbudować. Uzyskał sobie w tym celu pozwolenie Ojca świętego i zabrał się do swego dzieła, noszącego na sobie znamię dziecięcej pobożności. Wybrał sobie w tym celu miejsce w lesie i zbudował tam stajenkę, żłóbek i oltarz. W żłóbku leżała figurka Dzieciątka Jezus, nadzwyczaj pięknie wykonana — obok stała Najświętsza panna z świętym Józefem — dalej pastuszkowie, a nad stajenką unosił się chór Aniołów.

Całą stajenkę jasno oświecił i zgromadził wszystkich braci zakonnych; z bliska i zdala zebrał się tłumnie lud pobożny, aby tę świętą noc wraz z zakonnikami na modlitwie i śpiewach pobożnych przepędzić. Jeden z kapłanów odprawił uroczystą Mszę świętą — święty Franciszek miał sam kazanie pełne świętego namaszczenia i natchnio-

nego zapału, w którem z tkliwej miłości, Jezusa „chłopczyną z Betleemu“ nazywał. Wszyscy zanosili się od płaczu i wzruszenia, gdy im opowiadał o miłości „biednego Dziecięcia“.

— Kochajmy przecież „Dziecię z Betleemu“, zawołał — które, aby naszą miłość pozyskać, tak wielkie dowody miłości nam dało. Więc kochajmy je, oddajmy Mu miłość za miłość, miłość bez granic za nieskończoną miłość Jego ku nam.

To wzniosłe nabożeństwo powtarzało się corocznie z wielką pociechą ludu, tak, że chwalebny ten zwyczaj wkrótce się po całym świecie rozpowszechnił.

IMPRIMATUR.
(L. S.)
Cracoviae die 2 Augusti 1888.

In absentia:
Scipio V. G

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

Marya jest Matką Boga.

W początkach piątego wieku żył w Antyochii pewien kapłan, imieniem Nestor. Był on dość ograniczonym teologiem i miernym kaznodzieją, ale przez życie samotne i surowe zjednał sobie szacunek i poważanie ludu. Cnota jego była jednak tylko pozorną, bo jej brakowało najważniejszej podstawy: pokory. Dla tej tedy mniemanej cnoty obrany został patryarchą Carogrodzkim.

Miał on przyjaciela imieniem Anastazego, który był wprawdzie kapłanem, ale przesiąkł zasadami żydowskiemi i nienawidził Najśw. Panny. Zda się, jakoby obaj sprzysięgli się na to, aby Maryi wydrzeć najdroższy klejnot, to jest godność Matki Bożej. W tym celu kazał Nestor Anastazemu wstąpić na ambonę i ogłosić, że to jest nadużyciem i błędem twierdzić, jakoby Marya była matką Boga gdyż ten tytuł wcale się jej nie należy. Lud osłupiał i oburzył się na takie bluźnierstwo. Począł tedy głośno szemrać i odniósł się ze

skargą do Nestora, jako patryarchy. Ten jednak nietylko nie chciał słuchać skarg ludu, ale rozkazał nawet w pewną uroczystość biskupowi Doroteuszowi tę samą herezyę w swej obecności z ambony ogłosić, i rzucił klątwę na tych, którzyby Maryę matką Bożą nazywali.

Lud oburzony gromadnie wyszedł z kościoła; całe duchowieństwo i najzacniejsi obywatele, a mianowicie wszystkie klasztory oświadczyli się przeciw tej herezyi — ale szanując Nestora, postanowili mu w pokorze przedstawić błąd jego. Przybyli tedy gromadnie do pałacu biskupiego, i rzuciwszy się do nóg patryarchy, czynili mu pokorne przedstawienia. On jednak szydził z nich, a widząc ich stałość, wpadł w straszny gniew, bił ich po twarzy, kopał ich nogami i kazał ich wtrącić do więzienia, postarawszy się wpierw urzędników świeckich i samego cesarza na swą stronę przeciągnąć — a nawet wysłał pismo do Papieża Celestyna, aby tenże jego błędne mniemanie potwierdził. Lecz Papież, który doskonale o herezyi Nestora przez Cyryla, biskupa Aleksandryjskiego został powiadomiony, zebrał natychmiast synod w Rzymie i potępił błędy jego. Do samego zaś Nestora napisał list ojcowski, aby swe błędy odwołał, grożąc mu klątwą, gdyby się nie poddał. Ale Nestor trwał w swym uporze, i apelował do cesarza. Cy-

ryl widząc, na co się zanosi, nalegał na Papieża i cesarza, aby Sobór powszechny zwołali — co się też stało roku 431 w Efezie, mieście Małej Azyi. Zjechało się przeszło 200 biskupów, ale Nestor się nie pokazał.

Dnia 22 Czerwca zebrali się biskupi w kościele Najświętszej Panny. Odczytano listy, kazania i rozprawy Nestora, przesłuchano wiarogodnych świadków, a po sumiennem zbadaniu sprawy ogłosił Sobór jednogłośnie, że „nauka jego jest bezbożną i heretycką“, rzucono nań klątwę i złożono go z godności.

Podczas, gdy biskupi cały dzień byli w kościele zgromadzeni, oblegał lud tłumnie świątynię, czekając z upragnieniem końca i wyroku. Zaniechano w ten dzień wszystkich interesów; rzemieślnicy porzucili pracę, kupcy pozamykali sklepy, lud zapomniał o posiłku i nie ustępował z przede drzwi kościoła. Już noc zapadła, a drzwi kościelne się nie odmykały. Nagle otworzyły się drzwi i usłyszano głos donośny, wychodzący z kościoła:

— Marya, Matka Boga!

Lud pełen zapału i pociechy jednogłośnie zawołał: „Marya, Matka Boga!“ Ze łzami radości wielbił Boga, który Maryi tak wysokiej godności udzielił; najzacniejsi obywatele odprowadzali biskupów z pochodniami do ich mieszkań, niewiasty rzucały kwiaty i paliły wonne kadzidła; w ogóle taka radość panowała w całem mieście, jak nigdy!

Na drugi dzień tłumy ludu zebrały się w kościele Najświętszej Panny, aby podziękować Bogu, który udzielił Maryi zwycięztwa nad Jej wrogami. Podczas świetnego nabożeństwa wstąpił Cyryl na ambonę i miał cudne kazanie na cześć Najśw. Panny. Między innemi rzekł:

— A Ty, o Maryo, Matko Boża, bądź zawsze błogosławiona, boś Ty jest nieocenionym całego świata klejnotem; Tyś świętą pochodnią, co nigdy nie gaśnie; Tyś koroną panieństwa; Tyś berłem prawdziwej wiary, Tyś niezburzoną świątynią, Tyś rozkosznem mieszkaniem tego, którego żadne miejsce ogarnąć nie może, Tyś Matką i Panną zarazem!

Tak odniosła Marya zwycięztwo nad nieprzyjacielem swym Nestorem, który przez cesarza na wygnanie skazany, bez pokuty umarł na pustyni. Wkrótce też i Anastazy umarł nagłą śmiercią; a Kościół mógł się cieszyć zwycięstwem prawdy nad fałszem.

Marya, Matka-Dziewica.

W żywocie świętego Idziego, towarzysza świętego Franciszka, czytamy następujące zdarzenie:

„Pewien teolog z zakonu św. Dominika, rozważając wieczne panieństwo Maryi, doznawał wielu wątpliwości o tej prawdzie. Nie mógł sobie tego wytłómaczyć, jakim sposobem Marya mogła być matką i zarazem najczystszą dziewicą. Postanowił tedy udać się do świętego Idziego, o którego wysokiej świątobliwości wiele słyszał, i prosić go o radę i modlitwę. Zaledwie się udał w drogę, aliści zachodzi mu drogę mąż święty i nie czekając nawet zapytania, uderza swą laską w ziemię i rzecze:

— Nie wątpij mój bracie! Marya jest panną przed porodzeniem!

I natychmiast wykwitła z ziemi przecudna lilia.

Idzi powtórnie uderzył laską w ziemię i rzekł:

— Nie wątpij, mój bracie — Marya jest panną w porodzeniu. I znowu wytrysła wspaniała lilia z łona ziemi.

Po trzeci raz uderzył Idzi laską w ziemię i rzekł:

— Nie wątpij bracie; Marya jest panną po porodzeniu!

I po trzeci raz wystrzeliła z ziemi dziwnej białości lilia.

Szybkim krokiem, pełen podziwu nad tym cudownym wypadkiem, oddalił się uczony teolog; znikły wątpliwości, a serce dziwnego doznało spokoju. Nieustanne składał dzięki Matce Bożej za ten cudowny dowód Jej macierzyńskiej miłości, przez którą go od wątpliwości jego uleczyła. (Suryusz, W żywocie świętego Idziego).

Jezus był umęczon pod Pontskim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion.

Piękne porównanie.

Ksenofon, historyk grecki opowiada, że Tygranes, król ormiański, wraz z Bereniką, małżonką swoją, został wzięty w niewolę od Cyrusa, króla Perskiego. Ten pewnego razu zapytał Tygranesa:

— Cobyś mi dał za uwolnienie twej małżonki, którą tak gorąco miłujesz?

Bez namysłu odrzekł Tygranes:

— Wszystkobym dał — nawet krew i życie, gdyby tylko najdroższa moja Berenika wolność odzyskała.

Ta piękna i szlachetna odpowiedź tak się podobała królowi perskiemu, że obojgu darował wolność i królestwo powrócił.

Podczas podróży do królestwa zapytał Tygranes swą małżonkę:

— Powiedz mi najdroższa, jak ci się podobał Cyrus i blask i świetność dworu jego?

Z rozrzewnieniem odparła Berenika:

— Z całego blasku i świetności dworu już nic nie pamiętam.

— Jakże to być może? zapytał zdziwiony Tygranes.

— Ty mnie o to pytasz? rzecze Berenika; wiedz, że od czasu, jakeś oświadczył Cyrusowi, że za moją wolność życie i krew oddać jesteś gotów, zachwycona nadmiarem twej miłości, w tobie oko i myśli me utkwiłam, i prócz ciebie, nic widzieć, ani o niczem myśleć nie chciałam, tylko o tobie.

— Ach, moja droga Bereniko, zawołał król — jakże godną jesteś mojej miłości, i jakże się czuję szczęśliwym, że z tobą mogę dzielić królestwo!

Tygranes był gotów za wolność swej małżonki krew i życie oddać. Ta miłość wier-

nego małżonka nas zachwyca. Ale czemże ona jest w porównaniu do miłości naszego Boskiego Zbawcy? On się nie zadowolnił samą gotowością do ofiary ze krwi i życia swego — ale rzeczywiście oddał za nas krew i życie. Czyż więc miłość nasza ku Jezusowi nie powinna być taką samą, i owszem, większą, jak była miłość wiernej i wdzięcznej Bereniki? Ona czuła się szczęśliwą, że mogła dać swemu małżonkowi tak piękną odpowiedź. Jakże szczęśliwą będzie kiedyś dusza wierna, jeśli oswobodzona z tej ziemskiej niewoli, będzie mogła powiedzieć do Króla niebieskiego:

— Panie! Na świecie, skąd przybywam nic nie widziałam; miałam oczy tylko dla tego, który dał swe życie za me odkupienie; Jego tylko kochałam, o Nim jedynie myślałam, dla Niego jedynie żyłam i pracowałam.

Jakąż miłością, jaką rozkoszą nagrodzi Król chwały taką wierność swej oblubienicy w królestwie miłości i szczęścia! (Przypow. O. Bonawentury).

Obraz nad łożem boleści.

Józefina, jedyna córka zamożnych i cnotliwych ludzi, a przeto jedyna ich pociecha, w kwiecie wieku ciężko zachorowała. Lekarz zapisał jej tak gorzkie lekarstwo, że chora skosztowawszy, żadną miarą zażyć go nie

chciała. Przemyślna miłość matki, która pełna trwogi stała przy łożu chorej, umiała sobie wkrótce poradzić. Przyniosła jej w jednej ręce lekarstwo, a w drugiej przecudny obraz, przedstawiający P. Jezusa w Ogrojcu, jako z rąk Anioła przyjmuje kielich męki. Przystąpiła do chorej i rzekła:

— Kochana córko! spojrzyj na ten śliczny obraz; patrz, jak ochotnie twój drogi Jezus bierze gorzki kielich z rąk Ojca niebieskiego, i wychyla go aż do dna! Gdyby Jezus był nie wypił tego kielicha — dusza nasza nieśmiertelna nie byłaby uleczona. A ty, nie chcesz wypić tego lekarstwa, które tylko twe zdrowie ma na celu? Czy się nie wstydzisz? Twój Zbawiciel wypił wszystkie gorycze aż do dna, a tybyś nie chciała choć jednej łyżki z niej zażyć? Józiu, dobre dziecko! Czybyś ty to potrafiła uczynić?

Chora dziwnie spojrzała na matkę, a po chwili namysłu wzięła gorzkie lekarstwo i rzekła:

— Daj, matko! Niech się dzieje wola Boża! Z miłości ku Bogu mojemu, chętnie odtąd pić będę to gorzkie lekarstwo!

To rzekłszy, wzięła łyżkę pełną tej goryczy, spojrzała na ów piękny obraz i spokojnie wypiła wszystko, ani się nie skrzywiwszy. Uradowana matka powiesiła obraz przy łożu córki; a ile razy jej podawała gorzkie ono lekarstwo, wskazała tylko na obraz, a Józe-

fina brała wesoło i spokojnie z rąk matki ową gorycz, która jej i na zdrowie ciała i duszy wyszła.

Ile razy ci, najmilszy, Ojciec niebieski, ów Boski lekarz gorzkie lekarstwo cierpień i smutków przepisze, nie wahaj się go wychylić; spojrzyj na Syna Bożego w Ogrojcu, a nie będzie ci trudno uczynić tak, jak On uczynił.

Hrabia Eleazar

Posiadał wedle świadectwa Suryusza, dziwne męstwo i wielką cierpliwość we wszystkich okolicznościach życia, tak, że go nikt nigdy gniewającego się nie widział. Jak wszystkim cnotliwym, i jemu nie brakowało na prześladowaniach, oszczerstwach i szyderstwach; ale Eleazar na to nie zważał — cierpiał i milczał.

Pewna dziewica, imieniem Delfina, miała dość często sposobność podziwiać ową nie zwyciężoną cierpliwość pobożnego hrabiego. Zapytała go więc razu jednego, jak może na te wszystkie oszczerstwa i szyderstwa swych niegodziwych wrogów tak cierpliwie milczeć i owe wszystkie zniewagi tak spokojnie, jakby posąg jaki znosić.

Eleazar odrzekł:

— Delfino, powiedz sama, co mi gniew pomoże? Gniewem ani wrogom moim, ani

sobie nie pomogę. Obmyślałem sobie przeto inny środek; patrz! i tobie go udzielę, abyś i ty na przyszłość z niego korzystała. Ile razy mnie kto skrzywdzi, znieważy lub zelży — wyobrażam sobie natychmiast Zbawiciela, jak stoi przed Piłatem, od fałszywych świadków oskarżony, od żołnierzy znieważony i od niewdzięcznych żydów wyszydzony i wyśmiany. Czemże jest, myślę sobie, ta mała zniewaga, jaką ja nędzny grzesznik znoszę w porównaniu do tych okropnych zniewag, jakie niewinny Baranek Boży, mój Pan i Zbawiciel, z miłości ku mnie znosić i wycierpieć raczył? I znowu następuje błogi spokój w mej duszy — a gniew, który mi zemstę nakazuje, zaraz się ochładza i uspokaja...

Delfina szczerze wzięła te słowa do serca i znalazła w nich wyborny środek do uspokojenia duszy wśród wszystkich prześladowań i oszczerstw, gdy doznała zniewagi lub zelżywości.

Suknia krwią zbroczona.

Debussy opowiada następujące bardzo wzruszające zdarzenie:

Dwaj misyonarze pracowali już od dłuższego czasu nad poprawą pewnego bardzo zatwardziałego narodu; ale wszelkie ich starania, prace i kazania były bezskuteczne.

Jeden z nich, chcąc jeszcze ostatni raz do nich przemówić, wstąpił na ambonę i z całym zapałem gorliwości mówił o poprawie życia. Nagle pękła mu żyła w piersiach — upadł i skonał.

Towarzysz jego, równie gorliwy kapłan, wstąpił jeszcze tego samego dnia na ambonę, pokazał ludowi suknię krwią zbroczoną swego towarzysza i rzekł:

— Patrzcie — oto krew za was wylana! A wy chcecie czartu dać dusze, co nas tyle kosztowały?

Słysząc to obecni i widząc suknię kapłana we krwi zbroczoną, padli wszyscy na ziemię, skrapiali ją łzami pokuty i bili się w piersi. Wszyscy wyrzekli się swej rozpusty — a z ludu grzesznego stał się lud pokutny.

Patrz na Jezusa, przy biczowaniu krwią zbroczonego! Oto krew, która za ciebie została przelana! Czyż piekłu chcesz oddać duszę, która tyle Jezusa Chrystusa kosztowała? Cóżbym ci mógł więcej powiedzieć, jeśliby cię ten widok nie wzruszył i od grzechu nie powstrzymał? (Mehler. Przykłady).

Trzy obrazy.

Hildebrand, dzielny rycerz, został od innego rycerza, Brunona, ciężko obrażony i skrzywdzony. Zapłonął tedy gniewem, i nie mógł się doczekać dnia, w którymby mógł

krwawą zemstę wywrzeć na swym wrogu. Spędził całą noc bezsenną. Zaledwie zaświtało, przypasał miecz i puścił się w drogę naprzeciw swego nieprzyjaciela. Ale że było jeszcze za wcześnie, wstąpił do kaplicy stojącej tuż przy drodze, siadł sobie i przypatrywał się obrazom, które oświecone wschodzącem słońcem wisiały na ścianach. A było ich trzy. Pierwszy z nich przedstawiał Pana Jezusa stojącego w białej szacie przed Herodem, a pod nim napis:

„Nie łajał, gdy go łajano.“

Drugi obraz przedstawiał biczowanie, z podpisem:

„Nie groził, gdy go bito.“

Trzeci zaś przedstawiał Ukrzyżowanie, a niżej podpis:

„Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią.“

Ujrzawszy to rycerz, ukląkł i począł się modlić. Pomodliwszy się, wyszedł z kaplicy i ujrzał pachołków Brunona, którzy rzekli:

— Idziemy do pana. Nasz pan chory.

I szedł Hildebrand z nimi. Skoro przybył, rzekł Bruno:

— Ach, przebacz mi! Jam cię ciężko obraził.

A Hildebrand na to:

— Mój bracie, nie mam ci nic do przebaczenia w mem sercu.

I podali sobie ręce, uścisnęli się i pożegnali w serdecznej miłości.

Ukrzyżowana.

Około roku 439 zdobyli aryańscy Wandalowie pod dowództwem króla Genzeryka, miasto Kartaginę. Z okrucieństwem właściwem Wandalom i kacerzom, napadli na tamtejszych katolików, złupili ich kościoły, zbezcześcili świętości, męczyli księży, zabijali mieszkańców, lub sprzedawali ich jako niewolników.

Smutny ten los spotkał także i Julię, córkę rodziców szlachetnego pochodzenia, piękną, wykształconą, bardzo pobożną dziewicę. Jako niewolnicę kupił ją Euzebiusz, kupiec syryjski, który był poganinem, czy też saracenem. Nagła ta zmiana w życiu Julii, przejście z bogactwa do ubóstwa, z poważania do pogardy, z wolności do niewoli, byłoby złamało każde inne, nie tak mężne i pobożne serce — lecz Julia w Boskich prawdach i obietnicach chrześcijańskich znalazła silną tarczę przeciw pociskom losu; a w gorącej swej miłości do Jezusa, który zstąpiwszy z tronu Boskiego majestatu, cierpiał dobrowolnie ubóstwo, hańbę i straszne męczarnie dla naszego zbawienia, najsilniejszą zachętę do wytrwałej cierpliwości.

Julia wyrobiła sobie łagodnością, niezmordowaną pilnością, zręcznością w pracy i wzorowemi obyczajami takie poważanie u swego

państwa, iż nikt w domu nie śmiał jej ubliżyć. Każdą chwilę, która jej od roboty zbywała, obracała na czytanie pobożnych książek, które potajemnie dostawała od chrześcijan i na rozważanie męki Jezusa, którego cierpienia duszy i ciała od śmiertelnej trwogi na górze Oliwnej, aż do ukrzyżowania na Golgocie, stały jej ustawicznie przed oczyma. Często, gdy ją przygniatało zmartwienie, groziło niebezpieczeństwo, lub opanowywała pokusa, całowała maleńki krzyżyk, który nosiła ukryty na piersiach, modląc się gorąco:

— O Jezu! chciałeś cierpieć i poniżyć Boski swój majestat, zlitujże się nademną, bym i ja cierpiała także z miłości ku Tobie. Z radością noszę te pęta niewolnicze, ponieważ o Jezu, czynią mnie podobną do Ciebie i gotują mi drogę do furty zbawienia!

Była zawsze wesołą i w dobrym humorze, pościła codzień prócz niedzieli i wyrzekła się wszelkich przyjemności, by sobie uprosić u Pana Boga łaskę zachowania niewinności swojej.

Po kilku latach przedsięwziął Euzebiusz podróż w interesie handlowym do Europy, a Julia razem z innemi sługami musiała mu towarzyszyć. Gdy wylądowali na wyspie Korsyce w Capo-Corso, natrafili właśnie na zgromadzenie pogan, którzy odprawiali narodową jakąś uroczystość i mieli czynić ofiarę bogom. Euzebiusz udał się ze swoim orsza-

kiem do świątyni, by wziąć udział w tym obrzędzie; tylko Julia pozostała na okręcie, ukłękła i modliła się, płacząc rzewnie, by Bóg uleczył ślepotę tych nieszczęśliwych pogan, wybawił ich z niewoli bałwanów i doprowadził ich do poznania miłości Jego.

Modły te słyszało kilku urzędników namiestnika tej wyspy i wielce zdziwieni pytali się jej, dlaczego nie bierze udziału w tej uroczystości ofiarnej. Julia wyznała im szczerze i otwarcie:

— Jestem chrześcijanką i składam ofiarę jednemu tylko, prawdziwemu Bogu, a nie fałszywym bożkom, które na cześć Boską nie zasługują.

Urzędnicy donieśli natychmiast panu swemu Feliksowi o odkryciu, że na okręcie Euzebiusza znajduje się śliczna, młoda chrześcijanka, która się bardzo pogardliwie wyraża o ich bogach. Feliks, zaciekły wróg chrześcijan, uczuł niepohamowaną żądzę dostania tej chrześcijańskiej niewolnicy w moc swoją.

Podczas uczty, na którą zaprosił Euzebiusza, zaczął mu wyrzucać, iż pozwolił swej niewolnicy pogardzać bogami krajowemi i wyznawać Boga chrześcijan. Euzebiusz wymawiał się, iż poniósł niemało trudu, aby odwieść Julię od tej nowej wiary; ale ta wolałaby raczej śmierć ponieść — a zresztą, jest mu bardzo wierna i zręczna w gospo-

darstwie, najulubieńsza ze wszystkich sług; słowem, istną perłą między niewolnicami.

Niezwykła ta pochwała wzbudziła w Feliksie silne zajęcie; starał się przeto zobaczyć Julię i zapłonął ku niej ognistą, zmysłową miłością; począł więc nalegać usilnie na kupca, by mu ją odstąpił i chciał mu za nią ofiarować znaczną sumę pieniędzy, lub cztery najpiękniejsze niewolnice. Lecz Euzebiusz rzekł:

— Trudzisz się daremnie; cały twój majątek nie obstoi za jednę Julię; perła ta nie jest do nabycia.

Feliks tedy postanowił dopiąć podstępem tego, czego nie mógł pieniądzmi; zaprosił kupca na ucztę i kazał niewolnicom, uwieńczonym różami, dolewać mu hojnie wina, a Euzebiusz wychylając puhar za puharem, upił się i usnął.

Tymczasem Feliks kazał przyprowadzić Julię; przekonany, że pochlebstwu nie może się oprzeć żadna niewiasta, zaczął chwalić piękność jej i młodość, udawał litość nad jej niedolą jako niewolnicy i przyobiecał jej wolność, jeżeli uczyni bogom ofiarę.

Julia odpowiedziała:

— Jestem wolną, dopóki służę Chrystusowi i nie pragnę innej wolności nad tę, bym mogła kochać jedynie prawdziwego Boga i służyć Mu w prostocie serca; bogami zaś waszymi gardzę i drżę na myśl odda-

wania im czci; raczej wolę już umrzeć za świętą mą wiarę.

Rozgniewany tą śmiałą odpowiedzią, uderzył ją namiestnik pięścią w twarz, tak, że krew popłynęła jej z ust strumieniem; lecz Julia cieszyła się, iż może cierpieć za wiarę i rzekła łagodnie:

— Jezus mój i Zbawca był także policzkowany haniebnie, czemże zasłużyłam sobie na ten zaszczyt podzielania hańby jego?

Feliks myślał, iż Julia szydzi z niego — kazał ją przeto rozciągnąć na torturach i chłostać do krwi. Julia cieszyła się i weseliła:

— O Jezu! i Ty także byłeś biczowany i uwieńczony cierniem; chwała Ci i dziękczynienie, żeś mi dozwolił zrównać się z Tobą przez tę mękę.

Podczas trwania tych tortur powtarzał ciągle Feliks:

— Wyrzecz się wiary i ofiaruj bogom, a uwolnię cię od męki i hańby!

Lecz Julia za każdym razem odpowiadała:

— Nie, do tego nie zdołasz mnie doprowadzić — chociażbyś mnie jak Jezusa wbił na krzyż!

— Jako wyrzekłaś — zaśmiał się tyran — tak niechaj ci się stanie. I kazał siepaczom zrobić natychmiast krzyż i wypełnić bezzwłocznie życzenie tej upartej dziewczyny.

Z sercem przepełnionem wdzięcznością modliła się Julia:

— O Boże mój! przyjmij łaskawie tę ofiarę życia mojego i okaż miłosierdzie swe nad zabójcami moimi!

Zaledwie ukończono wbijać gwoździe w jej ciało, zabrał Bóg czystą jej duszę do siebie; a gdy konała, widziano jak biały gołąbek wzbił się ku niebu.

Tymczasem obudził się już Euzebiusz — ale przyszedł za późno, by ocalić wierną swą niewolnicę od śmierci.

Przez Boskie zrządzenie dostały się święte jej zwłoki do Gorgony, małej skalistej wysepki Toskańskiej, gdzie zakonnicy pochowali je w swoim kościółku. W roku 763 kazał je Dezyderyusz, król Longobardów przenieść do Brescyi, gdzie za jej przyczyną działy się liczne cuda i gdzie później powstał pod jej imieniem słynny klasztor żeński.

Wyborne zwierciadło.

We Florencyi żył pewien pobożny kapłan, imieniem Hipolit Galeatyn. Często godzinami stał w jednym kącie swego mieszkania i wpatrywał się w jedno miejsce. Na przeciwnej stronie ulicy mieszkała osoba światowa i śledziła każdy ruch kapłana. Uderzało ją to, że ksiądz, co już świat i jego próżności pożegnał, lubi się przeglądać w zwierciedle,

i całe godziny na tem traci. Sądząc, że ów kapłan musi mieć bardzo dokładne zwierciadło, nie mogła poskromić swej ciekawości; i skoro go razu pewnego na ulicy ujrzała, prosiła go, by jej raczył to tak wyborne zwierciadło pokazać.

— I owszem, rzekł kapłan — a wziąwszy ono mniemane zwierciadło pod płaszcz, przyniósł je do mieszkania owej osoby, która z niecierpliwością oczekiwała jego przybycia i już sobie w myśli układała, jakby mogła nabyć to zwierciadło.

Wchodzi kapłan. Szybko zbliżyła się ku niemu osoba owa i rzucając ciekawie okiem, wyciągła rękę ku zwierciadłu. Kapłan wyjmuje mniemane zwierciadło z pod płaszcza i prosi, by się w niem przejrzała. Lecz cóż widzi? Oto obraz Pana Jezusa, cierniem ukoronowanego! Oczy Jego łzami zalane, usta zsiniałe, policzki nabrzmiałe, krwią i plwocinami zeszpecone, tak, że nawet do człowieka nie był podobny! Pobladła na ten widok i była głęboko wzruszona. Widząc to kapłan, rzecze:

— Oto zwierciadło, w którem jak ja, masz się codziennie przeglądać! Patrz na tego biednego Zbawiciela, który z miłości ku nam tak znieważony i za nasze złości tak zelżony został. Czyż i ty nie będziesz miała współczucia z Jezusem, jak żydzi, którym Piłat daremnie zranionego przedstawiał i daremnie:

„Oto człowiek“ — wołał. Patrz! oto jako twarz Pana Jezusa, tak dusza twoja grzechami jest zeszpecona. Obmyj twą duszę łzami szczerej pokuty, a wtenczas miasto zeszpeconego oblicza Jezusa, ujrzysz w niebie uwielbione oblicze Zbawiciela!

Mowa ta przeszyła na wskróś serce grzesznicy. Łzy obfite trysły jej z oczu — padła na kolana, błagając o przebaczenie. Wkrótce potem pożegnała świat i wiodła do śmierci życie pokutne. (O. Rho. exempl. virt.).

Melania.

Niejaki Izydor miał tylko jedyną pięcioletnią córkę Melanię, która była tak żywa, a przytem uparta i burzliwa, że o jej poprawie zupełnie zwątpiono. Ojciec, człowiek pobożny i cnotliwy, miał z nią krzyż Pański; nie klął ją z bojaźni, by się jeszcze gorszą nie stała — modlił się tylko za nią, nauczał i karał ją. Ale nic nie było w stanie przełamać jej uporu.

Mając lat dziesięć, gdy dnia jednego przeszukiwała szafę, znalazła w niej krucyfiks, który nieboszczka jej matka tam była schowała. Melania ujrzawszy krucyfiks, pobiegła z nim do ojca i pytała, coby to było?

— Moja córko, odrzekł ojciec — to jest krucyfiks.

— Ale — pyta dziewczynka — cóż to jest krucyfiks?

— Jużem ci nieraz mówił, aleś ty znowu zapomniała. Jest to przedstawienie Jezusa Chrystusa, wiszącego na krzyżu.

— Ależ ja nie wiem, co to jest przedstawienie Jezusa Chrystusa wiszącego na krzyżu.

Izydor rzekł:

— Ja ci powiem, moje dziecię — słuchaj więc z uwagą.

„Wiesz, że Syn Boży zstąpił z nieba i stał się człowiekiem, aby nas zbawić. Bez Niego bowiem bylibyśmy wszyscy zgubieni i nigdybyśmy od grzechu uwolnieni nie zostali. Otóż tym Synem Bożym, co się stał człowiekiem, jest Jezus Chrystus. Całe swe życie spędził za nas w pokucie, płakał za nasze grzechy, nauczał ludzi i wskazywał im drogę do wiecznego szczęścia — a nauki te nazywamy „Ewangielią, czyli wesołą nowiną.“ Żydzi nieludzko z Nim się obeszli; wtłoczyli Mu cierniową koronę na skronie, przybili Go do krzyża i przelali wszystką krew Jego, aż skłonił swą głowę i skonał. Jeszcze przed śmiercią błagał Ojca swego o przebaczenie dla swych oprawców i dla nas wszystkich. Oto, dziecię moje, figura ta służy ku temu, aby nam to wszystko przypomnieć.“

Melania słuchała z uwagą, a ojciec użył tej szczęśliwej chwili do dalszej nauki. Aby serce jej poruszyć, rzekł:

— Czy wiesz ty, kto Jezusa Chrystusa tak okrutnie umęczył?

— Nie wiem, odrzekła Melania.

— Moja luba córko, ciągnął dalej ojciec, my niestety przez nasze grzechy jesteśmy przyczyną Jego śmierci. Tak, moje dziecię; twoje i moje grzechy Jezusa na krzyż przybiły. Przejdź w myśli wszystkie te grzechy, któreś popełniła, te wszystkie nieposłuszeństwa, nieuszanowania w kościele, wszystkie twe zbytki i niegrzeczności i wszystkie zgorszenia, któreś innym dała. Wszystko to, moja córko, Jezusa Chrystusa zasmuciło i przyczyniło się do Jego gorzkiej śmierci. A ty tyleś razy Jezusa uderzyła, ileś razy zgrzeszyła!

Izydor spostrzegł łzę, która jak perła zabłysła w oku córki. Zatem tak mówił do wzruszonego dziecka:

— Czy chcesz Go jeszcze raz w swem sercu ukrzyżować przez twe nieposłuszeństwo i zabić Go przez złość twoją? Czyż Mu odmówisz twej miłości, kiedy widzisz, ile On z miłości ku tobie, aby się poprawić i zbawić, uczynił?

Melania była tak wzruszona, że naraz oburącz chwyciła figurę Ukrzyżowanego.

— Ach, najdroższy ojcze, daruj mi ten krucyfiks.

— Najchętniej, rzecze ojciec, tylko go dobrze schowaj.

Poszła dziewczynka do swego pokoiku, i cały dzień tam spędziła płacząc, całowała nogi Ukrzyżowanego, przycisnęła Go do serca swego i rzekła:

— O mój Boże! Jam tak okrutną była względem Ciebie! Więc to ja Cię ukrzyżowałam? O mój Boże przebacz mi! O gdybym była wiedziała, co czynię, nigdybym Cię nie była obrażała! Miej litość nad młodością i nieświadomością moją!

Łaska Boża silnie działała w sercu tego dziewczęcia, a Pan Bóg tak błogosławił słowom Izydora, że Melania w kilku dniach zupełnie się zmieniła. Odtąd nie było pokorniejszego i posłuszniejszego dziecka jak ona; bystrość pojęcia jej w sprawie zbawienia przewyższyła jej wiek. Skoro tylko znalazła wolną chwilkę, natychmiast biegła do owego krucyfiksu, całowała pięć ran Pana Jezusa, i oddawała Mu cześć najgłębszą. Gdy miała jakie zmartwienie, lub gdy jej kto przykrość jaką wyrządził, mówiła:

— O mój Zbawicielu, jakżebym mogła uskarżać się, gdy rozważam, ileś Ty dla mnie wycierpiał!

Pewnego dnia, gdy ją jakiś człowiek pomyliwszy się w jej osobie, okrutnie pobił, zamilczała o tem przed ojcem swoim z bojaźni, aby się nie rozgniewał i Boga nie obraził; tylko upadła na kolana przed Ukrzyżowanym i rzekła:

— O mój Jezu, który wisiałeś na krzyżu, Tyś przebaczył twoim oprawcom — więc i ja chcę z miłości ku Tobie przebaczyć temu, co mnie znieważył, i chciałabym szczerze wyświadczyć mu jaką przysługę.

I w rzeczy samej, ów człowiek, co ją znieważył, wpadł ośm dni potem w ciężką chorobę. Melania prosiła ojca, by jej pozwolił zanieść choremu jaki posiłek.

— Przyjm, proszę, rzekła dziewczyna do chorego, ten posiłek jako dowód, że się na ciebie nie gniewam. Mój ojciec nie wie nic o tej przykrości, coś mi wyrządził. Chciałam milczeniem oszczędzić gniewu ojca.

Człowiek ów tak został wzruszony tą wspaniałomyślnością dziewczęcia, że ją ze łzami prosił o przebaczenie.

Innym razem, gdy Melania spotkała się z sąsiadką, która się martwiła nieuczciwem życiem męża swego, rzekla:

— Moja droga sąsiadko, czy w domu nie macie krucyfiksu?

— Mam — odrzekła sąsiadka.

— A na co go macie? Rzućcie się do stóp Ukrzyżowanego i uczcie się cierpieć. Jezus Chrystus daleko więcej wycierpiał, jak wy; a choć był niewinny, nigdy się nie skarżył. Szczęśliwiście, że możecie z miłości ku Niemu pocierpieć. O! wy nie pojmujecie, jaka to pociecha cierpieć dla Boga, który za nas cierpiał.

Słowa Melanii uspokoiły zagniewaną — wzięła je sobie do serca, stała się wzorem cierpliwości i nawróciła swego męża.

Melania wytrwała przez całe życie w tem ćwiczeniu; ukrzyżowany Jezus stał zawsze przed oczyma jej duszy. Doznawała ciężkich i częstych pokus przeciw św. czystości. Ale rozmyślała nad mękami Jezusa i zachowała swą duszę w niewinności.

— O mój Zbawicielu! mawiała w pokusach — jakżebym się mogła ośmielić szukać niegodziwej rozkoszy, kiedy patrzę na te męki, któreś Ty Panie dla mnie poniósł?

Wreszcie po życiu pełnem cnót, patrząc na Ukrzyżowanego, umarła świątobliwie.

Zemsta rozbrojona.

Za czasów świętego Jana Bożego przybył do Granady, miasta hiszpańskiego, pewien rycerz, nazwiskiem Antoni Martini, w tym celu, aby się pomścić na innym rycerzu, Welazyuszu, który brata jego zamordował. Wiele osób błagało usilnie Antoniego, aby darował krzywdę i nie mścił się; ale wszystko napróżno.

Dowiedział się o tem święty Jan Boży i polecił tę sprawę w gorącej modlitwie Panu Bogu, który serca ludzkie ma w swojem ręku. Duchem Bożym natchniony, udał się

do obrażonego Antoniego — upadł przed nim na kolana, wydobył z pod sukni swej krucyfiks i rzekł:

— Tak niech ci przebaczy Bóg, jak ty twemu wrogowi przebaczasz. Lecz jeśli ty twemu nieprzyjacielowi nie przebaczysz, to wiedz, że nigdy od Boga miłosierdzia nie dostąpisz; bo chociaż Welazyusz krew brata twego przelał, to brat nasz Jezus Chrystus przelał krew swą za ciebie i za niego — i daleko głośniej woła krew Jezusa o miłosierdzie, jak krew brata twego o pomstę.

Słowa te wzruszyły Antoniego; nie mógł się oprzeć takiemu wezwaniu — podniósł świętego Jana z ziemi i uściskał go; następnie udał się do sądu, uzyskał dla mordercy brata swego ułaskawienie i wyprowadził go w towarzystwie świętego Jana z więzienia. Obaj nieprzyjaciele rzucili się w objęcia, płakali łzami radości i udali się z świętym Janem do szpitala, gdzie się poświęcili na usługę chorych i wraz z świętym Janem założyli zakon „braci miłosierdzia.“

Potęga krzyża.

Pewien bogaty młodzieniec, który przez gry i rozpustę cały swój majątek utracił, wracał wieczorem do domu i wpadł w taką złość, że bluźnił Bogu i z szyderstwem wołał:

— Jeśli na mnie możesz jeszcze coś gorszego zesłać, to zeszlij!

I rzeczywiście, powóz się przewrócił, a on złamał nogę. Nastąpiła febra, która go na łoże boleści rzuciła. Miasto się upamiętać i żałować, bluźnił Bogu tem bardziej.

— On się raduje z mej zguby! niechże mnie potępi — mówił w szaleństwie.

Wtem przybył jeden ze sług jego i rzekł mu do ucha:

— Panie, jest tu jeden z twych najlepszych przyjaciół i chce się z tobą pożegnać.

— Kto taki? Niech przyjdzie — odparł młodzian.

Sługa wyjął z zanadrza krucyfiks i rzekł:

— Patrz, panie! to twój najlepszy przyjaciel; Jezus Chrystus nie chce twej zguby, bo i za twoją duszę umarł na krzyżu.

Przerażony i wzruszony, patrzał bluźniercа na krucyfiks; wreszcie skruszyło się serce jego.

— Ach, Jezu! zawołał — Ty mnie kochasz? a ja?!

Łzy żalu rzuciły mu się z oczu; wyzdrowiał na duszy i ciele, a życie jego stało się odtąd życiem łaski, serce zaś jego stało się ołtarzem, który ozdobiły kwiaty dobrych uczynków, światło wiary, życie święte i miłość krzyża. (Linro).

Ofiara miłości.

Większego dowodu miłości nie mógł nam Pan Bóg dać nad ten, że Syna swego jednorodzonego za nas na śmierć wydał. Historya opisuje nam następujące zdarzenie:

„Król hiszpański Alfons, był w pewnem mieście swojem oblężony od Maurów i bronił się w niem długi czas bardzo dzielnie. Syn jego uczynił na czele garstki rycerzy nieszczęśliwą wycieczkę z twierdzy; został bowiem od Maurów schwytany. Mniemali tedy Maurowie, że całe miasto już będzie w ich mocy. Przywiedli zatem więźnia w pobliże miasta, tak, że go można było z murów widzieć, i zawołali do oblężonych:

— Alfonsie, albo wydaj nam miasto, albo syn twój musi umrzeć.

Jakże okropna boleść ścisnęła serce króla i ojca! Jak straszny wybór: albo wydać lud swój w ręce tyrana i podłą niewolę, albo ukochanego jedynaka swego na śmierć ofiarować. Stoczywszy nieopisaną walkę w sercu, porywa Alfons swój miecz, rzuca go przez mur i woła:

— Raczej niech syn mój umrze, ale lud mój niech żyje! Natura musi ulędz — wierność musi zwyciężyć!

Jeśli wolno zdarzenie to zastosować do rzeczy Boskich, to królem takim jest Ojciec

niebieski; ludem od wroga oblężonym: naród ludzki, od Boga umiłowany, który przez cztery tysiące lat jęczał w niewoli sprawiedliwości Bożej. A wróg rodzaju ludzkiego wskazując na Syna Bożego, woła:

— Albo wydaj Boże ród ludzki na karę zasłużoną, albo Syn twój musi umrzeć!

I o dziwo Boskiej miłości! Bóg mówi:

— Mój Syn jedyny niech umrze, a człowiek niech żyje! Weźcie go — mego Syna niewinnego, jedynego, umiłowanego, znieważajcie go, ubiczujcie go, ukrzyżujcie go, zabijcie go; ale ród ludzki niech będzie zbawiony — niech żyje, niech nie ginie!

„Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał“ (Jan. III, 16). *„Własnemu Synowi swemu nie przepuścił, ale go wydał na śmierć za nas wszystkich“* (Rzym. VIII, 32).

Święta Paula.

Święta Paula, Rzymianka, ta sama, co z takiem nabożeństwem pielgrzymowała do żłóbka Betleemskiego, odwiedzała też często grób Pański w Jeruzalem, aby wdzięcznem sercem rozpamiętywać tę miłość, która na drzewie krzyża umrzeć i trzy dni w grobie leżeć raczyła.

Skoro tylko wstąpiła w to święte miejsce, ucałowała nasamprzód ów kamień, który le-

żał przy otworze; potem weszła do świętej groty i pełna ufności i miłości, ucałowała miejsce, w którem zwłoki Chrystusa były złożone.

Wśród tego aktu pobożności doznawała niewymownie słodkiego uczucia i zdało się jej, jakoby najsłodszy napój z tego źródła życia czerpała. Gdy przystępowała do Stołu Pańskiego, wspominała sobie na grób Jezusa i mówiła do siebie:

— O Panie! Twój grób jest tak wspaniały, wykuty w nowej skale i nikt w nim jeszcze nie leżał! Ach, i ja pragnę teraz do Twego stołu przystąpić i pragnę serce moje Twym grobem uczynić; lecz ach, grób serca mego jest tak bardzo skalany! Już tyle razy włożyłam weń grzech i dałam w nim mieszkać grzesznej chuci! O mój Jezu, przyjdź i oczyść grzeszne me serce, aby się stało godnym grobem i godnem miejscem spoczynku Twego najświętszego ciała!

Nieraz przy tych słowach obfite łzy wylewała.

Duszo chrześcijańska! Jakże pouczającą jest ta pobożna i mądra mowa świętej Pauli i dla ciebie. Ty wprawdzie nie możesz odbyć pielgrzymki do grobu Pańskiego — ale to nic nie szkodzi i Bóg nie żąda tego od ciebie. Wszak ty masz w sobie ten święty grób: twe własne serce jest tym grobem, do którego tak często Jezusa Chrystusa przyj-

mujesz z ciałem i krwią, z Bóstwem i człowieczeństwem! W ten grób często zaglądaj i badaj, czy ono jest czyste i wolne od skazy, aby najświętsze ciało twego Zbawiciela przyjąć na spoczynek. A skoro Go zamkniesz w głębię serca twego, wtedy rozkoszuj się w niem, jak niegdyś święta Paula przy grobie Jezusa.

IMPRIMATUR.

(L. S.) In absentia:

Cracoviae die 14 Augusti 1888. *Scipio V. G.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

Narzędzia męki Jezusa Chrystusa.

Słup biczowania.

Biczowanie poprzedzało zwykle karę śmierci przez ukrzyżowanie u Rzymian. Dokonywało się ono na ciele obnażonem, przywiązanem do słupa. Bicze były to rzemienie lub powrozy, w które wplatano drut, kończący się haczykami lub kolcami, przez co ciało biczowanych raniono i siekano w nieludzki sposób. Skazańcowi biczowano najprzód plecy, a potem zwykle boki i przednią część ciała.

Ów słup, do którego przywiązano niewinnego Jezusa, gdy Go okrutnie owemi biczami za nas smagano, był w pierwszych czasach razem z innemi świętemi relikwiami w Jerozolimie na górze Sion przechowany. Opowiadają o tem: św. Grzegorz Nazyanzeński, św. Paulin, św. Grzegorz z Tours i wielu innych.

Święty Hieronim pisze, że za jego czasów święty ów słup znajdował się w kościele, który wzniesiono na górze Sion ponad salą, w której Zbawiciel odprawiał ostatnią wieczerzę, i że razem z innemi słupami podpierał sklepienie kościelne. — Za czasów świątobliwego Bedy w ósmym wieku zabrano go ztamtąd i umieszczono na środku owego kościoła, gdzie odtąd wielkiej czci doznawał. Ponieważ cenna ta świątynia chrześcijan dostała się później w ręce Turków i zamienioną została na meczet, do którego niewierni wzbronili wstępu pielgrzymom, przeto nie można wiedzieć dokładnie, co się właściwie stało z tym słupem; podanie głosi, że niewierni porąbali go na kawałki. Obecnie istnieją trzy kawałki, czy części świętej tej pamiątki.

Jedna część znajduje się w Jerozolimie, w kościele Grobu świętego. Część ta słupa biczowania umieszczona jest w pobliżu wielkiego ołtarza, w kaplicy katolickiej za kratą żelazną i jest przedmiotem głębokiej czci tak u katolików, jakoteż i u innych wyznań chrześcijańskich na Wschodzie. Jestto pierwsza stacya uroczystego obchodu, który stróżowie Grobu świętego odprawiają codziennie o godzinie 4-tej po południu, w celu uczczenia wszystkich świętych stacyj w rozległych zabudowaniach Grobu św. Krata otwiera się tylko raz do roku, w Wielki Piątek — i wtedy

to wzruszonym tłumom ludu pokazują przez godzinę ów kawałek słupa biczowania. Jestto tylko pewna część marmurowego słupa, niespełna na 3 stopy gruba i 2 stopy wysoka; barwa jej jest czerwonawo-szara, nieco nakrapiana.

Druga część słupa biczowania znajduje się od przeszło 600 lat w Rzymie w kościele św. Praksedy w małej kaplicy po prawej ręce w szklanej skrzyni. Według napisu znajdującego się nad kaplicą, część tę św. słupa sprowadził kardynał Jan Kolonna za Papieża Honoryusza III do Rzymu. Papież ten wysłał był pomienionego kardynała jako legata apostolskiego z wojskiem krzyżowców na Wschód przeciw Turkom. Po zdobyciu Damietty odprawił kardynał pielgrzymkę do Jerozolimy, gdzie Turcy, którzy temu zarówno walecznemu wodzowi jak i pobożnemu kapłanowi poważania swego odmówić nie mogli, ofiarowali mu w darze kawałek ten świętego słupa, który on później w tryumfie do stolicy chrześcijaństwa sprowadził i w kościele świętej Praksedy w kaplicy bocznej ustawił. Kapliczka ta ozdobiona jeszcze starą, więcej niż tysiąc-letnią mozaiką na złotem tle, pogrążona w ciągłym świętym mroku, rozjaśnionym nieco słabym odblaskiem lampy, palącej się dzień i noc przed świętym słupem — wywiera uroczyste wrażenie na umysł każdego chrześcijanina. Niewiastom dozwo-

lony tu jest wstęp w niektóre tylko dni w roku. Kawałek ten słupa biczowania zdaje się być górną częścią całego słupa, jest z szarego marmuru, mający najwięcej półtorej stopy wysokości i blisko stopę w średnicy. Widać na nim pierścień żelazny, do którego przywiązywano człowieka, skazanego na biczowanie.

W wielki tydzień kaplicę tę zwiedzają wierni z Rzymu i liczni pielgrzymi z wielkiem nabożeństwem. Pewien podróżujący Szwajcar, napisał w roku 1843 w swoim pamiętniku: „Widziałem je dokładnie (słup biczowania i inne relikwie, znajdujące się w kościele świętej Praksedy), i nikt zapewne nie ogląda ich, bez pobożnego wzruszenia i świętego uszanowania. Rozmaite pobożne osoby pocierały pierścienie swe, różańce, krzyże itp. o te święte przedmioty — oczywiście o szkło tylko, w którem się znajdują, gdyż niepodobna uczynić tego w inny sposób.“

Trzeci wreszcie kawałek świętego słupa, przy którym Zbawiciel świata krew swą najdroższą przelewał, pokazują w Rzymie, w kościele świętego Jana Lateraneńskiego.

Uwaga. Świątobliwa dziewica, Anna Katarzyna Emmerich z Dülmen, opowiada o biczowaniu Chrystusa i narzędziach, których przy tem użyto, w sposób następujący:

„Słup biczowania stał na północ od domu Piłata, przed jednym z przedsionków otaczających forum. Stał sam, odosobniony; był tak wysoki, że człowiek dużego wzrostu mógł, wyciągnąwszy ręce, dosięgnąć górnego jego końca, który był okrągły i opatrzony żelaznym pierścieniem; na tylnej stronie w połowie wysokości, były także pierścienie i haki. Do tego to słupa przywiązano Zbawiciela obnażonego w ten sposób, iż najprzód przywiązano Go za obie ręce u owego pierścienia żelaznego, umieszczonego u góry w tylnej części słupa — następnie zaś przywiązano Go za nogi do dolnej części słupa i to tak mocno, że ledwie się na nich mógł utrzymać. Najprzód smagano grzbiet, potem przednią część ciała. Bicze były trojakie: pierwsze wyglądały jak rózgi, z białego, łykowatego drzewa; może to były wiązki z białych, twardych, wązkich rzemieni lub żył. Drugie były to innego rodzaju rózgi, nastrzępione jak gdyby cierniami, z pomiędzy których tu i owdzie ukazywały się kulki i kolce żelazne — te to rózgi poszarpały i poraniły okrutnie święte ciało Jezusa. Trzecie, były to rzemienie przytwierdzone do żelaznej rączki, zakończone żelaznemi haczykami — bijąc niemi, wyrywano Mu ciało i skórę całemi kawałami z żeber. Jeden z siepaczy trzymał w lewej ręce cieniutki pręcik i bił nim po twarzy Zbawiciela.

Okrutne to biczowanie trwało blisko trzy kwadranse. Skończyło się o 9-tej przed południem. Obcy, niepozorny człowiek, przypadł spiesznie do słupa i przeciął nożem zakrzywionym jak sierp, za jednym zamachem sznury, zadzierzgnięte w jeden węzeł i przytwierdzone do wielkiego, żelaznego gwoździa w tyle słupa, krzycząc:

— Przestańcie! nie dobijajcie tego niewinnego człowieka!“

Korona cierniowa Jezusa Chrystusa.

(Święta korona przechowana w Jerozolimie aż do roku 1239).

Wiadomo, że korony cierniowej Zbawiciela nie znalazła święta Helena razem z krzyżem Jezusa Chrystusa, ponieważ żaden z pisarzy o tem nie wspomina, a powszechne milczenie o tak ważnym fakcie byłoby nie do wytłómaczenia. Można to sobie jednak łatwo wytłómaczyć. Nigdzie nie znajdujemy wzmianki, czy korona cierniowa pozostała na głowie Jezusa Chrystusa w czasie pochodu na górę Kalwaryi i podczas ukrzyżowania. Przypuściwszy jednak, że tak było istotnie, to niewątpliwie ci, którzy zdejmowali z krzyża ciało Zbawiciela, by je włożyć do grobu, zatrzymali święty ten przedmiot, celem przechowania go i oddania czcicielom Jezusa.

Przechodzenie to z rąk do rąk jest rzeczą tak naturalną, że nie może pod tym względem zachodzić najmniejsza uzasadniona wątpliwość; możebnem jest i prawdopodobnem, że święta korona przechodząc tym sposobem przez ręce różnych osób, dla których przechowanie tej relikwii było rzeczą najwyższej wagi, dochowała się aż do czasu, w którym wszystkie relikwie dostały się do cesarskiego skarbca w Konstantynopolu.

Św. Paulin wspomina w roku 409 o koronie cierniowej, jako o najdroższym przedmiocie, znajdującym się w posiadaniu chrześcijan i od tego też czasu wspominają o niej wszyscy pisarze jednogłośnie, jako o relikwii znajdującej się w skarbcu cesarza Bizantyńskiego.

Pobożni cesarze Wschodu, począwszy od Konstantyna Wielkiego, aż do czasu, gdy krzyżowcy zachodni stali się panami Konstantynopola i tamże cesarstwo łacińskie założyli (1205), zebrali znaczną ilość drogocennych świętości i złożyli je w tym nowym Rzymie. Pomiędzy temi świętościami jedną z najznakomitszych była cierniowa korona Chrystusa, Pana naszego.

Św. korona cierniowa dostaje się do Paryża.

Pięćdziesiąt siedm lat trwało panowanie łacińskie w Konstantynopolu, a sześciu ce-

sarzy, począwszy od Balduina I, do Balduina II utrzymało się z wielkim trudem na tronie. Cesarz Balduin II, który wstąpił na tron po Janie Brienne — widząc, iż stolicy zagraża niebezpieczeństwo wpadnięcia w ręce Saracenów lub Greków, posłał koronę cierniową krewnemu swemu św. Ludwikowi, królowi Francuskiemu. Chciał on przez to wywdzięczyć się temu monarsze za wszystko, co tenże uczynił dla obrony państwa wschodniego i Palestyny. Święty Ludwik nie był obojętnym na taki podarunek. Wdzięczność swą okazał tem, że z majątku swego spłacił znaczną sumę, jaką cesarstwo wschodnie winno było rzeczypospolitej Weneckiej, i za którą cierniowa korona była zastawioną.

Drogocenny ten skarb, który się znajdował w opieczętowanej skrzynce, zabrali dwaj czcigodni mężowie z zakonu św. Dominika, ojciec Jakób, który był poprzednio przeorem w Konstantynopolu, i ojciec Andrzej — razem z orszakiem, przeznaczonym na to umyślnie, i przywieźli go z wielką czcią z Wenecyi do Francyi.

Kilku francuskich historyków, jak naprzykład Wilhelm z Nangis i Wincenty z Beauvis, opisało szczegółowo całą tę ceremonię. Św. Ludwik wyszedł naprzeciwko orszaku, niosącego tę relikwię i uszedł z pięć mil po za miasto Sens. Towarzyszyli mu: bracia jego, królowa matka, oraz znaczny poczet książąt

i prałatów. Koronę postanowił zanieść sam z bratem swoim Robertem z Artois, do katedry w Sens — i dokonał tego boso wśród niezliczonych tłumów ludu. Pobożność jego i łzy płynące mu z oczu, świadczyły o żywem uczuciu wiary, jakiem serce jego było przejęte.

Z Sens przeniesiono świętą koronę w uroczystej procesyi do Paryża, dokąd przybyła 11 Sierpnia 1239 roku. Sam król niósł św. skrzyneczkę — a gdy wchodził do miasta, zaczął lud wołać:

— Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie i który sprawił, że Francya przez posiadanie tak cennego daru, została wywyższoną!

Król, jakoteż wysocy dygnitarze państwa i poddani, oddawali tej relikwii najgłębszą cześć. Ponieważ zaś bogobojny ten monarcha otrzymał prawie równocześnie inne jeszcze świętości, a mianowicie ostrze włóczni, którą Zbawicielowi bok przebito — kawałek gąbki, którą Mu podano do ust, napoiwszy ją octem i żółcią, i znaczną część prawdziwego krzyża — przeto kazał w swoim pałacu zbudować wspaniałą kaplicę, by kosztowne te pamiątki godnie pomieścić i wystawić je na widok publiczny. Jest to tak zwana „święta kaplica“. Założył tam także opactwo, które przez jego i następców jego hojność, stało się jednem z najbogatszych w całym kraju.

Uroczystość przeniesienia cierniowej korony Chrystusa obchodzą w całej Francyi dnia 11 Sierpnia. Co do prawdziwości świętej tej relikwii, nie podnoszono nigdy najmniejszej wątpliwości. W roku 1793 w czasie rewolucyi, wydobyto świętą koronę ze skrzynki, w której przez tyle wieków spoczywała — przedzielono ją na trzy mniej więcej równe części, które razem z innemi relikwiami „świętej kaplicy“ oddano komisyi sztuk pięknych, a później bibliotece narodowej, gdzie aż do roku 1804 pozostały. W tym to roku na żądanie Arcybiskupa paryskiego kardynała Belloy, zwrócono katedrze koronę; pierwej jednak poddano części jej oględzinom duchownych, którzy ją dawniej widzieli i spamiętali sobie dobrze kształt jej — poczem uznano ją za prawdziwą.

Obecnie na świętej koronie nie ma już cierni; pochodzi to ztąd, że ciągle odłamywano z niej po kolcu i obdarzano niemi różne kościoły, gdzie je czczono jako świętą relikwię. Jeden z tych cierni naprzykład, darował święty Ludwik biskupiemu kościołowi Najświętszej Panny w Puy, stolicy ziemstwa Velay. Kościół katedralny w Trydencie w Tyrolu, posiada od niepamiętnych czasów cierń z świętej korony Chrystusowej, z którym rok rocznie w tak zwaną czarną czyli passyjną niedzielę odprawiają uroczystą procesyę. Cierń ten dostał się tu albo przez

krzyżowców, do których należeli waleczni rycerze tyrolscy, a nawet i biskupi Trydenccy, albo też z Paryża do Trydentu. — Następnie w kościele św. Praksedy w Rzymie, w którym się znajduje słup biczowania Chrystusowy, pokazują także trzy ciernie z bolesnej korony Jezusowej. Zdarzało się też, że z wielkiej pobożności wyrabiano często ciernie na wzór prawdziwych; te jednak są niezwykle długie.

Uwaga. *Z jakiego krzaka była upleciona cierniowa korona Chrystusa?* Według podania, utrzymującego się od wieków pośród katolików w Jerozolimie, koronę tę bolesną zrobiono z pewnego ciernistego krzewu, którą botanicy nazywają „Lyzium spinosum“. Lecz Haselquist, uczony botanik twierdzi, że koronę tę upleciono z arabskiej rośliny „Nabka.“ Powód, dla którego tak utrzymuje, zasługuje na uwagę:

— Jestto bardzo prawdopodobnem — pisze on — że arabska „Nabka“ dostarczyła materyału na koronę, którą Panu Jezusowi na głowę włożono. Roślina ta jest bardzo pospolitą na Wschodzie. Nie można było obrać stosowniejszej rośliny w tym celu — ma bowiem kolce, giętkie gałązki i ciemnozieloną barwę, jak powój. Być może, że nieprzyjaciele Pana obrali umyślnie tę „Nabkę“, gdyż była bardzo podobną do owej rośliny,

jaką zwykle wieńczono cesarzy i wodzów; a to dlatego, by męczarnie Jego połączyć z dotkliwem szyderstwem.

Święte schody.

Jedną ze świętych pamiątek męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, są tak zwane *święte schody* (Scala santa) zwane także *schodami Piłata*. Są to owe schody, składające się z 28 stopni, które według pobożnej tradycyi, znajdowały się niegdyś w pałacu sądowym w Jerozolimie, i po których stąpał kilka razy Zbawiciel nasz, gdy musiał stawać przed sądem, skrapiając je drogą krwią swoją. Pamiątka ta godną jest przeto religijnego poszanowania a zarazem czci pobożnej. Od czwartego wieku znajdują się święte schody w Rzymie. Święta Helena kazała 28 stopni przenieść z Jerozolimy do Rzymu około roku 326. Papież Sergiusz II, (rządzący od r. 844 do 847) kazał schody te ustawić przed głównemi drzwiami kościoła świętego Jana Lateraneńskiego. Później przenoszono je jeszcze kilka razy; po raz ostatni za Sykstusa V. Papież ten kazał je przenieść w roku 1589 do słynnej kaplicy Sancta Sanctorum, i ustawić u wejścia; w kaplicy tej, którą kazał wystawić, zgromadził najdroższe relikwie znajdujące się w Rzymie

O tej wspaniałej kaplicy i prowadzących do niej „świętych schodach“ pisze pewien naoczny świadek w sposób następujący:

„Naprzeciw Lateranu wznosi się osobny budynek, słynna owa kaplica Sancta Sanctorum, otoczona dwiema innemi, mniej ważnemi kaplicami. Pięć stopni prowadzi do tych trzech kaplic, trzy zaś do samej kaplicy Sancta Sanctorum. Środkowy stopień jest właśnie tym, który się znajdował w domu Piłata i po którym Zbawiciel nasz przechodzić musiał kilka razy. Niewiadomo, jak stopień ten wewnątrz wygląda; pokryty jest bowiem z wierzchu twardem drzewem, by tak cenna relikwia nie doznała uszkodzenia od pobożnych pielgrzymów, odwiedzających ją bardzo często. Po obu stronach schodów a także i u góry są ściany, malowane al fresco, które przeważnie przedstawiają symbole krzyża, naprzykład węża miedzianego na pustyni, lub też sceny z męki Pańskiej.

Znakomici Rzymianie i pielgrzymi przybyli z daleka, odwiedzają z największem nabożeństwem święte schody, a zwłaszcza w Wielkim Tygodniu. Stanąwszy u stóp schodów odmawia się zwykle modlitwę, poczem wychodzi się na klęczkach po stopniach (gdyż nie można chodzić nogami po tych św. schodach) i odmawia na każdym stopniu krótką modlitwę. Po skończonem na-

bożeństwie schodzi się na dół innemi schodami.“

Kilku Papieży, jak: Leon IV, około roku 850, Paskal II, roku 1100, Pius VII, roku 1817 — nadało odpusty wszystkim, którzy ze skruchą obejdą te schody, rozważając podczas tego mękę Jezusa Chrystusa.

Weronika, czyli prawdziwe wyobrażenie twarzy Chrystusowej.

Tak nazywają wyobrażenie oblicza Zbawiciela naszego, odbite na płótnie, które przechowują w kościele św. Piotra w Rzymie. Jedni sądzą, że płótno to jest śmiertelną chustą, która pokrywała twarz Zbawiciela, gdy święte Jego ciało leżało w grobie. Inni zaś, a między nimi Papież Benedykt XIV twierdzą, że jest to chustka lub zasłona, którą pewna pobożna matrona otarła twarz Chrystusa, gdy tenże upadając pod ciężarem krzyża, potem zlany, wychodził na górę Kalwaryi. Zwykle nazywają tę niewiastę Weroniką. Podanie mówi, że Weronika jest to ta sama niewiasta, którą Pan Jezus uleczył od krwiotoku, a która następnie miała z wdzięczności ku Boskiemu Lekarzowi swemu wystawić posąg.

O relikwii prawdziwego wizerunku bolejącego Jezusa, znajdującej się w kościele

świętego Piotra w Rzymie, istnieje wiadomość już w dwunastym i trzynastym wieku. I tak wspomina o niej starodawny ceremoniał, przypisany w roku 1143 Papieżowi Celestynowi II; również i Papież Innocenty III, zmarły w r. 1216 i Papież Mikołaj IV w bulli z r. 1290. A nawet, jak się okazuje z breve Papieża Sergiusza IV, istniał już 23 Listopada 1011 roku w kościele św. Piotra na cześć świętej chustki osobny ołtarz, w którym przechowywała się zasłona płócienna, na której był odbity wizerunek św. oblicza Zbawiciela. Przy tej sposobności obnoszono w procesyi odbicie świętej twarzy i odprawiano wotywę o św. Weronice.

Do dziś dnia przechowuje się i doznaje pobożnej czci święta owa chustka we wspomnianym kościele w Rzymie, rozpostarta we wspaniałych ramach. Odbicie skrwawionego oblicza Zbawiciela jest ciemne.

„Opętani — mówi pewien pisarz — miotają się i szaleją w straszny sposób, gdy w Wielki Tydzień pokazują odbicie świętego oblicza.“

Gdy Pius IX w nieszczęsnym roku 1849 musiał uchodzić z Rzymu i przebywał w Gaecie, ukazało się święte oblicze Chrystusowe kanonikom kościoła św. Piotra w Rzymie w wilię Trzech Króli, jaśniejące niezwykłym blaskiem i pogodą, i napełniło ich nową otuchą i odwagą.

Gdy po roku jubileuszowym Papież pierwszą cegłę w otwartą bramę jubileuszową w kościele Lateraneńskim w pierwsze święto Bożego Narodzenia przy odgłosie trąb i bębnów włoży, spieszą wszyscy do świętego Piotra, gdzie Kardynał czyni to samo. Na ołtarzu św. Piotra płonie ośm świec, Kardynał przybrany w ornat, przystępuje do ołtarza, pokazuje pobożnym tłumom wiernych trzy drogocenne relikwie, a mianowicie: wielką, długą na dwie stopy część św. krzyża, obraz Weroniki i świętą włócznię (bez ostrza), i udziela błogosławieństwa przy każdej z tych trzech relikwii wzruszonemu i rzewnie płaczącemu ludowi.

Na cześć świętego oblicza Jezusowego zaprowadzono w niektórych kościołach osobne święto ze Mszą i officyum, jak naprzykład w Paryżu i innych miejscowościach we Francyi w pierwszy wtorek postu, również i w Moguncyi itd. Kopia rzymskiej Weroniki znajduje się w opactwie PP. Cystersek w Montreuilles-Dames we Francyi od roku 1249, i w Moguncyi w kościele św. Emmerana.

Święty krzyż Jezusa Chrystusa.

Pod opieką cesarza Konstantyna Wielkiego zażywał Kościół święty spokoju. Ponieważ monarcha ten cudowną siłą krzyża św.

w roku 311 nieprzyjaciół swych zwyciężył, przeto odtąd czuł najżywszą wdzięczność względem tego, który siłę ową nadał przez śmierć swoją krzyżowi; ztąd też pochodziła owa głęboka cześć, jaką ten książę czuł odtąd dla miejsc, gdzie się dokonało zbawienie ludzi.

Pałając chęcią uczczenia Zbawiciela, powziął Konstantyn zamiar zbudowania wspaniałego kościoła w Jerozolimie, które to miasto obecnością swą, nauką, cudami i cierpieniami szczególniej Jezus uświetnił. Jak syn, tak i matka jego święta Helena, czuła niewymowną tęsknotę do Ziemi świętej. Chociaż miała już blisko 80 lat, to jednak wybrała się w roku 326 w podróż do Palestyny. Przybywszy do Jerozolimy, pragnęła gorąco znaleść krzyż święty, na którym Jezus Chrystus za grzechy nasze cierpiał; lecz wszelki ślad jego zaginął; nawet z tradycyi ustnej nie można się było nic dowiedzieć. Jednak Helena, stała w postanowieniu swojem, używała wszelkich sposobów, któreby ją mogły naprowadzić na ślad pożądany, i wypytywała się o niego mieszkańców Jerozolimy. Powiedziano jej, że gdyby się jej udało odkryć grób Zbawiciela, to znalazłaby w nim także niezawodnie i narzędzia męki Jego, gdyż żydzi mieli zwyczaj wykopywania dołu obok miejsca, gdzie chowano skazańców, i wrzu-

cania tam wszystkiego, co tylko służyło do wykonania wyroku śmierci.

Poganie wznieśli w miejscu ukrzyżowania świątynię pogańską z posągami Jowisza i Wenery. Na rozkaz cesarzowej zburzono ją, oczyszczono miejsce to z gruzów i zaczęto kopać w ziemi. Niebawem natrafiono na grób święty, a obok niego leżały w ziemi trzy krzyże i napis z krzyża Jezusowego, ale odłączony od niego; również i gwoździe, któremi święte Jego ciało przebito. Było to oczywistem, że jeden z tych trzech krzyżów musiał być tym, którego szukano — dwa zaś drugie należały do dwóch łotrów, między którymi ukrzyżowano Jezusa. Ale nie umiano ich rozróżnić. W tem kłopotliwem położeniu wpadł Makaryusz, biskup Jerozolimski na następujący pomysł: kazał zanieść trzy te krzyże do pewnej chorej kobiety, bliskiej śmierci. Modląc się gorąco do Boga, dotknął chorej dwoma pierwszemi krzyżami, lecz ta nie uczuła najmniejszej ulgi ni zmiany — skoro zaś zbliżono tylko do niej trzeci krzyż, uczuła się nagle uzdrowioną. Święta Helena okazała najżywszą radość z tego cudu, który jej dopomógł do znalezienia prawdziwego krzyża.

Następnie kazała Helena odciąć dwie znaczne części z krzyża Chrystusowego. Jednę część odstąpiła cesarzowi, synowi swemu, który go przyjął z wielką czcią w Konstan-

tynopolu. Drugą część mającą łokieć długości, ofiarowała kościołowi, który kazała wystawić w Rzymie pod wezwaniem: „świętego Krzyża Jerozolimskiego“. Trzecią bardzo znaczną część kazała bogato oprawić i obdarzyła nią biskupa Makaryusza w Jerozolimie, by ją przechować dla potomności. Kosztowny ten skarb złożono we wspaniałym kościele, który cesarzowa i syn jej kazali wystawić na miejscu, gdzie krzyż św. znaleziono; kościół ten nazywa się dzisiaj: „kościołem Grobu świętego“ lub „Zmartwychwstania.“

Ze wszech stron napływały tłumy wiernych, by uczcić drzewo krzyża świętego. Często odcinano kawałeczki, które dawano pobożnym osobom, a na świętem tem drzewie nie zauważano najmniejszego uszczerbku; okoliczność tę przytacza biskup Paulinus.

Święty Cyryl Jerozolimski opowiada, że we 25 lat po znalezieniu krzyża świętego podzielono jedną małą cząstkę i rozesłano do wszystkich krajów na ziemi; cud ten porównywa z tym, jaki zdziałał Jezus, gdy pięcioma bochenkami chleba pięć tysięcy ludzi nakarmił.

Podwyższenie Krzyża św.

W roku 614 wpadł Chozroes, potężny król Persów i zacięty wróg chrześcijan do wcho-

dnich prowincyj rzymskiego państwa. Pewna część wojsk jego wpadła do Palestyny, a tysiące żydów, którzy się cieszyli, że nadszedł teraz czas pomszczenia się na chrześcijanach, przyłączyło się do niego. Nieprzyjaciele zdobyli Jerozolimę szturmem, wyprawili straszną rzeź, zrabowali kosztowne skarby kościelne i krzyż święty, i zabrali wiele jeńców, a między innymi i patryarchę Zacharyasza do Persyi. Persowie spodziewając się wielkiego okupu za krzyż święty, zamknęli go do srebrnej skrzyni i opieczętowali w obecności patryarchy Zacharyasza, pieczęcią kościoła patryarchalnego Jerozolimskiego, by dowieść jego prawdziwości. Druga część wojska dotarła do Chalcedonu, niedaleko od Konstantynopola. Cesarz Herakliusz starał się usilnie o zawarcie pokoju, lecz Chozroes odpowiedział mu z szatańską pychą:

— Rzymianie! dopóki ukrzyżowanego człowieka będziecie uważali za Boga i dopóki będziecie się wzbraniali czcić słońce, dopóty nie możecie się spodziewać pokoju!

Herakliusz upadł już tak dalece na duchu, że chciał opuścić Konstantynopol i uciec do Afryki; wtem stanął przed nim Sergiusz, patryarcha Konstantynopolitański, i w ognistych słowach zachęcał go do ufności we wszechmocność Boską, zaprowadził go przed wielki ołtarz kościoła świętej Zofii, i kazał mu przysiądz, że razem z całym narodem

będzie za prawdziwą wiarę żył i umierał — i ofiarował mu cały majątek kościelny na dalsze prowadzenie wojny.

Skutkiem tej przemowy nastąpiła cudowna zmiana. Herakliusz stanął odważnie na czele wojska; jak lew rozjuszony natarł na nieprzyjaciół — zdobywał jednę prowincyę po drugiej i wpadł aż do Persyi, gdzie zawarł pokój z synem Chozroesa, który zamordował okrutnego ojca swego. Przy zawarciu pokoju zastrzegł sobie Herakliusz przedewszystkiem zwrot krzyża świętego i gdy wjeżdżał tryumfalnie do Konstantynopola, niesiono przed nim drogą tę relikwię.

Na wiosnę następnego roku (629) wyprawił się Herakliusz z świetnym orszakiem do Jerozolimy, by tam zawieźć krzyż święty i podziękować Najwyższemu za odniesione zwycięztwo. Ceremonia ta odbyła się nadzwyczaj uroczyście. Drogą tę świętość niesiono w uroczystej procesyi na dawne miejsce do kościoła Grobu świętego na górze Kalwaryjskiej; cesarz zachował dla siebie zaszczyt zaniesienia krzyża świętego na własnych ramionach.

Ale gdy procesya przy odgłosie muzyki i śpiewów pobożnych doszła do bramy, która prowadzi na Golgotę, nie mógł cesarz postąpić ani kroku naprzód — niewidzialne ręce zdawały się go trzymać na miejscu. Obecny lud odchodził od siebie ze strachu; a

patryarcha Zacharyasz spojrzawszy w niebo przemówił natchnionym głosem:

— Zważ, Herakliuszu, czy w pysznych szatach tryumfatora podobnym jesteś do Boskiego Zbawiciela, który tą samą drogą idąc, niósł krzyż, jako najpokorniejszy i najuboższy z ludzi! Cesarska twoja szata jaśnieje od złota, pereł i drogich kamieni — Jezus zaś był ubogo ubrany; na twojej głowie błyszczy kosztowny dyadem, a głowę Chrystusa ugniatała cierniowa korona; stopy twoje są obute — a Odkupiciel nasz szedł boso.

Natychmiast zdjął Herakliusz przepyszne swe szaty, dyadem i obuwie, przywdział ubogą suknię, i teraz — szedł już swobodnie i bez przeszkody z krzyżem na ramionach aż na szczyt Kalwaryi. Uroczystości tej chciał sam Pan Bóg dodać większej jeszcze świetności, uzdrowiwszy cudownie w pamiętnym tym dniu wielu chorych.

Dalsze koleje św. krzyża Jerozolimskiego.

Gdy Jerozolima dostała się z czasem pod panowanie Saracenów, mieli ci niewierni dokonać dzieła zniszczenia krzyża świętego. Postanowili przeto chrześcijanie kawał drzewa krzyża świętego znajdujący się w Jerozolimie, podzielić na części, aby je łatwiej ukryć przed poszukiwaniami niewiernych, i

cząstki te poroznosili w różne miejsca. W Jerozolimie pozostawiono cztery kawałki. A gdy w roku 1099 przyszli tamże pierwsi krzyżowcy, były jeszcze w świętem tem mieście. Chrześcijanie tamtejsi ukryli je troskliwie przed okiem i poszukiwaniami Saracenów. Po zdobyciu miasta przez krzyżowców, wydobyli je znów z ukrycia.

„Widok drzewa krzyża świętego — mówi pewien stary kronikarz — na którym Syn Boży zbawienia świata dokonał, wprawił chrześcijańskich zwycięzców w najwyższe uniesienie. Radość ich była tak wielką, jak gdyby istotnie widzieli ciało Jezusa Chrystusa wiszące na nim.“

Kawałki te krzyża świętego obnoszono w tryumfie po ulicach Jerozolimy i wystawiono znów w kościele Zmartwychwstania na publiczne uczczenie.

O relikwii krzyża św. w Rzymie.

Wspomnieliśmy już powyżej, że pobożna cesarzowa Helena obdarzyła Rzym kawałkiem krzyża świętego. O dobrą milę od kościoła św. Piotra, na Eskwilińskiem wzgórzu, w pobliżu świątyni Lateraneńskiej, wznosi się tak zwana „Bazylika św. Krzyża Jerozolimskiego“. Przy niej znajduje się klasztor pierwotnie Kartuzów, obecnie należący do

Cystersów. Fundamenta bazyliki i klasztoru położył już cesarz Konstantyn w pałacu Sesoryańskim. Tak więc zrządził Bóg, iż tam, gdzie w czasach pogańskich Wenus i Kupido mieli swoją świątynię, miało się później przechowywać zwycięzkie godło Zbawiciela i odbierać cześć od całego świata. W kościele tym jest bowiem kawał krzyża Chrystusowego, dar świętej cesarzowej Heleny, składający się z trzech dużych części i doznający czci powszechnej, jako też napis z krzyża i jeden z trzech świętych gwoździ, o czem będzie mowa poniżej, również i część owej ziemi, gdzie święta Helena owe relikwie znalazła.

Obecny kształt zawdzięcza kościół ten Papieżowi Benedyktowi XIV; odnowionym zaś był dwa razy: w roku 720 za Grzegorza II, a później w roku 1144 za Łucyusza II.

O trzech znacznych relikwiach krzyża św. w Rzymie.

Za panowania Saracenów, podzielono jak to już powyżej wzmiankowano, wielki kawał świętego krzyża Jerozolimskiego, by go ocalić od zatraty i zbezczeszczenia, na kilka części. Tak więc posiadały niektóre kościoły krzyże, które zrobiono z owego wielkiego kawałka. Jedną z tych osób, które były

w posiadaniu znacznych części tegoż, był także Dawid, król Georgii, który żył w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej. W roku 1109, t. j. w 10 lat po zdobyciu Jerozolimy przez krzyżowców, dostał się krzyż króla Georgii w posiadanie pewnego byłego kanonika, nazwiskiem Anseau. Ten był kapelanem wojska francuskiego w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej, a następnie dyrektorem chóru w kościele Grobu świętego w Jerozolimie; nieocenioną tę relikwię otrzymał od wspaniałomyślnego Jerozolimskiego patryarchy Gibelina, który ją sam dostał od wdowy po królu Dawidzie, zamieszkałej w Jerozolimie po śmierci swego męża.

Anseau posłał ten krzyż Galonowi, biskupowi Paryża, jako dar dla tamtejszej katedry. Krzyż ten znajdował się w skarbcu kościoła Notre-Dame aż do roku 1793. Ale właśnie w tym czasie zrabowano ten skarbiec, a krzyż święty wpadł w ręce niejakiego Guyota de Sainte Helene, który był komisarzem dzielnicy, i pod bądź jakimś pozorem otrzymał pozwolenie zatrzymania sobie tej „starzyzny.“ Podzielił się nim z podskarbim kościoła Notre-Dame, a z owego kawałka, który sobie zatrzymał, kazał zrobić cztery krzyże, z których trzy zwrócił sam w roku 1803 Kapitule kościoła Notre-Dame — i te istnieją tam po dziś dzień.

Taż sama Kapituła katedralna w Paryżu

posiada jeszcze jeden krzyż, zwany „palatynackim“, odznaczający się kilku szczególnościami. Nazwa jego pochodzi od księżniczki Palatynatu, Anny z Cleve, która go dostała w darze od Jana Kazimierza, króla polskiego i darowała umierając opactwu Saint Germain de Prés. Krzyż ten ma kształt krzyża greckiego z dwoma poprzecznemi ramionami; ma złotą oprawę, na której się znajduje grecki napis, z którego się okazuje, iż pochodzi z czasów cesarza Manuela Komnena, z roku 1160.

Jeden jeszcze znaczny kawałek prawdziwego krzyża znajduje się w Paryżu, w tak zwanej „Świętej Kaplicy“. W 130 lat bowiem po przysłaniu wspomnionego kawałka krzyża świętego przez ks. Anseau Kapitule katedralnej w Paryżu, otrzymał św. Ludwik, król francuski, od krewnego swego Balduina II, w jakiś czas po św. cierniowej koronie, także i znaczną część świętego drzewa, którą święta Helena posłała była synowi swemu Konstantynowi Wielkiemu. Tą, jakoteż i innemi relikwiami wzbogacił Ludwik „Świętą Kaplicę“, którą kazał wystawić umyślnie w swoim pałacu.

W czasie rewolucyi 1793 roku, przeniesiono tęż relikwię do Saint-Denis, gdzie się dostała w posiadanie pewnej pobożnej pani, która ją znów w roku 1804 miastu oddała. Obecnie można widzieć krzyż ten w świętej

kaplicy — jest on z czerwonawego drzewa (cedrowego), ma ośm cali długości, półtora cala szerokości, a blisko cal grubości.

Napis na krzyżu Jezusa Chrystusa

(w kościele św. Krzyża w Rzymie).

Było u Rzymian w zwyczaju, iż przed skazańcami prowadzonymi na śmierć, niesiono napis na tabliczce, oznaczający powód, dla którego ich tracono. Tak mówi rzymski pisarz Swetoniusz w jednym ustępie, w którym opowiada o pewnym przestępcy:

„Niesiono przed nim tablicę z napisem, aby lud czytał przyczynę śmierci jego.“

Toż samo opowiada chrześcijański dziejopis Euzebiusz o świętym męczenniku Attalusie w Lyonie, mówiąc:

„Oprowadzono go koło amfiteatru i niesiono przed nim tablicę, na której stały te słowa: Attalus, chrześcijanin!“

Stósownie do tego rzymskiego obyczaju, kazał Poncki Piłat przed Zbawicielem, prowadzonym na górę Kalwaryi na śmierć krzyżową nieść napis czy tablicę, na której przyczyna Jego śmierci była wypisana słowami:

„Jezus Nazareński, król żydowski.“

Po przybiciu Jezusa, przybito także i tę tabliczkę do krzyża. Piłat chciał wyrazić przez ten napis, że Jezus dlatego został na

śmierć skazany, iż dążył do osiągnięcia najwyższej władzy, nie zaś, iżby był istotnie królem żydowskim. Ale i to stało się za Boskiem zrządzeniem. Chrystus był istotnie królem — prawdziwym królem Żydów, Greków i Rzymian; dlatego też i napis ten był w języku tych trzech narodów: hebrajskim, greckim i łacińskim; aby go wszyscy czytali i składali Panu cześć, której miał prawo wymagać.

Po pochowaniu ciała Zbawiciela, wrzucono wszystkie narzędzia, które służyły do ukrzyżowania Go, do dołu, wykopanego w pobliżu miejsca pochowania. Tak zwykli byli czynić zawsze żydzi po straceniu każdego skazańca.

Gdy cesarzowa Helena w roku 326 krzyż święty znalazła, była tam także i tabliczka z napisem, lecz oddzielona od krzyża. Cesarzowa darowała tabliczkę tę razem z częścią krzyża Chrystusowego kościołowi, który kazała wystawić w Rzymie, i który dlatego został nazwany kościołem świętej Heleny lub św. Krzyża Jerozolimskiego. Tabliczkę tę zamknięto do skrzyneczki ołowianej i uwiązano do łuku sklepienia tegoż kościoła. Tam też w roku 1492 za Papieża Innocentego VIII znaleźli ją murarze przy naprawie kościoła. Tabliczka ta była biało pomalowana, potrójny napis wypisany czerwonemi gło-

skami — farby te jednak zatarły się bardzo przez tak długi czas.

Jako wielką osobliwość podają, że grecki i łaciński napis rozciąga się od ręki prawej ku lewej, prawdopodobnie dlatego, by każda litera zgadzała się słowo w słowo z hebrajską.

Gdy w roku 1492 otworzono ołowianą skrzyneczkę po raz pierwszy, okazało się, że deszczułka czyli tabliczka, była już mocno draśnięta zębem czasu, i że dwie litery słowa „Judaeorum“ zatarły się zupełnie — w owym czasie długość jej wynosiła jeszcze 9 do 10 cali. W roku 1564 zaglądano znów do tego szacownego zabytku, i okazało się, że znów ubyło kilka liter na tem samem miejscu; w roku 1648 znikło całkowicie słowo: „Jezus“; a w roku 1828 spustoszenie wskutek tego było jeszcze widoczniejsze. Z hebrajskiego napisu znajdującego się u góry ponad tamtemi dwoma, nie pozostało nic, jak tylko ślad głosek hebrajskich, których jednak niepodobna było odczytać. Z greckiego znajdującego się tuż pod nim, pozostało tylko słowo: „Nazaraios“, z trzeciego zaś wiersza pozostało łacińskie słowo „Nazarenus“ i dwie pierwsze głoski słowa „Rex“.

W Tuluzie, we Francyi, pokazują także w kościele Notre-Dame la Daurade napis krzyżowy, ale ten jest tylko naśladowaniem tego, który się w Rzymie znajduje, i ma pięć wierszy, zamiast trzech.

Włócznia.

Włócznia, którą rzymski żołnierz przebił bok Jezusowi, była według zapewnienia Andrzeja z Krety, zakopaną do ziemi razem z krzyżem i razem z nim znalezioną.

Święty Grzegorz z Tours († 596) i wielebny Beda († 735) twierdzą, że święta włócznia była za ich czasów w Jerozolimie. Z obawy przed Saracenami, przenieśli ją chrześcijanie do Antyochii i zakopali potajemnie w kościele. W roku 1098 wydobyli ją znów ztamtąd i przy tej sposobności działy się różne cuda, jak o tem wspomina pewien mnich, imieniem Robert, oraz kilku innych świadków naocznych. Gdy bowiem krzyżowcy europejscy zdobyli Antyochię 3 czerwca 1098 r., ale niespodzianie zamknięci dookoła licznemi zastępami niewiernych i dręczeni straszną klęską głodową, o wszelkim ratunku zwątpili — opowiedział Piotr Barthelemi, kapłan z Prowancyi we Francyi, że apostoł Andrzej ukazał mu się trzy razy, noc po nocy — i objawił mu, że w kościele świętego Piotra w Antyochii, jest zakopaną przed wielkim ołtarzem włócznia, którą rzymski żołnierz przebił był niegdyś bok Chrystusa; że należy ją wykopać, i że z włócznią tą odniosą chrześcijanie zwycięstwo.

Zaczęto więc kopać i dnia 14 Czerwca, po długich trudach, znaleziono w ziemi św. włócznię. Cudowny ten nabytek napełnił krzyżowców niewymowną radością i uniesieniem; pewni zwycięztwa, natarli jak lwy na nieprzyjaciela — Korborga został pobity z niezmiernem swem wojskiem saraceńskiem, a cały bogaty jego obóz stał się łupem zwycięzców chrześcijańskich (28 Czerwca 1098 roku).

Świętą włócznię przeniesiono znów do Jerozolimy, a ztąd wkrótce do Konstantynopola. Cesarz Balduin II posłał ostrze świętej włóczni rzeczypospolitej Weneckiej (około roku 1238) jako zastaw za pewną kwotę pieniężną, którą mu pożyczyli Wenecyanie. Swięty Ludwik, król Francuzki wykupił tę relikwię, zapłaciwszy Wenecyanom dług, który był na nią zaciągnięty, i kazał ją przenieść do Paryża. Cenny ten skarb przechowują tam dotąd w tak zwanej „świętej kaplicy.“

Pozostała część świętej włóczni znajdowała się w Konstantynopolu, gdy Turcy miasto to pod Mahometem II 1453 r. zdobyli. Lecz Sułtan Bajazet 1491 roku posłał tę świętą relikwię Papieżowi Innocentemu VIII w bardzo pięknym i kosztownym futerale. Zawiadomił nadto sułtan Papieża, że ostrze włóczni znajduje się w posiadaniu króla francuzkiego.

Papież w towarzystwie całego duchowieństwa, przyjął tę relikwię z największą uroczystością i wystawnością — i kazał ją umieścić w kościele Watykańskim, gdzie też dotąd największej czci doznaje. W kaplicy „Sancta Sanctorum“ u św. Jana Lateraneńskiego znajduje się również cząstka tej świętej włóczni.

IMPRIMATUR.

(L. S.) † *Albinus*,

Cracoviae die 24 Septembri 1888. Eppus.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

Narzędzia męki Jezusa Chrystusa.

(Dokończenie.)

Gwoździe.

Gdy cesarzowa Helena znalazła szczęśliwie krzyż święty w Jerozolimie, znaleziono też równocześnie w ziemi i gwoździe, któremi przybito ciało Zbawiciela; niewiadomo jednak, czy ich było trzy, czy cztery — prawdopodobnie było ich cztery. Rzymianie bowiem — według Pliniusza — przytwierdzali u stóp krzyża kawałki drzewa, by skazańcy mogli sobie na nich oprzeć nogi; która to okoliczność potwierdza mniemanie wyrażone powyżej, iż nogi Zbawiciela były przybite gwoździami jedna obok drugiej, nie zaś jedna na drugiej. Dalsze dzieje relikwii gwoździ świętych opowiada tradycya w sposób następujący:

„Konstantyn Wielki dostał od pobożnej swej matki dwa z tych świętych gwoździ i kazał umieścić jeden w hełmie swoim, drugi zaś w cuglach konia swego. Święty Ambroży, oraz kilku innych pisarzy mówi, że Konstan-

tyn jeden z tych gwoździ (albo może część tylko z niego) kazał wprawić w kosztowny dyadem, który nosił przy największych uroczystościach kościelnych — a drugi, w przepyszne cugle swojego konia, czerpiąc w widoku jego otuchę wśród największych niebezpieczeństw wojennych.

Trzeci gwóźdź miała wrzucić Helena, według twierdzenia św. Hieronima i Grzegorza z Tours, do morza Adryatyckiego, aby zażegnać straszną burzę morską, która się srożyła w czasie jej przeprawy przez to morze, a rozszalały ten żywioł uspokoił się natychmiast. Ale nie jest to podobnem do prawdy, by pobożna ta cesarzowa miała się umyślnie pozbawić tej drogocennej relikwii — należy raczej przypuścić, iż gwóźdź ten kazała zanurzyć na pewien czas w morze wzburzone, a potem znów wyciągnąć.

Czwarty wreszcie gwóźdź miała pobożna ta monarchini ofiarować wystawionemu przez siebie kościołowi świętego krzyża w Rzymie.

O relikwiach gwoździ świętych wiemy obecnie, co następuje:

W Rzymie znajduje się we wspomnianym kościele św. Krzyża żelazny gwóźdź, który jak przypuszczają, ma być darem świętej Heleny. Brakuje mu ostrego końca, który odpiłowano i zastąpiono innym. Niektórzy sądzą, że sproszkowane opiłki domieszano do innych gwoździ, które okuto na wzór

prawdziwego, przez co ilość świętych gwoździ znacznie się powiększyła. Inni zaś twierdzą, że kawałek gwoździa, który niedostaje, użyty został do hełmu lub dyademu Konstantyna Wielkiego, i ztąd to pochodzi owa sławna *żelazna korona* królów Lombardyi; nazwę tę nosi korona złota (obecnie przechowująca się w Monza, w Lombardyi), w której wnętrzu znajduje się bardzo cienka klamra żelazna, ukuta całkowicie lub częściowo z kawałka świętego gwoździa.

Drugi z świętych gwoździ, znajduje się w skarbcu tumu paryskiego, dokąd się dostał z opactwa St. Denis, które go znów od króla Karola Łysego w darze otrzymało. Król ten zabrał go ze skarbca Akwisgrańskiego, który mu Karol Wielki darował — a ten dostał go znów od Patryarchy Jerozolimskiego. Długość jego wynosi 3 cale i 3 linie, głowa jego jest zgniecioną, końca brakuje, cały mocno zardzewiały; gwóźdź ten szczególnym jest przez to, że wbitą jest w niego drzazga drzewa, która prawdopodobnie przyczepiła się do niego, gdy go wyciągano z drzewa krzyża świętego. Katedra paryska posiada także ostrze gwoździa św., dar księżny Palatynatu. Kawałek ten jest blisko trzy czwarte cala długi i przechowany jest, równie jak i cały ów gwóźdź, w naczyniu kryształowem.

Katedra w Trewirze szczyci się posiada-

niem trzeciego gwoździa, którego ostrzu brakuje tylko bardzo maleńkiej cząstki. Gwóźdź ten jest bardzo długi, ma bowiem 6 i pół cala długości. Cząstka brakująca ma się znajdować w katedrze w Toul.

W rozmaitych miastach pokazują również święte gwoździe — ale te są relikwiami drugiego rzędu; są to bowiem zwykłe gwoździe, mieszczące w sobie opiłki z gwoździ prawdziwych, lub też potarte tylko o nie. Wymyślono bowiem ten sposób, by powiększyć ilość świętych gwoździ przez domięszanie opiłek z gwoździa prawdziwego, lub też pocieranie podobnych gwoździ, o prawdziwe, zrobionych z żelaza, i rozdawano je różnym kościołom i osobom.

Święty Karol Boromeusz, bardzo światły kapłan i do najwyższego stopnia sumienny co do relikwii, kazał zrobić kilka gwoździ na wzór tego, jaki się znajdował w Medyolanie, a potarłszy je o niego, rozdał różnym kościołom i osobom. Sztuczny taki gwóźdź otrzymał od niego król Filip II, jako cenną relikwię. Ślady sztucznego tego sposobu pomnażania św. pamiątek i relikwii, istniały już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Święty Grzegorz Wielki i inni dawni Papieże, rozdawali naprzykład jako relikwie, opiłki z okowów św. Piotra; również dodawali je do innych okowów, które robiono na wzór prawdziwych.

O. Abraham a Sancta Clara pisze tak o gwoździach Pana Jezusa:

„Może się to niejednemu wydać bardzo dziwnem, że Kościół chrześcijański posiada tyle świętych gwoździ; jeden bowiem znajduje się w Rzymie, kościele św. Krzyża; drugi w Spoleto; trzeci w Trewirze, o którym wspomina Justus Lipsius; czwarty w Komo; piąty w Kolonii; szósty w kościele PP. Klarysek w Wenecyi; siódmy w Neapolu, w kościele świętej Patrycyi; ósmy w Wiedniu, w skarbcu cesarskim i wiele jeszcze po innych miejscach. Jedni zgodnie z Maloniuszem sądzą, że z prawdziwych gwoździ odpiłowano pewną część, a proszek ten domieszano do żelaza, z którego kuto podobne gwoździe. Inni zaś twierdzą zgodnie z Paciuchellim, że gwoździe, któremi była przybitą tabliczka z napisem nad głową Jezusa na krzyżu, zaliczają się także do świętych gwoździ. Inni jeszcze sądzą, że ci, którzy przybijali Pana naszego do krzyża, próbowali więcej gwoździ, i kilka z nich jako niezdatne odrzucili, które jednak przez dotknięcie Ciała Przenajświętszego, i inne obok leżące uświęciły, a zatem jako relikwie czczone być mogą."

Dalej zaś pisze tenże sam autor:

„Na gwoździu znajdującym się w Neapolu w klasztorze św. Patrycyi (a którym miała być przebitą noga Jezusa Chrystusa), znaj-

duje się kilka widocznych, czerwonych plam, które już nieraz w Wielki Piątek o 9-tej godzinie w świeżą krew się zamieniały. Toż samo opowiadają o gwoździu, znajdującym się w Wenecyi, u Klarysek.

Gąbka.

Było u Rzymian w zwyczaju, że złoczyńcy przybitemu do krzyża, skrapiano rany octem, zapomocą gąbki, umaczanej w tymże. Ocet ma tę własność, że zatyka i ściąga żyły z łatwością; tym więc sposobem tamowano uchodzącą krew na pewien czas i przedłużano nieszczęsnej ofierze życie wśród niewysłowionych mąk i boleści. Niewiadomo, czy i z Jezusem ukrzyżowanym postąpiono sobie w ten sposób; lecz Ewangelia powiada: *„Potem wiedząc Jezus, że się już wszystko wykonało, aby się wykonało pismo, rzekł: Pragnę! Było tedy naczynie postawione, octu pełne: A oni gąbkę pełną octu, obłożywszy Izopem, podali do ust jego. Jezus tedy, gdy wziął ocet, rzekł: Wykonało się!“* (Jan 19. 28—30). Gąbkę zaś, która służyła do podania octu, zachowali wierni, jako uświęconą relikwię, i ta razem z innemi świętościami dochowała się aż do czasów cesarza Heraklliusza w Jerozolimie. Gdy jednak król perski Kozroes w roku 614 zdobył Syryę i Palestynę i święte skarby i kosztowności jero-

zolimskie zrabował i zabrał, uratował patrycyusz Nicetas z pomocą pewnego przyjaciela Sarbacerona, wodza perskiego gąbkę, zapomocą której napojono Zbawiciela octem, oraz włócznię, którą Mu bok przebito. Gąbka dostała się podobno do Konstantynopola i dnia 14 Września tegoż samego roku w wielkim kościele w temże mieście, na cześć publiczną wystawioną została.

Pewna część uświęconej gąbki dostała się — niewiadomo kiedy — do Rzymu i znajduje się w słynnej kaplicy Sancta Sanctorum obok kościoła świętego Jana Lateraneńskiego, gdzie jest z wielką czcią przechowywana. Jest ona barwy czerwonawej. Inna znów cząstka dostała się około roku 1239 za panowania króla francuskiego Ludwika Świętego z Konstantynopola do Paryża, gdzie ją do dziś dnia obok innych relikwii oglądać można.

Święte prześcieradło śmiertelne Chrystusa.

Opatrzność Boska kierowała tem, co uczynił Józef z Arymatei. Józef kazał był poprzednio jeszcze wykuć dla siebie grób w skale, a Bóg Ojciec przeznaczył go na pomieszczenie ciała Syna swego. Był to nowy grób, w którym jeszcze nikt nie leżał. Groby żydów, a zwłaszcza zamożnych, były to podziemne pieczary czyli jaskinie, które wyko-

pywano i murowano, lub też kuto w skale. Mogło się w nich pomieścić kilka ciał; były to groby familijne. Ciała, szczególniej zaś znakomitszych żydów, nakrywano pierwej drogiemi korzeniami lub namaszczano olejkami i balsamami, poczem zawijano w prześcieradła lub wielkie chusty, zakrywano twarz zasłoną lub chustą zwaną „śmiertelną“, poczem składano ciało, leżące na odkrytych marach do grobu.

Tak się też stało z ciałem Jezusa Chrystusa. Prześcieradło to, w którem ciało Chrystusa trzy dni zawinięte w grobie leżało, przechowali pobożni Jego wyznawcy z największą czcią, jako świętą relikwię. Miasto francuskie Besançon, stolica Burgundyi i siedziba Arcybiskupa, które odszczególnia się od wszystkich innych miast chrześcijańskich, i które od początku przyjęcia wiary chrześcijańskiej, odznaczało się zawsze wiernością i przywiązaniem do wiary świętej, posiada od wieków drogocenną tę świętość. Na świętem tem prześcieradle odciśniętą jest postać Pana naszego, Jezusa Chrystusa, ze znakami i śladami śmierci, jaką poniósł dla zbawienia świata. Częste i wielkie cuda dzieją się przy tej cennej relikwii. Kiedy i w jaki sposób dostało się święte prześcieradło do Besançon, niewiadomo. Kościół św. czci święte to płótno przez osobną Mszę co roku w dniu 11 Lipca.

I w innych miejscach mają się znajdować święte prześcieradła lub chusty śmiertelne Jezusa, jak naprzykład w Turynie, w Lizbonie i w wielu innych miastach. Być może, że miasta te posiadają po kawałku prawdziwego prześcieradła, lub też może zwykłe płótno, potarte o tamto. Być także może, że istnieje kilka prawdziwych prześcieradeł ponieważ, jak się wyżej nadmieniło, było u żydów, jako też i innych narodów wschodnich w zwyczaju, iż ciała zmarłych zawijano w kilka prześcieradeł.

Miasto Turyn (w Piemoncie) szczyci się posiadaniem chusty śmiertelnej, której użyto przy włożeniu Jezusa Chrystusa do grobu. Miała ona dostać się tu z Jerozolimy, i na cześć jej obchodzono w tem mieście święto w dniu 4 Maja, które ustanowił Papież Juliusz II. w roku 1506. Kosztowna ta relikwia przechowuje się w kaplicy, zwanej „kaplicą św. śmiertelnego prześcieradła" -- istnieje tam także bractwo, noszące tę samą nazwę. Święty Karol Boromeusz, kardynał i arcybiskup, chodził często, jak o tem wspomina życiorys jego, z Medyolanu do Turynu, by zobaczyć śmiertelne prześcieradło Zbawiciela i pomodlić się przy niem; i nie powrócił nigdy z tej pielgrzymki, nie odbywszy wpierw spowiedzi generalnej.

I do dziś dnia istnieje w niektórych dyecezyach zwyczaj obchodzenia pamiątki świę-

tego prześcieradła śmiertelnego przez odbycie osobnej Mszy św. i pacierzy kapłańskich w dzień piątkowy przypadający w poście.

Święty grób w Jerozolimie.

Miejsce, w którem pochowano ciało Jezusowe po śmierci, i z którego Zbawiciel trzeciego dnia z wielką chwałą i majestatem powstał, było od początku dla uczniów Pana i pierwszych chrześcijan przedmiotem świętej czci i poszanowania. Nawet po straszliwem zburzeniu Jerozolimy w r. 70. odwiedzali i czcili chrześcijanie święty grób Zbawiciela. Aby jednak przeszkodzić ciągłym tym pielgrzymkom do świętego grobu, wystawili tamże pogańscy Rzymianie za panowania cesarza Adryana (od 117 do 138 r.) posąg Jowiszowi i świątynię Wenerze. Było to wszystko, co za czasów Konstantyna Wielkiego, w 200 blisko lat po Adryanie, o grobie Zbawiciela wiedziano i co posłużyło pobożnej Helenie za wskazówkę do odszukania krzyża świętego i miejsca tego.

Pobożna cesarzowa kazała natychmiast zburzyć te pomniki haniebnego bałwochwalstwa, a po znalezieniu krzyża świętego, znaleziono także miejsce grobu świętego. Helena

zbudowała ponad nim wspaniałą świątynię, którą nazwano Bazyliką krzyża świętego, czyli grobu świętego.

W ciągu wieków piękna ta świątynia była nieraz zrabowana i zniszczona, lecz potem zawsze odnowiona i naprawiona.

W nowszych czasach straszny pożar w r. 1808 piękną tę świątynię Grobu świętego w perzynę obrócił. Jednak sam grób święty (a nawet drewniane drzwi jego) ocalał cudownie, pomimo, że cały gmach z pięknemi marmurowemi i porfirowemi słupami, nad nim się zawalił. Wkrótce wydźwignięto kościół ten z gruzów i odnowiono z niesłychanym kosztem — i obecnie jestto rozległy budynek z dwiema wielkiemi kopułami, składający się z wielu pojedynczych kaplic i skrzydeł.

W gmachu tym mieści się góra Kalwaryi oraz grób Zbawiciela. Góra Kalwaryi tworzy pagórek o 21 stopniach; kilka osobnych kaplic znajduje się w obrębie głównego muru w różnych miejscach, jak naprzykład w miejscu, gdzie Chrystusa ukrzyżowano, gdzie żołnierze dzielili się szatami i rzucali losy o suknię Pana, gdzie Zbawiciel ukazał się Maryi Magdalenie i Matce swej po raz pierwszy itd. Najwspanialszą częścią świątyni tej jest kościół Grobu świętego w kształcie rotundy o 18 słupach; otoczony i nakryty wysoką kopułą. W samym środku znajduje

się właściwe miejsce grobu Chrystusowego, przykryte marmurowym pomnikiem. Samo to miejsce zawiera w sobie jaskinię, wykutą w skale, mającą około 6 stóp długości, a 3 stopy szerokości, oświeconą zawsze czterema kosztownemi lampami. Codziennie odprawiają w grobie świętym łacińscy, greccy i ormiańscy księża Msze święte o pewnych godzinach, w ten sposób, że odprawiający ją kapłan stojąc w grobie, spełnia świętą Ofiarę na ołtarzu przenośnym, podczas gdy ministranci i inni służący przy Mszy świętej klęczą dokoła.

Prócz tego odbywają się tu różne procesye z pochodniami i kadzidłem, z modlitwami i śpiewem do miejsc świętych, a zwłaszcza do grobu świętego, którym towarzyszą liczne zastępy pielgrzymów.

Obecnie posiadaniem kościoła Grobu świętego dzielą się katolicy, Grecy i Ormianie; oprócz tego i Koptowie mają tam dobudowany dom modlitwy, a Jakobici syryjscy i Maronici mają tam swój ołtarz w kościele.

„Wszystkie chrześcijańskie narody, mówi Geramb, mają swych przedstawicieli w Jerozolimie — jeden tylko głos nie wzywa tu imienia Jezus, głos protestantów.“

O katolickie nabożeństwo przy grobie św. starają się od roku 1342 ubodzy OO. Franciszkanie, których klasztor znajduje się w pobliżu kościoła Grobu świętego.

Uwaga. Kilka kawałków z świętego grobu Chrystusowego znajduje się w Rzymie, w kaplicy „Sancta Sanctorum.“ (Kath. Bl. 1844, S. 875),

Tajemnica krzyża.

Św. Andrzej, drugi z rzędu apostoł Jezusa, był rodzonym bratem św. Piotra i uczniem św. Jana Chrzciciela; trudnił się początkowo łowieniem ryb w Betsaidzie, nad jeziorem Genezareth. Poznał tam Jezusa, który często przychodził rozmawiać z ubożuchnymi rybakami, i który razu pewnego powiedział do niego i brata jego Piotra: *„Pójdźcie za mną, a uczynię was, że się staniecie rybitwami ludzi.“* Od tej chwili Piotr i Andrzej nie rozłączali się już z Chrystusem, i z pomiędzy 72 uczniów zostali pierwsi Jego apostołami.

dOdtąd Pismo święte rzadko już wspomina o Andrzeju. Tradycya mówi o nim, że gdy po zesłaniu Ducha świętego w czasie Zielonych Świąt, apostołowie rozeszli się z Jerozolimy na wszystkie strony, by opowiadać Ewangelię wszystkim narodom ziemi, udał się Andrzej najprzód do dzikiej Scytyi, która się rozciągała nad morzem Czarnem i Ka-

spijskiem. Użyźniwszy też krainę słowem Bożem, udał się do Kolchidy, Tracyi i Grecyi — a wszędzie pracom niezmordowanego tego apostoła błogosławił Pan Bóg cudownie. Następnie osiadł w Patras, w prowincyi Achai, i założył tu bardzo kwitnącą gminę chrześcijańską.

Egeasz, rzymski namiestnik Achai, dowiedziawszy się o licznem nawracaniu Achajczyków na tak znienawidzoną wiarę chrześcijańską, zapłonął strasznym gniewem i nie cofał się przed najokrutniejszemi środkami, by stanąć w obronie zagrożonego pogaństwa. Andrzej troskliwy o dobro swej trzody, stanął śmiało przed obliczem Egeasza, i w te doń odezwał się słowa:

— Żądasz, by kraj ten uznał cię swym sędzią; i słusznie — ale dlaczego wzbraniasz się, omamiony przez złego ducha, uznać Jezusa Chrystusa najwyższym sędzią całego świata?

Egeasz zapytał się porywczo:

— Czyś ty może ów Andrzej, który burzy świątynie bogów naszych i lud obałamuca, aby przechodził na tę wiarę, przeciw której cesarzowie wydali najsurowsze rozkazy?

Andrzej:

— Cesarzowie dlatego tylko wydali owe rozkazy, ponieważ nie znają prawdy, nie znają nauki Syna Bożego, który przyszedł na ten świat, by zbawić ludzi — nie wiedzą,

że bożki ich nie są bogami, lecz obrzydliwymi djabłami!

Egeasz:

— Mówisz zbyt śmiało. Żydzi ukrzyżowali przecie waszego Chrystusa, ponieważ tak jak mówisz, nauczał.

Andrzej:

— Obyś tę wzniosłą tajemnicę krzyża poznał przez wiarę i zrozumiał, iż ten, który jest Stworzycielem wszystkich ludzi, z niezmiernej miłości i chcąc nas zbawić, przyjął krzyż dobrowolnie na siebie!

Egeasz:

— Jak śmiesz twierdzić, że ten, którego uwięziono, oskarżono, na śmierć skazano i ukrzyżowano, obrał sobie dobrowolnie śmierć krzyżową!..

Andrzej:

— Kto śmierć swoją przepowiedział, kto przepowiedział najdokładniej rodzaj tej śmierci, kto po śmierci powstał z grobu, kto naukę swoją: *„Mam moc oddania życia i mam moc przywrócenia go sobie“* — stwierdził w ten sposób, tego śmierć musi być uważana za dobrowolną, musi być uważana za tajemnicę odkupienia.

Egeasz:

— Czyż to się zgadza z rozumem wierzyć w Ukrzyżowanego?

Andrzej:

— Tajemnicę tę wiary wyłożyłbym ci chętnie, gdybyś mię chciał posłuchać.

Egeasz:

— Śmierć krzyżowa nie jest żadną tajemnicą, lecz karą.

Andrzej:

— Masz słuszność: karą i tajemnicą. Karą, ponieważ Jezus odpokutował tym sposobem za grzechy całego świata; tajemnicą, ponieważ przez to nastąpiło pojednanie między Bogiem, a grzesznym światem — i odtąd zamiast kary Boskiej, łaska — zamiast potępienia wiecznego, zapewnionem jest życie wiekuiste, przez nieograniczoną miłość Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa.

Egeasz:

— Brednie takowe możesz pleść tym, którzy mają ochotę wierzyć ci; ja zaś, jeżeli nie uczynisz bogom ofiary, każę cię siec rózgami i wbić na krzyż, który tak wysławiasz!

Andrzej:

— Ofiaruję jednemu i prawdziwemu Bogu wprawdzie nie kadzidło, nie mięso z wołów lub krew z kozłów — lecz baranka bez zmazy codzień na ołtarzu: a gdy lud spożyje ciało tego baranka i krwi się jego napije, to ofiarny ten baranek pozostanie żywy i cały.

Egeasz:

— Jakże to być może?

Andrzej:

— Jeżeli chcesz zostać uczniem moim, objaśnię ci tę tajemnicę.

Egeasz:

— Gdy cię wezmą na męki, to wyśpiewasz sam wszystko dobrowolnie.

I kazał Andrzeja odprowadzić do więzienia.

Na drugi dzień groził namiestnik więźniowi śmiercią, jeżeli nie uczyni ofiary bogom.

Z anielskim spokojem odpowiedział Andrzej:

— Męka, którą mi grozisz, uczyni mnie tylko przyjemniejszym Panu; ból mój będzie trwał krótko, lecz twoje męczarnie nie będą miały końca.

Egeasz uniesiony strasznym gniewem, rozkazał, by ten nieprzyjaciel bogów i cesarza był chłostany biczami i ukrzyżowany.

Wtedy oburzył się cały naród na namiestnika i chciał przemocą oswobodzić tego sprawiedliwego, świętego i od Boga tak umiłowanego męża: lecz Andrzej zachęcał ich do spokoju i prosił, by go przez niewczesną gorliwość, nie pozbawiali korony męczeńskiej i nie bronili wstępu do wiecznej szczęśliwości — prosił tak gorąco, tak serdecznie, że łzy wzruszenia, które lud cały wylewał, przeszkodziły wszelkim wybuchom i zaburzeniom.

Przybywszy na miejsce stracenia, wyciągnął Andrzej ręce do wzniesionego już krzyża i powitał go z radością:

— O święty krzyżu! tak ukochany i od

tak dawna pożądany dla mnie krzyżu — zabierz mnie z tej ziemi i oddaj mnie Panu i Mistrzowi mojemu, by mnie tak przyjął przez ciebie, jak mnie przez ciebie zbawił! Poczem ucałował go, zdjął wierzchnią szatę i dał się z radością przywiązać do krzyża.

Odwaga i wesołość, która go ani na chwilę nie opuszczała, uczyniła silne wrażenie na niezliczone tłumy ludu; był to prawdziwy cud, iż dwa dni żył jeszcze na krzyżu, opowiadając Ewangelię i modląc się. Trzeciego dnia chciał lud uwolnić go przemocą z krzyża; lecz niebiańska jasność, która trwała przez pół godziny, przeszkodziła temu i wśród tego umarł Andrzej w dniu 30 Listopada 62 roku.

Pewna szlachetna matrona Maksymilla, zdjęła święte to ciało z krzyża i pochowała je uczciwie. Egeasz chciał i temu przeszkodzić, lecz w tej samej chwili został opętany od złego ducha i umarł w straszliwej rozpaczy.

Relikwie świętego tego Apostoła dostały się w 300 lat później do Konstantynopola, a ztąd w roku 1354 do Włoch, do katedry w mieście Amalfi. Za Papieża Piusa II, przeniesiono świętą głowę jego do Rzymu, do kościoła św. Piotra.

Filip, książę Burgundyi, utworzył na cześć świętego Andrzeja rycerski order „złotego runa.“

Moc krzyża.

Święta Magdalena w jaskini.

Ludwik z Granady opowiada w życiu św. Magdaleny następujące zdarzenie:

„Gdy święta Magdalena klęcząc przy źródle przeźroczystem, Chrystusowi Panu dzięki składała, zobaczyła nagle więcej jak tysiąc duchów, stojących po prawej stronie jaskini i słyszała, jak śpiewali pieśń najsłodszej miłości w języku hebrajskim. Skoro przestali śpiewać, mówili:

— Nie wypada ci tak długo i nieustannie się modlić.

Święta pokutnica poznawszy, że to muszą być szatani, przelękła się i wezwała Jezusa na pomoc.

I natychmiast zjawił się święty Michał z swem wojskiem, mówiąc:

— Oto jestem, Magdaleno, nie bój się.

Następnie rzucił się na złych duchów i wszystkich odpędził. Oni zaś wołali:

— A jednak nie będziesz zbawiona, chociaż się ciągle modlisz w jaskini!

Archanioł zaś Michał postawił krzyż przy wejściu do jaskini i rzekł:

— Pamiętaj, byś się nadal nie bała: bo twoim obrońcą jest Najwyższy.

Skoro ustąpił Archanioł, Magdalena u stóp krzyża leżąc, modliła się długo; lecz boja-

źnią i modlitwą zmęczona, narwała korzonków, i opłukawszy je w wodzie, spożyła i wodą się pokrzepiła.

Objąwszy następnie krzyż oburącz, modliła się dzień i noc całą. Gdy słońce zeszło, podniosła oczy i obaczyła krzyż jak kryształ przeźroczysty, rzucający na wszystkie strony jasne promienie. I uczuła w sobie płomień najczystszej miłości. Potem Aniołowie wesoło przy niej śpiewali, tak, że się jej zdało, jakoby była już w niebie. Jeden zaś z Aniołów rzekł jej:

— Jak długo Jezus, twoja i nasza miłość, żył dla ciebie na ziemi, tak długo i ty w tej jaskini przebędziesz.

Gdy tedy znikł Anioł, Magdalena stanąwszy przed krzyżem, modliła się i rozważała mękę Zbawiciela. Skoro zaś dzień się skończył, Aniołowie przybywali i podnosili ją w powietrze, tak, iż słyszała niebieską melodyę. Te zaś śpiewy anielskie siedm razy w dzień i w nocy się powtarzały.

Rak uleczony.

Jak wielką jest moc znaku krzyża świętego, jeśli się go z wiarą i ufnością czyni, mamy dowód w tem, co św. Augustyn opowiada w swej księdze „o mieście Bożem“ w Rozdziale 8-ym.

W Kartaginie żyła pewna niewiasta, która

należała nietylko do najzacniejszych, ale i najpobożniejszych osób owego miasta. Pan Bóg nawiedził ją w niezbadanych swej miłości wyrokach straszną chorobą raka. Lekarz, człowiek doświadczony i z domem jej zaprzyjaźniony, oznajmił jej wreszcie po wielu daremnych usiłowaniach, że się musi poddać operacyi i dać sobie wyciąć raka. Niewiasta owa przestraszyła się bardzo tem oznajmieniem i błagała gorąco P. Boga o jakie łagodniejsze lekarstwo. Zbliżały się właśnie święta Wielkanocne. Jak wiadomo, udzielano w Wielką Sobotę katechumenom chrztu św. Zmęczona bezsennością i chorobą, usnęła. We śnie słyszy głos:

„Idź w Wielką Sobotę na miejsce, gdzie się udziela chrztu świętego; stań sobie między kobiety, które mają być ochrzczone, i proś pierwszą z nowo ochrzczonych niewiast, którą spotkasz, aby ci miejsce rakiem zarażone, znakiem krzyża św. przeżegnała.“

Uradowana tem widzeniem, pełna wiary w moc krzyża świętego, udała się na miejsce oznaczone i spełniła rozkaz, dany jej w widzeniu. Skoro tylko niewiasta ochrzczona przeżegnała miejsce rakiem zarażone, natychmiast znikła straszna choroba, nie zostawiwszy po sobie najmniejszego śladu.

Święty Jan Ewangelista.

Gdy święty Jan Ewangelista mieszkał w Efezie, porwali go poganie i zawlekli do świątyni Dyany (bogini łowów), aby jej złożył ofiary. Jan święty rzekł tedy do zgromadzonych:

— Jeśli za wezwaniem Dyany Kościół Chrystusa runie, to ja złożę ofiarę Dyanie; jeśli zaś za wezwaniem Chrystusa, świątynia Dyany runie, to wy się do Chrystusa nawrócicie.

Gdy się większa część pogan na tę propozycyę świętego Jana zgodziła, wyszli wszyscy ze świątyni, a Jan święty wzniosłszy oczy i ręce ku niebu, począł się modlić. I nagle runęła świątynia, a statua Dyany rozpadła się w kawałki.

Widząc to Arystodem, kapłan pogański, miasto uznać Chrystusa Bogiem, wzniecił rozruch pomiędzy ludem naprzeciw chrześcijanom. Święty Jan bojąc się rozlewu krwi swych dzieci duchownych, udał się do Arystodema i zapytał, czemby go mógł ułagodzić. Arystodem odrzekł:

— Jeśli truciznę, którą ci podam, wypijesz — a nie otrujesz się.

Apostoł miłości przystał na ten warunek, ufając słowom Jezusa, który rzekł: *„Jeśli co śmiertelnego wypije, nic mu nie zaszkodzi"*. Arystodem zaś chcąc świętego Jana odstra-

szyć od picia trucizny, wyprosił sobie od prokonsula dwu winowajców na śmierć skazanych i podał im truciznę w oczach całego zgromadzenia. Ci wypiwszy truciznę natychmiast pomarli. Lecz Jan święty wziąwszy kielich trucizną napełniony, przeżegnał się krzyżem świętym i — wypił truciznę. Poganie czekali, rychło padnie i umrze. Lecz, gdy po trzech godzinach czekania Jan św. był zdrów zupełnie, wołali:

— Wielki jest Bóg chrześcijański!

Ztąd poszło, że świętego Jana malują z kielichem, z którego wystaje wąż, jako symbol trucizny i że w uroczystość świętego Jana święci się wino i podaje się wiernym do picia.

O śmierci.

Mówiąc o śmierci P. Jezusa, wypada nam teraz na żywych przykładach pokazać, jak szczęśliwą śmierć mają ci, co korzystają ze zasług śmierci Jezusa Chrystusa, a jak nieszczęśliwą ci, co niemi gardzą.

Śmierć nawróconego łotra.

Wielki zbrodniarz Mikołaj Tuldo, został skazany na śmierć przez ścięcie i wystawiony na widok publiczny. Posiwiały w życiu zbrodniczem, z sercem zakamieniałem

przez szereg strasznych zbrodni, z włosem najeżonym i wściekłością tajoną, oczekiwał w martwem odrętwieniu śmierci. Z szyderstwem odprawiał księdza jednego po drugim, którzy przychodzili w sprawie zbawienia duszy jego, w każdym widział tylko zwiastuna śmierci. Z pilnującymi go pachołkami odbywał dzikie hulanki i żarty, by zagłuszyć w sobie głos rozpaczy i trwogi.

Kapłani przychodzili na nowo, lecz coraz opryskliwiej odprawiał ich od siebie.

Nadszedł ostatni dzień przed wykonaniem wyroku. Tuldo był w stanie najzupełniejszego odrętwienia i postanowił umrzeć śmiercią grzeszników zatwardziałych.

Cała Syena opowiadała sobie o strasznej zapamiętałości tego zbrodniarza. Ś. Katarzyna dowiedziała się o tem, przelękła się niebezpieczeństwa, jakie zagrażało temu nieszczęśliwemu, i wybuchając rzewnym płaczem, rzuciła się na ziemię przed obrazem Zbawiciela prosząc Go o zmiłowanie i ocalenie tej duszy od wiecznego zatracenia; prosiła, by Zbawiciel darował jej tę duszę i aby zesłał na nią wszelkie cierpienie, jakiego sprawiedliwość Jego i świętość będzie za to wymagała.

Nie ma na ziemi nic większego nad modlitwę sprawiedliwego; gdyż według słów Pisma świętego, może ona bardzo wiele u P. Boga.

Trwoga o zbawienie duszy tego nieszczęśliwego, dodała jej sił, modlitwa odwagi — zebrała się, pospieszyła do sędziwego kierownika sumienia Rajmunda z Kapuy, nakłoniła go, iż z nią poszedł, i przebijając się przez tłumy zdziwionego ludu, spieszyła do skazańca.

Z uszanowaniem rozstąpiły się straże przed Bogu poświęconą dziewicą (była Dominikanką) i oto stanęła przed zbrodniarzem. Uprzejmie przywitała się z nim, patrząc życzliwie i dobrotliwie w straszne jego oczy, w których przebijała wściekłość i rozpacz, pomięszana ze zdziwieniem. Spojrzenie niebiańskie spotkało się z piekielnem. Tuldo patrzył osłupiałym wzrokiem na pobożną dziewicę, wyjąkał parę słów i instynktownie zdjął czapkę. Tkliwa piękność dziewicy, nad którą jakosłońce wiosenne nad kwitnącą niwą, unosił się czar pobożności, zrobiła głębokie wrażenie na tym zatwardziałym grzeszniku.

Katarzyna zaczęła poprostu:

— Przychodzę, by cię pocieszyć — biedny mój bracie.

Budząc się z głębokiego odrętwienia, mile uderzony temi łagodnemi słowy, odparł Tuldo:

— Jakto, nazywasz mnie bratem? mnie skazańca! bratem?

Katarzyna:

— Tak jest, jesteś bratem moim, biednym i kochanym bratem; płakałam za tobą jak

siostra, gdym się dowiedziała o twojem nieszczęściu — i przyszłam tu, by ci udzielić pomocy.

Tuldo:

— Ty mnie, skazanemu?

Katarzyna:

— Przeklętemu także i potępionemu od Boga!

Katarzyna głęboko wzruszona temi strasznemi słowy, wzięła krucyfiks stojący na stoliku, upadła na kolana, i przyciskając go do ust i płacząc, mówiła;

— Nie, nie — Ty nie potępisz tego, który woła do Ciebie, chociażby to było w ostatniej chwili życia! Cierpiałeś i umarłeś za świat, pełen grzechów i występków; pierwszym, którego zabrałeś ze sobą, był łotr — ponieważ Cię prosił, byś o nim pamiętał. O! pamiętaj i o tym nieszczęśliwym, i on jest także dziecięciem Twojem! Jeżeli będziesz dochodził nieprawości naszych, któż się przed piekłem ostoi? Zmiłuj się nad bratem moim, o Jezu miłosierny!

Tuldo wzruszył się z początku, łza potoczyła się z błędnych jego oczu; lecz wkrótce ocknął się i zawołał strasznym głosem:

— Precz z moich oczu! obłudnico, komedyantko, przysłana tu przez nędznych popów, by mi odebrać sławę zakończenia życia jako bohater, jako mąż nieustraszony! Niech wszystko będzie przeklęte i potępione!..

Na te okropne słowa, wyszło niejako z kałuży piekielnej, zadrżeli wszyscy obecni, oprócz Katarzyny. Blada jak trup, spojrzała w niebo, kurczowo uchwyciła kajdany Tuldona, a rzuciwszy się mordercy do nóg, zawołała:

— O Jezu, nie słuchaj go — słuchaj mnie, sługę Twą biedną! ocal duszę jego. Mnie daj jego kajdany, mnie śmierć — tylko duszę jego ocal!

A ty bracie — zawołała, zwrócona do skazańca — podnieś głos swój ze mną i wołaj: „Pamiętaj o mnie, o Jezu pamiętaj o mnie!“ a znajdziesz nie sędziego, lecz kochającego cię Zbawiciela i Odkupiciela! Chciej się ocalić, a ocali cię — chciej zbawienia, a dostąpisz go.

Straż i lud obecny przeżegnali się i zaczęli się modlić, widząc świętą pannę leżącą u nóg mordercy i błagającą tak rzewnie o ocalenie jego duszy.

Wtedy pęknął pancerz piekielny okalający serce skazańca. Żal i łaska wpłynęły do piersi jego, będącej tak długo siedliskiem śmierci. Odetchnął głęboko — potok łez trysnął mu z oczu.

— Boże! zawołał — Ty jesteś miłosierny, Ty możesz mi jeszcze przebaczyć!

Ziarno wiary i nadziei padło w serce jego i miało wkrótce wydać piękny kwiat miłości.

Z niewymownym bólem w zdziczałej swej

twarzy spoglądał na krzyż, który Katarzyna trzymała przed nim na klęczkach, i jak łagodny promień słońca na chmurnem niebie, zajaśniał w jego oku promień nadziei odpuszczenia grzechów i przemówił błagalnym głosem:

— Chcę się spowiadać!

Popatrzył dokoła i wreszcie wzrok jego spoczął na dziewicy, leżącej mu ciągle u nóg.

— Wstań — przemówił — święta dziewico, któraś mi uprosiła Boga; uczynię wszystko czego Bóg żąda przez ciebie.

Oblicze Katarzyny zajaśniało uczuciem wdzięczności ku Stwórcy. Skłoniła głowę na ławkę przed stolikiem skazanego i modliła się zcicha. Po chwili powstała:

— Bądź pozdrowiona — zawoła radośnie bądź pozdrowiona, dusza ocalona krwią baranka. Widzisz, jak wspaniałomyślnym jest Zbawiciel i jak umie pocieszać! Płacz — o płacz, drogi mój bracie! płacz z świętej żałości nad straconem swem życiem, jak dziecię płacze przed dobrym ojcem, który cię więcej kocha, niżbyś go mógł obrazić.

Tuldo słuchał cierpliwie i łagodnie jak baranek, słów dziewicy i prosił: „Ach, przyślij mi, proszę cię, spowiednika swojego!

Katarzyna wskazała mu swego spowiednika i rzekła:

— Oto ojciec mój — czy chcesz go?

— Tak jest, tak jest — odrzekł skwapli-

wie Tuldo; proszę o twego spowiednika — a nie innego.

— Widzisz — odezwała się Katarzyna z uśmiechem — że jesteś bratem moim? On jest ojcem moim i twoim; czyż nie jesteśmy rodzeństwem?

Opuściła gmach więzienny z przyrzeczeniem powrócenia wkrótce. Spowiednik zbliżył się do Tuldona.

Po południu przyszła znów i zastała skazanego pocieszonego i w spokoju — chrześcijanina pogodzonego z Bogiem, posłusznego świętej Jego woli i gotowego na śmierć.

Kapłan modlił się na głos; Katarzyna powtarzała za nim modlitwy i dodała po ukończeniu modłów, kilka słów pociechy.

— Miłość Zbawiciela — rzekła — jest jako miłość matki; dziecko nie powinno się bać przyjść do matki, chociażby wyglądało jak najgorzej — gdyż matka przyjmie je w każdym razie w objęcia, przyciśnie do serca, by je pocieszyć i obronić.

Musiała przyrzec, że odwiedzi go jeszcze rano przed straceniem.

Nim się odezwał dzwonek za konających, była już przy nim. Stała pobożnie obok niego, gdy przyjmował Komunię świętą, do której już od dziecka nie przystępował.

Godzina rozłączenia zbliżała się — Tuldo przejęty obawą śmierci, upadł Katarzynie

do nóg i prosił ją, by go nie opuszczała i była przy nim, póki go nie stracą.

Katarzyna, która dla miłości Chrystusa była w stanie zapanować nad sobą, przezwyciężyła dziewiczy wstręt i bojaźń patrzenia na tracenie człowieka — i przyobiecała mu to uprzejmie. Widząc, iż się obawia śmierci, dodawała mu odwagi — mówiła mu o wiekuistej nagrodzie, za krótkie, chwilowe cierpienie i poleciła mu wymawiać święte imię Jezus, zwłaszcza w chwili uderzenia mieczem.

Tuldo wypełnił wszystko, co mu święta panna radziła, i słuchał jej, jak posłuszne dziecko. Oblicze rozjaśniło mu się, i zdawał się, wymawiając imię Jezus, być wolnym od wszelkiej obawy — tak, że dziwiąc się sam sobie, rzekł:

— Śmiało idę na śmierć, gdyż się wcale nie boję. Ach! skądże dostąpiłem tej łaski?

Pochód ruszył. Katarzyna szukała pokrzepienia w modlitwie. Opuściła go i miała się z nim zobaczyć na miejscu stracenia.

„Szłam — pisze w jednym ze swoich listów — aż na miejsce stracenia, modląc się ciągle: usiadłam na rusztowaniu, położyłam głowę na pniu, który był przygotowany do ścięcia — gdyż zdawało mi się, jakobym nie była sobą. W tej postawie prosiłam Boga, by przy traceniu obdarzył go światłem i pokojem wewnętrznym. Gdym zauważyła,

że modlitwa moja była wysłuchaną, doznałam takiej pociechy, że nie widziałam nikogo z ludzi, otaczających miejsce tracenia, uniesiona radością ocalenia tego nieszczęśliwego. Biedny grzesznik zbliżał się, łagodny jak baranek. Skoro mnie zobaczył, uśmiechnął się i prosił mnie, bym go pobłogosławiła. Uczyniłam to, mówiąc:

— Idziemy na gody weselne baranka, bracie mój — wkrótce przejdziesz do życia wiecznego.

Schylił się z pobożnem poddaniem — obnażyłam mu szyję, przypominając mu krew baranka. Ostatnie słowa jego były: „Jezus! Katarzyna!“ — i... głowa jego spoczęła mi w rękach.

Święty dreszcz przeniknął tłum stojący dokoła; sędziowie struchleli — nawet i kat był jak skamieniały.

„Ach! pisze dalej — jakże mi było miło patrzeć — z jaką miłością i lubością wieczna miłość Boga żywego na duszę tę czekała — jak oko miłosierdzia na nim spoczęło! Dusza moja była zadowolona; nie dozwoliłam też oczyścić sukien moich z krwi, którą były zbryzgane.“

Cicho i pokornie powróciła po spełnieniu tego wspaniałego czynu miłości do swego zajęcia: pielęgnowania chorych — i znów była wkrótce tak szczęśliwą, że jednego

z najbardziej osławionych złoczyńców w Syenie, Andrzeja Nardina, którego ręka Boska w najokropniejszym stanie na łoże śmiertelne powaliła, za pomocą modlitwy i miłości, w objęcia Zbawiciela zawiodła.

Spis rzeczy zeszytu jedenastego.

Narzędzia męki Jezusa Chrystusa.

Str.

Gwoździe 321
Gąbka 326
Święte prześcieradło śmiertelne Chrystusa . . 327

Święty grób w Jerozolimie 330

Tajemnica krzyża 333

Moc krzyża.

Święta Magdalena w jaskini 339
Rak uleczony 341
Święty Jan Ewangelista 342

O śmierci.

Śmierć nawróconego łotra 344

IMPRIMATUR.
(L. S.) † *Albinus*,
Cracoviae die 31 Octobri 1888. Eppus.

Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.
Kraków. — Druk A. Koziańskiego. 1899.

O śmierci.

(Ciąg dalszy i dok.)

Śmierć Ludwika XVI, króla Francuskiego.

Dnia 20 stycznia 1793 r., o godzinie 3-ej zrana ogłosił prezydent konwentu rewolucyjnego w Paryżu, że na mocy większości głosów (380 przeciw 210), ścięcie króla francuzkiego Ludwika XVI bezzwłocznie ma być wykonane.

Wszyscy ministrowie byli zgromadzeni w sali posiedzeń i znajdowali się w wielkiem przygnębieniu. Garrat, minister sprawiedliwości, miał przykry obowiązek, ogłosić królowi dekret zgromadzenia narodowego. Udał się więc do świątyni (tak się zwało więzienie), wraz z Sansterrem, deputacyą rady gminnej, sądu karnego i sekretarzem rady ministeryalnej.

Ludwik XVI już od kilku dni oczekiwał swoich obrońców, ale napróżno. Jeszcze 20 Stycznia o godzinie 2-ej po południu spodziewał się ich obaczyć; gdy nagle usłyszał

szelest licznego pochodu; wyglądnął i obaczył deputowanych rady ministeryalnej. Z godnością i bez zmięszania stanął przy drzwiach swego więzienia. Garrat ze smutkiem oznajmił królowi, że ma polecenie ogłosić mu dekreta konwentu. Gronvelle, sekretarz ministeryalny odczytał je.

Pierwszy dekret oznajmia, że król winny jest zbrodni popełnionej przeciw bezpieczeństwu państwa; drugi skazuje go na śmierć; trzeci odrzuca odwołanie się do ludu; czwarty wreszcie rozkazuje spełnienie wyroku śmierci w przeciągu 24 godzin.

Król rzuca spokojne wejrzenie na zgromadzonych, bierze wyrok śmierci z rąk Gronvella, chowa go do kieszeni i czyta list, w którym prosi o trzy dni zwłoki dla przygotowania się na śmierć, o spowiednika dla pociechy duchownej w ostatniej godzinie, o pozwolenie zobaczenia się ze swoją rodziną i prawo wydalenia się tejże z Francyi. Garrat odbiera list i obiecuje odnieść go natychmiast konwentowi. Król daje mu zarazem adres kapłana, u którego chce się spowiadać.

Gdy deputowani odeszli, kazał sobie król dać jeść i jadł ze zwykłym apetytem. Wzięto mu nóż i nie chciano mu go oddać.

— Czyż myślicie, rzekł z godnością, że jestem takim tchórzem, abym sobie miał

życie odebrać? Jestem niewinny i potrafię umierać bez trwogi!

Jednakże nie dano mu noża. Skończył obiad, poszedł do swej celi i czekał spokojnie odpowiedzi na swój list.

Konwent odrzucił prośbę o zwłokę — ale trzy inne żądania uwzględnił. Garrat rozkazał poszukać księdza Henryka Allen Edgeworth z Firmont*), którego sobie król życzył; wziął go do swego powozu i przywiózł go sam do więzienia. Edgeworth ujrzawszy króla, chciał się przed nim rzucić na kolana; ale król podniósł go natychmiast i płakał z nim razem ze wzruszenia. Następnie pytał go z wielkiem zajęciem o duchowieństwo francuskie, o wielu biskupów, mianowicie o arcybiskupa paryskiego — i prosił go, aby tego ostatniego zapewnił, „iż on jako wierny wyznawca swojej religii umiera.“

Wybiła 8-ma godzina. Król wstał, prosił kapłana, aby zaczekał, i odszedł wzruszony do jadalni, chcąc ujrzeć swoją rodzinę.

---

*) Urodził się roku 1745 w miasteczku Edgeworth-Town w Irlandyi. Ojciec jego, pastor protestancki, przyjął wraz z rodziną wiarę katolicką i udał się do Francyi. Tu pobierał nauki naprzód u OO. Jezuitów w Tuluzie, potem na Sorbonie w Paryżu. Przez swą pobożność i dzielny charakter zjednał sobie wkrótce takie zaufanie, że siostra Ludwika XVI księżniczka Elżbieta, obrała go sobie za spowiednika.

O wpół do 9-ej otworzyły się drzwi — królowa z następcą tronu, księżniczka Elżbieta, siostra królewska i córka jego wśród łez i łkania rzucili się w objęcia jego.

Zrazu słychać było tylko jęki, płacz i rozpaczliwe wołania. Lecz wkrótce łzy płynąć przestały — rozmowa była spokojniejsza. Po dłuższej rozmowie nastało smutne milczenie. Ludwik wstał, by nie być dłużej świadkiem tej bolesnej sceny i przyrzekł, że się chce z niemi jeszcze nazajutrz o godzinie 8-mej zobaczyć.

Powróciwszy do kapłana, odzyskał dawny spokój duszy. Około północy udał się król na spoczynek i kazał się przed 5-tą zbudzić. Ksiądz Edgeworth rzucił się na łóżko — a Clery (sługa) czuwał i przyglądał się królowi, który tak spokojnie spał przed straceniem.

Nazajutrz, 21-go stycznia, skoro godzina 5-ta wybiła, król się budzi, woła Clery'ego, pyta, która godzina i spokojnie się ubiera. Cieszy się, iż przez sen odzyskał siły. Clery zapala światło i ustawia komodę, którą zamienia na ołtarz. Edgeworth ubiera się w szaty kapłańskie i zaczyna Mszę świętą; Clery mu służy, a król klęcząc, słucha jej z największą pobożnością. Przyjmuje Komunię — a po Mszy świętej wstaje, nowej siły nabrawszy i czeka spokojnie chwili stracenia. Żąda potem nożyczek, by sobie obciąć włosy — ale mu ich odmawiają z niedowierzania.

Słychać głos bębnów. Członkowie gwardyi narodowej udają się do swych kompanii — ci zaś, co w tym straszliwym dniu nie mają służby, kryją się w domach; drzwi i okna pozamykane — każdy czeka w swem mieszkaniu końca tego nieszczęsnego zdarzenia. Krążą pogłoski, że kilkuset odważnych mężów rzuci się ku wozowi i uwolnią króla. Konwent, rada miasta, ministrowie i Jakobini gromadzą się.

O godzinie 8-mej rano udaje się Sansterre z deputacyą do króla. Król usłyszawszy stąpanie, wstaje i gotuje się do wyjścia. Już nie chciał powtórnie widzieć swej rodziny, by nie odnawiać wczorajszej bolesnej sceny. Rozkazał Clery'emu, aby w jego imieniu pożegnał małżonkę, siostrę i dzieci — i dał mu pieczątkę, włosy i inne klejnoty, by je w ich ręce oddał. Potem uścisnął mu rękę i podziękował mu za usługi. Następnie zwraca się do jednego z urzędników gminy i prosi go, by wręczył testament jego radzie gminnej. Ale ten rzekł doń z pogardą, „że ma rozkaz prowadzić go na śmierć — nie zaś przyjmować od niego rozkazy.“

W testamencie króla był taki ustęp:

„Przebaczam z serca tym wszystkim, którzy byli moimi nieprzyjaciołmi, chociaż im nie dałem powodu do nienawiści, i proszę Boga, aby im przybaczył. Syna mego jednak upominam, aby, jeśliby miał to nieszczęście

zostać królem, zawsze o tem pamiętał, iżby zapomniał o wszelkiej nienawiści, osobliwie zaś o mojem nieszczęściu i mojem cierpieniu. Zalecam mu, aby się zupełnie poświęcił dla szczęścia swych współobywateli — że wtenczas tylko utrwali szczęście swych ludów, jeśli będzie rządził według praw; że zaś król tylko wtenczas prawu zjedna poszanowanie i cel swój osiągnie, jeśli będzie miał powagę ku temu potrzebną."

Król daje znak do odejścia i wsiada z kapłanem do powozu. Oficerowie żandarmeryi towarzyszą im. W czasie dość długiej drogi czyta król z brewiarza modlitwy za konających. Żandarmi widocznie tym widokiem są wzruszeni. Mieli oni rozkaz przebić króla, gdyby się kto pokusił uwolnić go. Zbliżają się do miejsca egzekucyi. Tłumy uzbrojone tworzą dwa szeregi — wóz toczy się powoli wśród ogólnego milczenia.

Na placu rewolucyi było obszerne miejsce wolne naokoło szafotu. W koło tego miejsca poustawiano armaty; najzagorzalsi z rokoszan obstąpili rusztowanie — a podła tłuszcza, zawsze gotowa do wyszydzania cnoty i nieszczęścia, tłoczyła się po za szeregami rokoszan, okazując swe zadowolenie — uczciwi zaś kryli się swemi uczuciami.

Po 10-ej godzinie wóz się zatrzymał. Ludwik XVI wstaje odważnie i wychodzi z powozu. Trzej kaci postępują ku niemu. Król

ich odtrąca i sam się rozbiera. Widząc, że mu chcą związać ręce, oburza się i nie chce na to zezwolić. Edgeworth spogląda czułym wzrokiem na króla i rzecze:

— Znieś królu tę ostatnią zniewagę — jako ostatnie podobieństwo do tego Boga, który będzie twoją nagrodę!

Cierpliwie daje się król związać i prowadzić na rusztowanie.

Nagle wyrywa się z rąk katów — postępuje krok naprzód i mówi do ludu:

— Francuzi! Umieram niewinnie! Nie jestem winien tych zbrodni, o które mnie oskarżono i pragnę, aby krew moja nie spadła na Francyę!..

Chciał dalej mówić — ale głos bębnów przygłuszył głos króla.

Kaci porwali go, a Edgeworth rzecze doń głosem donośnym:

— Synu świętego Ludwika, wstępuj do nieba!

Głowa króla spadła do kosza. Rewolucyoniści z dziką radością maczali swe piki i chustki we krwi króla — rozpierzchli się po mieście, krzycząc na całe gardło:

— Niech żyje rzeczpospolita! Niech żyje naród!

Wojsko odmaszerowało, a ze wszystkich stron cisnęły się tłumy.

„Przystąpiłem do rusztowania — pisze naoczny świadek, i ujrzałem, jak oprawca czer-

pał zsiadłą krew z kosza i rozdawał ją między cisnących się. Ci brali ją bądź w chustki, bądź w suknie; niektórzy wojskowi maczali w niej kutasy wiszące u pałaszy. Jedni chowali ją jako relikwie, drudzy jako trofea. Surdut jasno-brunatny z guzikami emaliowanemi rozdarto na szafocie i rozdzielono między straż. Małe cząsteczki tej sukni noszono jako relikwie na pierścionkach."

Tak umarł jeden z najlepszych królów katolickich, którego zasadą było to zdanie: „Królowie po to tylko są na ziemi, aby przez swe rządy ludy szczęśliwemi, a przez swe przykłady cnotliwemi uczynić."

Śmierć Świętych.

Wiadomo nam z żywotów Świętych, iż wielu z nich obok niejakiej obawy przed surową sprawiedliwością Najwyższego Sędziego, lecz ufając w nieskończone miłosierdzie Boże, czekali na śmierć, pełni niewymownej tęsknoty i radości. Pragnąc gorąco wyzwolić się z więzów ciała i iść do Chrystusa, wołał nieraz ukochany uczeń Jan św.: „Przyjdź, Panie Jezu, przyjdź."

Święta Klara mawiała wśród największych cierpień konania: „Nieskończone dzięki składam Zbawicielowi mojemu, który mi podał kielich cierpień śmiertelnych. Ach, kielich

ten jest tak niewymownie słodki! — nic nie jest w stanie zasmucić mnie — sercu memu jest wszystko lekkie i znośne, gdyż kocha Zbawiciela swego.“ Siostry zakonne płakały, lecz ona pocieszała je nadzieją wesołego zobaczenia się w niebie, i skonała lekko i słodko, jak gdyby zasnęła.

Święty Józef Oriolo, kapłan hiszpańskiego pochodzenia, który przez cały życie pracował gorliwie i bez wytchnienia nad zbawieniem swojem i bliźnich swych, spostrzegł, iż śmierć się zbliża. Poszedł zatem do domu pewnego zacnego rzemieślnika, którego dobrze znał i rzekł doń:

— Kochany przyjacielu, bądź tak dobry i pożycz mi łóżka, bym się mógł położyć, gdyż umrę wkrótce.

Poczem położył się do tego wypożyczonego łóżka i słabnął widocznie. Liczni jego znajomi i sąsiedzi odwiedzali go — a gdy płacząc, otaczali umierającego, przemówił tenże do nich z radością:

— Kochani przyjaciele moi! bądźcież lepszej myśli i cieszcie się razem ze mną, gdyż Bóg przyjmie mnie do królestwa swego — a tam będę wiecznie imię Jego uwielbiał, i wiecznie wesołe pieśni chwały nucił.

Następnie kazał przyjść czterem chłopcom służącym zwykle do Mszy św. z harfą — chłopcy musieli śpiewać święte pieśni, a umierający śpiewał także razem z nimi cichym

głosem, z okiem utkwionem w krucyfiks, wyglądając z utęsknieniem przybycia Zbawiciela swego. I tak śpiewając, oddał Święty ten ducha w ręce P. Boga dnia 22 Marca 1702 roku.

Błogosławiony Mikołaj z Lombardyi, pobożny braciszek zakonu Franciszkanów, który od najmłodszego wieku zaprawiał się do cnoty i pobożności, cierpiał w ostatniej swej chorobie straszne boleści, lecz z ust jego nie wyszło słowo skargi — oblicze jego promieniało radosnem pragnieniem dostania się do przybytku niebieskiego; a gdy nadeszła ostatnia chwila, zawołał w zachwyceniu do otaczających go:

— Przyjaciele! Do raju idę — do raju!

Poczem zasnął słodko — a promieniejąca radość biła z jego oblicza. Zgromadzeni bracia zamiast zwyczajnych modlitw za umarłych, zaintonowali jednogłośnie radosny hymn: *Te Deum laudamus*, dziękując Bogu, że pobożnego sługę swego zabrał w lekkim śnie do siebie.

Wesoła śmierć.

Dom Antonio Penachi był sobie ubogim, prostym kapłanem w Assyżu. Suknia jego była uboga, płaszcz i obuwie zawsze zapylone — ale dusza tem ozdobniejsza; słodycz

charakteru, szczerość i dziecinna prawie wesołość, czyniły go każdemu miłym. Przedmiotem najtkliwszej jego miłości była najniższa warstwa ludu; starał się gorliwie o nędznych, odwiedzał i pielęgnował chorych, upominał, ostrzegał i ratował młode osoby, które mogły być uwiedzione; wszędzie, gdzie tylko większa liczba ludzi się zgromadziła, chodził i godził zwaśnionych; nawet co wieczór udawał się do restauracyj i szynkowni, aby gości do porządku upominać — aby ich żartem, śmiechem i prośbą od pijaństwa i rozpusty zachować.

- Niech żyje Jezus i Marya! wołał — wstawać! już czas do domu; zmówmy razem *Zdrowaś Marya!* — a teraz naprzód!

A ludzie wychodzili i wzdzięczni mu byli za to. Głos jego był tak dźwięczny, miły i potężny, jak jego umysł. Ile razy mówił o miłości Bożej, ile razy wymawiał słodkie imiona Jezusa lub Maryi, promieniało jego oblicze łagodnym blaskiem. Nigdy jednakże nie dał się porwać przesadnemu uniesieniu; wszędzie zachował umiarkowanie i roztropność. Mądry doradca, doskonały znawca ludzi, biegły w Piśmie świętem, gorący miłośnik sztuk pięknych, pełen zapału dla dzieł sztuki malarskiej, przypominał żywo świętego Filipa Neri, którego apostołem Rzymu nazywano.

Codzień rano wychodzili z swej ciasnej

i niskiej celki, a wracał dopiero późno wieczór. Nasamprzód szedł do kościoła świętego Andrzeja i odprawiał Mszę św. Idąc przez ulicę, skoro ujrzał okno jakie otwarte, zaglądał i wołał wesoło: „Niech żyje Jezus i Marya!“ Następnie szedł do kościoła świętego Franciszka, gdzie do kilku Mszy św. sługiwał — a gdy już w konfesyonale nie było pracy, udawał się na samotne miejsce i długo się modlił. Resztę dnia przepędzał przebiegając niestrudzenie ulice, odwiedzał chatki ubogich i chorych, ochronki i szpitale, wszędzie niosąc modlitwę i niebiańską wesołość.

W Assyżu najmilej przebywał; chociaż go nieraz mężowie wysoko postawieni, a nawet biskupi, których był spowiednikiem, usilnie do siebie zapraszali, nie mogli go do tego przywieść, aby miasto, pamięci cudownego św. Franciszka poświęcone, porzucić.

W końcu jednak musiał je porzucić — ale pożegnanie było wesołe, jak całe życie. Złożony ciężką i bolesną chorobą, która śmierć jego poprzedziła, wciąż śpiewał psalmy i powtarzał zdania z Pisma świętego.

W ostatniej chwili rzekł pełen radości do przyjaciół, otaczających jego łoże:

— Widzicie, jak cudnym wieńcem otoczyli mnie Aniołowie? Czy ich nie widzicie? O, jakże jestem szczęśliwy! A Józef gdy przyjdzie, to pójdę do Jezusa i Maryi . . .

Naraz zawołał:

— Oto już i święty Józef! I tejże chwili spokojnie i słodko zasnął w Panu.

Pogrzeb jego odbył się z wielką uroczystością, przy udziale samego biskupa. On sam zaś prosił jednego przyjaciela i dobrodzieja swego, aby mu bardzo skromny pogrzeb sprawił.

— Na podziękowanie — dodał — polecę cię Jezusowi, Maryi i Józefowi; a twoja chora córeczka, to małe, głupiutkie stworzenie, nie umrze, ale będzie twoją największą pociechą.

Czy można sobie życzyć weselszej śmierci? (Filotea).

Inaczej się myśli w godzinę śmierci jak za życia.

Pewien kupiec, który w życiu robił bardzo szczęśliwe interesa, zachorował nagle bardzo ciężko. Przyjaciele jego widząc, że to choroba śmiertelna, radzili mu, by się przygotował na śmierć. Chory przyobiecał im to, ale wykonanie tego zamiaru odkładał z dnia na dzień. Polecano mu różnych spowiedników; ale napróżno! — Wtem do owego miasta przybywa pewien sławny misyonarz. Mówiono z nim o tym upartym chorym, a gorliwy ten sługa Boży postanowił udać się bezzwłocznie do niego, gdyż chwile jego były

już policzone. Umierający nabrał zaufania do niego i zwierzył mu się zupełnie.

— Mój Ojcze! przemówił — mam od dawna pewne wątpliwości, które mnie bardzo niepokoją.

— A zatem — odrzekł misyonarz — powierz mi je, a ja ci powiem, co o tem jako kapłan myślę.

Chory zaczął mówić, lecz zaledwie wypowiedział kilka zdań, gdy naraz stracił przytomność — mówił wprawdzie dalej, lecz bez związku. Spowiednik znalazł się w bardzo przykrem położeniu, gdyż nie rozumiał nic z tego, co ów chory mówił.

„Jeżeli się go zapytam — myślał sobie — to przelęknie się jeszcze więcej i wprawię go w jeszcze większe pomięszanie.“

Uważał przeto, że postąpi najlepiej, jeżeli da się choremu wygadać do woli i jeżeli poprosi Boga o pomoc i oświecenie w tej trudnej sprawie. Gdy więc chory przestał mówić, poczekał spowiednik chwilę, by znużony tak długą mową odpoczął nieco. Istotnie też przyszedł wkrótce do siebie — a kapłan korzystając z tych kilku cennych chwil, zapytał się w następujący sposób:

— Mój przyjacielu! słyniesz z rozsądku we wszystkiem, co się tyczy handlu; gdyby więc jeden z twoich przyjaciół w godzinie śmierci zapytał się ciebie o radę względem

tego, coś mi właśnie mówił, cóżbyś mu odpowiedział?

— Powiedziałbym mu, odpowiedział chory, by koniecznie zwrócił, co kiedykolwiek niesprawiedliwie nabył lub zatrzymał; zapatruję się bowiem na wszystko inaczej teraz, niż w życiu.

— A zatem — odezwał się spowiednik — uczyń tak, jakbyś radził swemu przyjacielowi; dusza twoja droższą jest, niż wszystkie skarby tego świata.

Chory usłuchał tego zbawiennego upomnienia, kazał przywołać notaryusza, następnie wyspowiadał się misyonarzowi — a w chwili, gdy przytomność, którą mu Bóg przywrócił, znów go opuściła, zaćmił się wzrok jego i skonał spokojnie na rękach swego spowiednika. (Filotea).

Śmierć Woltera.

Wolter, przywódca nowoczesnej niewiary, był bardzo utalentowany; ale już wcześnie pokazywał po sobie nieznośną pychę i przerażającą skłonność do rozpusty. Jeden z jego nauczycieli przepowiedział o nim, że będzie głową wolnomyślicieli. — Dorosłszy, zawarł z wielu innymi, którzy podobnie jak on myśleli, przymierze w celu wytępienia wiary w Chrystusa. I dlatego nazwali się „braćmi w Belzebubie.“ Aby swe piekielne dzieło przeprowadzić, rozrzucali między lud książki

i pisemka ulotne, pełne bluźnierstw i treści bezwstydnej.

Pewien proboszcz odkrył razu jednego, że nauczyciel ludowy rozdziela między młodzież wiejską bezwstydne i niechrześcijańskie książki, które mu jakaś nieznana osoba przysyłała. Nauczyciele ci otrzymywali zadarmo takie książki i czytali je wieśniakom, pomagając tym sposobem „braciom w Belzebubie.“ Nie długo trzeba było czekać na skutki tej roboty szatańskiej - - nietylko bowiem we Francyi, ale i w innych krajach, a nawet w Polsce znalazł ten „ojciec kłamstwa“ wielu stronników. Wolter szatańską iście radością cieszył się i zapewniał stronników swoich, że „cała Europa jest pełna ludzi rozumnych“ (t. j. niewierzących), że książki filozofów (t. j. bezbożnych) stały się powszechnym katechizmem wszystkich narodów, od Francyi aż do Moskwy — że między Genewą i Bernem nie ma już ani jednego chrześcijanina.“

Chociaż te przechwałki były przesadzone, to widać jednak, że „bracia w Belzebubie“ nie daremnie siali ziarno niewiary. Starania ich wkrótce przyniosły straszliwe skutki. Przedewszystkiem starali się zakon Towarzystwa Jezusowego, jako przykrego przeciwnika, zagładzić i znieść — co im się też istotnie udało. Dlatego pisał Fryderyk, król pruski, przyjaciel i wielbiciel Woltera, do

tegoż: „Teraz, gdy Jezuici zniesieni, wkrótce cały Kościół zaginie; byłby to cud, gdyby ocalał — a ty, mój drogi patryarcho, będziesz miał jeszcze przyjemność, staremu Kościołowi napis grobowy ułożyć.“

Otóż i ten Wolter musiał także umrzeć. Roku 1778 dostał wybuchu krwi, a śmierć straszna poczęła mu w oczy zaglądać. Już drwakroć przedtem w podobnem niebezpieczeństwie życia przeklinał swe niedowiarstwo i ze skruchą przyjmował śś. Sakramenta. Ale skoro tylko wyzdrowiał, wstydził się nawrócenia swego i po dawnemu bluźnił Bogu. I teraz prosił proboszcza od św. Suplicyusza, by mu udzielić pozwolił ostatnich Sakramentów. Ten posłał doń księdza Gaultier; Wolter się wyspowiadał, a za kilka dni wobec świadków następujące dał oświadczenie:

„Ja, niżej podpisany oświadczam, że dostawszy przed czterema dniami wybuchu krwi, spowiadałem się przed księdzem Gaultier — i że, gdy mnie Bóg w 84 roku życia powoła, w kościele katolickim, w którym się narodziłem, chcę umrzeć. — Mam nadzieję w miłosierdziu Bożem, że otrzymam przebaczenie za moje przewinienia, a jeślim kiedy dał zgorszenie Kościołowi, to Boga i Kościół błagam o przebaczenie.“

Paryż 2 Marca 1778 r.

Wolter m. p. — *Ks. Mignot.*

Markiz *de Villeville.*

Skoro ten dokument należycie został podpisany, dodał Wolter: „Ponieważ ksiądz Gaultier wspomniał mi, że mówią w pewnych kołach, iż ja skoro wyzdrowieję, znowu przeciw wszystkiemu będę protestował, com uczynił na łożu śmiertelnem — oświadczam, żem tego nigdy nie powiedział, i że to jest żart przestarzały, który już dawno kilku uczonym niesłusznie przypisywano, którzy byli więcej oświeceni odemie.“

Wolnomyślni słysząc, że ich patryarcha chce umierać po chrześcijańsku, wściekali się ze złości. Ale Wolter jeszcze raz przyszedł do zdrowia. W maju przybył do teatru, gdzie go uroczyście uwieńczono wawrzynem. Olśniony tą mizerną chwałą, zapomniał o swem nawróceniu. Towarzysze jego starali się go w tem usposobieniu utrzymać.

Gdy nowy wybuch krwi nastąpił, żądał Wolter znowu kapłana; lecz d'Alembert, Diderot i inni wolnodumcy nie odstępowali go ani na chwilę i nie pozwolili żadnemu kapłanowi przybyć do niego. Wtedy Wolter wpadł w szalony gniew i wołał:

— Jakąż straszną chwałę mi gotujecie! Ludzie i Bóg mnie opuścili! Jezu Chryste, Jezu Chryste! wzywając pomocy, lecz bluźniąc zarazem w szalonym gniewie.

Gdy już ostatnia chwila się zbliżała, bojaźń, trwoga i rozpacz ogarnęły jego duszę.

— Czuję — wołał — rękę, która mnie

chwyta i ciągnie na sąd Boży; a wijąc się na łożu i tocząc obłąkanym wzrokiem naokoło siebie, wołał:

— Oto tam stoi szatan, który mnie chce chwycić! Ja go widzę; widzę całe piekło! Odpędźcie ich!

W tej chwili strasznem pragnieniem palony, wziął naczynie, stojące pod łóżkiem i wypił aż do dna. Krew się rzuciła -- Wolter skonał.

Ta śmierć straszna tak przeraziła doktora Tronchin, jego lekarza, że pisząc o śmierci Woltera, mówi:

„Wystawcie sobie całą złość i wściekłość Oresta (matkobójcy), a będziecie mieli słaby tylko obraz wściekłości Woltera w godzinę śmierci. Życzyćby należało, aby nasi filozofowie wszyscy byli świadkami wyrzutów sumienia i wściekłości Woltera.“ (J. Zinsler).

Zatwardziały grzesznik.

Pewien szlachcic hiszpański, oddany wszelakiej rozpuście zachorował śmiertelnie. Daremnie usiłowano go pobudzić do spowiedzi. Już samo wspomnienie spowiedzi było mu nieznośne. Święty Franciszek Borgiasz, który wtenczas przebywał w Hiszpanii i słyszał o tym zatwardziałym grzeszniku, upadł na kolana przed krucyfiksem i ze łzami w oczach

błagał Zbawiciela, aby nie dał zginąć duszy, którą krwią swoją odkupił. I dziwna rzecz! Usłyszał głos, który doń mówił:

— Idź, Franciszku! szukaj tego chorego i napomnij go do pokuty!

Święty Franciszek poszedł; ale starania jego były daremne. Chory, będący już w objęciach śmierci, nie chciał nic słyszeć o spowiedzi. Święty Franciszek oddalił się i znowu upadłszy przed krucyfiksem, błagał Jezusa przez krew i śmierć Jego, aby tę zatwardziałą duszę zmiękczyć raczył. I ten sam głos dał się znowu słyszeć:

— Idź jeszcze raz do tego chorego i weź swój krucyfiks! Musiałby umyślnie sobie postanowić, aby się zgubić, gdyby na widok Boga, który go aż do śmierci krzyżowej ukochał, nie chciał się nawrócić!

Wziął święty Franciszek krucyfiks i poszedł powtórnie do chorego. I — o cudo Boskiej dobroci! Jezus ożył na krzyżu. Jakby żywe ciało ranami okryte, z którego krew obficie płynęła, okazało się ich oczom. Lecz daremne wysiłki łaski Bożej! Święty użył całej potęgi swej gorliwości i chrześcijańskiej miłości; nalegał nań i zaklinał na rany ukrzyżowanego Jezusa i na krew, która cudownie z ran Jego płynęła, aby miał litość nad swoją duszą. Ale chory twardszy był jak owe skały, które podczas śmierci Jezusa na Kalwaryi pękały! Odwrócił się do ściany

i nie chciał patrzeć na Boga swego. Wtem odjął Pan Jezus prawą rękę z krzyża i nabrawszy pełną garść krwi, płynącej z boku Jego, rzucił nią w twarz owego zatwardziałego grzesznika, mówiąc:

— Kiedy ci krew moja nie mogła być na zbawienie, niechże ci będzie na potępienie!

Chory straszne wyrzekłszy bluźnierstwo, skonał!

Zdarzenie to wyjęte jest z protokółu kanonizacyi św. Franciszka Borgiasza.

Nie żartuj z kapłanów.

Było to w zimie 1852 roku, w burzliwy i dżdżysty wieczór, gdy kilku akademików w B... wyszło z piwiarni i pomimo niepogody, rozbijali się po ulicach, zaczepiając i wyśmiewając przechodniów, a głównie stróżów nocnych. Było już dobrze po północy, a podchmieleni młodzieńcy chcieli już zakończyć nocne te wędrówki. Wtem, gdy się już rozstawali, wpadło jednemu z nich na myśl, że wartoby wyprawę tę uświetnić niezwykłym figlem jakim, i że ma pewien znakomity pomysł. Skwapliwie przyjęli towarzysze jego to miłe oświadczenie i udali się za swym przywódzcą, który stanął przed probostwem w St. M..., pociągnął za tak zwany dzwonek dla chorych i gdy niebawem

kapłan mieszkający tamże, w oknie się ukazał, zawołał:

— Zbierz się prędko księże, i idź co tchu na ulicę S...; w domu pod Nr. 25 na drugiem piętrze, leży umierający człowiek i pragnie przyjąć ostatnie Sakramenta święte — ale spiesz się, gdyż może być za późno.

Lekkomyślny młodzik pospieszył do czekających na niego towarzyszy, którzy jednak żart ten uważali za zbyt gruby i wcale go nie pochwalili.

Za kwadrans spieszy gorliwy kapłan pomimo zimna i niepogody z kościoła M. z Przenajświętszym Sakramentem na oznaczoną ulicę, zatrzymuje się przed Nr. 25 i żąda, aby go wpuszczono. Jakże się zdziwili mieszkańcy obudzeni ze snu znienacka, widząc księdza, który się dopytuje o umierającego i nalega, aby go zaprowadzono do niego; lecz dowiadują się, że wszyscy mieszkańcy tego domu cieszą się najlepszem zdrowiem. Mrucząc coś pod nosem, zamknął właściciel domu drzwi za odchodzącym kapłanem; ten zaś myśląc, że niedosłyszał może dobrze numeru domu, idzie dalej od domu do domu, dzwoniąc do każdej bramy i znosi pokornie niejedną przykrą uwagę, niejedno dojmujące szyderstwo; niesie bowiem Pana swojego i Mistrza na piersiach, który tego samego doświadczył na ziemi, i ma przecie przynieść pokój i pociechę duszy, opuszczającej ten

padoł płaczu — ale napróżno chodzi i szuka, musi już wracać; z kapłana, a raczej z Najwyższego, utajonego w Przenajświętszym Sakramencie, zakpił sobie niegodny syn uniwersytetu!

Za plecami powracającego smutnie kapłana rozległ się złośliwy wybuch śmiechu. Zadowolony ze swego czynu bohaterskiego, powrócił zuchwały szyderca chwiejnym krokiem do domu. Od tego czasu musi każdy, kto tylko w nocy wzywa księdza do chorego, towarzyszyć mu do domu chorego.

Sprawca tej lekkomyślnej, haniebnej psoty, która ubliża człowiekowi, a tem więcej chrześcijaninowi, zdołał się ukryć przed światem, kilku tylko zaufanych bezbożnika tego znało go — lecz ci chcąc towarzysza swego ochronić, zganili mu to wprawdzie ostro, lecz go nie wydali! ramię władzy ziemskiej nie dosięgło go wcale. Lecz ten, tak niegdyś zdolny uczeń, który poprzednie egzamina świetnie pozdawał, opuścił się teraz przy takim trybie życia zupełnie, przesiadywał codziennie w piwiarni, w kolegium był rzadkim gościem — to też niedziw, że nie mogło mu się dobrze powodzić w naukach; do tego przyłączyły się kłopoty pieniężne, a co gorsza, zdrowie ciała jego i duszy było w coraz smutniejszym stanie. Do tych wszystkich utrapień dołączyła się jeszcze choroba nerwowa, której smutny koniec był mu dobrze

znany; nachodziły go różne smutne, ponure myśli, jak naprzykład o śmierci, sądzie Bożym, potępieniu — rzeczy, z których się nieraz tak dowcipnie wyśmiewał przy kuflu piwa. Zacni jego rodzice przybyli spiesznie na wiadomość o chorobie syna — kilku prawdziwych przyjaciół dotrzymywało mu towarzystwa, a on ulegając ich namowom, pomyślał wreszcie o pogodzeniu się z Bogiem. Noc była w duszy jego i ciemności nocne panowały także w przyrodzie, gdy nareszcie zażądał księdza i pragnienie to coraz goręcej objawiał.

I znów, jak przed dwoma laty, wezwano w nocy kapłana do śmiertelnie chorego człowieka. Ten przyszedł, spiesznie przyszedł, przyszedł do właściwego domu — lecz gdy próg przestępował, stanął właśnie chory przed sądem Boga; poszedł tam, nie mogąc już przyjąć tego, którego teraz tak gorąco pożądał, a którego przed dwoma laty w zimno i słotę, włóczył po ulicach na śmiech i urągowisko!

Oby Bóg był dlań łaskawym i miłosiernym sędzią! (Filotea).

Przesłańcy śmierci.

Był pewien szlachetny młodzieniec, który zrazu pogardzał ziemskiemi rzeczami, o wieczne zaś z całą pilnością starać się począł.

Osobliwie bał się nagłej i niespodziewanej śmierci, aby go taż nie zastała nieprzygotowanego. Dlatego modli się i wzdycha nieustannie, i o tę jedynie łaskę prosi, aby go Bóg przed śmiercią upomniał, iżby się godnie mógł przysposobić.

Bóg wysłuchuje tej modlitwy młodzieńca, i posyła mu w widomej postaci jego Anioła-Stróża. Ten go zapewnia, że nie pierwej umrze, aż przynajmniej na trzy dni przed śmiercią trzej przesłańcy śmierci nie przyjdą.

Tak pocieszony, miasto Bogu tem gorliwiej służyć, nadużył tej wielkiej łaski, rzucił się w wir świata i wpadł wkrótce w najhaniebniejsze występki. Nie skutkowały napomnienia ani rodziców, ani przełożonych, ani przyjaciół. On zawsze odpowiadał: „Nawrócę się, nim umrę.“

Razu jednego wyjechał do odległej wioski; w drodze napadli go zbójcy i tak nań gołemi mieczami natarli, że będąc w oczywistem niebezpieczeństwie śmierci i ciężko raniony, spiął ostrogami konia i zaledwie z życiem uszedł.

Skoro się rany jego zabliźniły, wsiadł ów nieroztropny młodzian na okręt, chcąc doświadczyć przyjemności podróży morskiej. Nagle zrywa się burza — fale się piętrzą — okręt jak piłka tam i sam miotany falami! Wszyscy podróżni uważają to za niebezpieczeństwo śmierci; wznoszą oczy i ręce ku

niebu i błagają Boga o przebaczenie grzechów, obiecując szczerą poprawę. Tylko ów młodzian, acz nieco pobladł, lecz niepomny na swe zbawienie, ani pomyślał o żalu i poprawie życia. Tymczasem burza ustała — a wszyscy zostali ocaleni.

Niedługo potem dostał ów młodzian nieznośnego bólu głowy; wkrótce przyłączyła się silna gorączka, która go w krótkim czasie tak wyniszczyła, że wyglądał blady jak trup i wszyscy sądzili, że już śmierć bliska. Lekarze, rodzice i kapłan mówią mu, że niebezpieczeństwo jest groźne, napominają go i proszą ze łzami, aby pamiętał o swojem zbawieniu i gotował się na śmierć, co już za plecami stoi. On jednak zawsze odpowiada, że z tej choroby nie umrze. „Czekam jeszcze na przesłańca śmierci!“

Nagle staje przed nim Anioł-Stróż i mówi:

— Przynajmniej teraz się popraw, bo tylko kilka chwil życia ci pozostaje!

Skoro ujrzał i wysłuchał słów Anioła, począł temuż czynić wyrzuty, że mu słowa nie dotrzymał, gdyż mu przynajmniej trzy dni przed śmiercią miał dać znać o niej.

Anioł zaś z wszelką łagodnością rzekł.

— Ja wiernie dotrzymałem mego przyrzeczenia i wcześniem cię upomniał o niechybnej śmierci: najprzód wtenczas, gdyś wpadł między zbójców i w oczywistem niebezpieczeństwie życia zostawałeś; powtóre, gdyś

był na morzu! a wreszcie, gdyś wpadł w tę chorobę. Jam podał myśl lekarzom, by ci oznajmili bliską śmierć; ja rodziców natchnąłem, by cię upomnieli; ja nakłoniłem kapłana, by cię do nawrócenia namawiał — a tyś tem wszystkiem pogardził! A teraz się jeszcze uskarżasz, jak gdybym cię nie był aż nadto ostrzegał.

Anioł wyrzekłszy to, znikł. Młodzian zaś opowiedział to przytomnym — a jednak chciał mieć słuszność. I skonał, nie nawrócony.

Obyśmy lepiej jak on, uważali na przesłańców śmierci! (Filotea).

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

L. 4777.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

(L. S.)

† *Albin.*

Kraków 19 listopada 1888.

W Krakowie, w drukarni i stereotypii A. Koziańskiego
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

Spis rzeczy tomu pierwszego.

	Str.
Przedmowa	1
Jest Bóg, Stwórca wszechświata.	
Nowoczesny mędrzec	3
Globus	6
Nawrócony niedowiarek	8
Rozumny poganin	12
Niewierny oberżysta	14
Bóg jest wieczny.	
Mądra małżonka	16
Młody złoczyńca	18
Najlepszy wybór	21
Bóg jest wszystkowidzący.	
Dzielny oficer	24
Taida	26
Bóg jest świadkiem niewinności.	
Biedna Maryanna	27
Bóg jest wszechmocny.	
Święty Kanut	30
Mądry błazen	31
Ocalony okręt	32
Bóg jest najmędrszy.	
Sen	33
Misyonarz w Syryi	35
Eulogiusz	38
Monegunda	40
Rozumny lekarz	41
Bóg jest sprawiedliwy.	
Śmierć Nerona	45
Zburzenie Jerozolimy	47
Dwa pogrzeby	54
Minucyusz Feliks	56
Gejlana	58
Sąd Boży	60
Jaki grzech, taka kara	61
Święty Jan Złotousty	62
Bóg jest miłosierny.	
Alfons Ratisbonne	65

Str.
Nawrócony rozbójnik 74
Syn marnotrawny 79
Nowy Longin 84
Śmierć ze żalu 85
Perła Antyochii 87
Święta Afra 92
Bóg jest jeden we trzech osobach.
Święty Augustyn 97
Agilanes 98
August Nicolas 103
Święta Cecylia 105
Roland 107
Roztropne dziecko 108
O Aniołach.
Święta Franciszka Rzymianka 110
Święta Ludwina z Sziedam 116
Święta Małgorzata z Kortony 119
Przestraszony 121
W ostatniej chwili ratunek 123
Święty Wacław 126
O złych duchach czyli szatanach.
Michał Ludwik 129
Szatan przybiera postać Anioła światłości . 132
Święty Teofil Adański 135
Różne pokusy szatańskie 145
Niemoc szatana, a moc Chrystusa 152
Bogi pogańskie — szatany 157
Człowiek ma duszę nieśmiertelną.
Święty Augustyn i Ewodyusz 161
Święty Kwiryn, Męczennik 163
Pociecha nad grobem 167
Mojżesz Mendelsohn 170
Grzech pierworodny.
Kapłan i filozof 171
Adam i Ewa 178
Marya, bez grzechu poczęta.
Dziwny wypadek 182
Zwycięstwo Niep. Dziewicy 183

Str.
Najśw. Marya Panna w Lurd (Lourdes) . . 188
Jezus Chrystus jest Bogiem.
Piękność i postać Jezusa 193
Cudowny obraz Chrystusa 197
Jezus, imię niezbędne 199
Pochwalony Jezus Chrystus 203
Najpiękniejsze pozdrowienie 204
Julian, pobożny młodzieniec 205
Baron Binder Kriegelstein 206
Napoleon I. 215
Święta Marcina 218
Trzystu męczenników 222
Jezus Chrystus począł się z Ducha świętego.
Piękne porównanie 225
W Chrystusie są dwie natury: Boska i ludzka 226
Zawstydzony heretyk 231
Święty domek w Nazarecie 232
Wotum Papieża Piusa II. 238
Jezus Chrystus narodził się z Maryi Panny.
Jaskinia w Betleem, w której się narodził Jezus Chrystus 240
Miejsca godne uwagi w pobliżu groty Bożego Narodzenia 243
Żłóbek, w którym leżało dzieciątko Jezus . 246
Pieluszki, w które Jezus był obwinięty . . 249
Przykłady uczczenia żłóbka świętego . . . 250
Modlitwa w nocy Bożego Narodzenia . . 253
Skąd szopka? 255
Marya jest Matką Boga 257
Marya Matka-Dziewica 261
Jezus był umęczon pod Pontskim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion 262
Piękne porównanie 262
Obraz nad łożem boleści 264
Hrabia Eleazar 266
Sukuia krwią zbroczona 267
Trzy obrazy 268
Ukrzyżowana 270

Wyborne zwierciadło 27
Melania 27
Zemsta rozbrojona 28
Potęga krzyża 28
Ofiara miłości 28
Święta Paula 28
Narzędzia męki Jezusa Chrystusa.
Słup biczowania 28
Korona cierniowa Jezusa Chrystusa . . . 29
Święte schody 30
Weronika, czyli prawdziwe wyobrażenie twarzy Chrystusowej 30
Święty krzyż Jezusa Chrystusa 30
Napis na krzyżu Jezusa Chrystusa (w kościele św. Krzyża w Rzymie) 31
Włócznia 31
Gwoździe 32
Gąbka 32
Święte prześcieradło śmiertelne Chrystusa . 32
Święty grób w Jerozolimie 33
Tajemnica krzyża 33
Moc krzyża.
Święta Magdalena w jaskini 33
Rak uleczony 34
Święty Jan Ewangielista 34
O śmierci.
Śmierć nawróconego łotra 34
Śmierć Ludwika XVI, króla francuskiego . 35
Śmierć Świętych 36
Wesoła śmierć 36
Inaczej się myśli w godzinę śmierci jak za życia 36
Śmierć Woltera 36
Zatwardziały grzesznik 37
Nie żartuj z kapłanów 37
Przesłańcy śmierci 37